

# PATRICIA BRIGGS

seria alfa & omega

## POLOWANIE



fabryka słów®

# Spis treści

Karta tytułowa

SERIA ALFA & OMEGA

Rozdział 1

Rozdział 2

Rozdział 3

Rozdział 4

Rozdział 5

Rozdział 6

Rozdział 7

Rozdział 8

Rozdział 9

Rozdział 10

Rozdział 11

Rozdział 12

Rozdział 13

Patricia Briggs

Karta redakcyjna

Okładka

# PATRICIA BRIGGS

seria alfa & omega  
POLOWANIE

PRZEŁOŻYŁA  
DOMINIKA SCHIMSCHEINER

fabryka słów®

LUBLIN - WARSZAWA



## **SERIA ALFA & OMEGA**

1. Wilczy trop
2. Polowanie
3. Zwierzyna
4. Dead Heat
5. Burn Bright
6. Wild Sign

*Mojej rodzinnej drużynie,  
która cierpliwie znosi każde „sami sobie weźcie coś do jedzenia”,  
każdą mrożoną pizzę i różnego rodzaju paćki, bylebym mogła  
skończyć książkę.*

*Michaelu, Collinie, Amando i Jordanie  
Kocham Was wszystkich.*



# 1

**J**uż trzeci raz obserwowała go z upatrzonej wcześniej kryjówki. Za pierwszym i drugim razem rąbał drwa, ale tego dnia, po silnych opadach śniegu, jak przystało na grudzień, odśnieżał chodnik. Musiała zrobić to dzisiaj.

Z mocno bijącym sercem śledziła jego ruchy. Doskonale kontrolował mięśnie – w każdy zamach wkładał dokładnie tyle samo energii. Każdy ślad szufli biegł dokładnie równoległe do poprzedniego. W jego postawie widziała ogrom gniewu, powściąganą wściekłość, nad którą panował siłą woli. Był jak bomba domowej roboty.

Przypłaszczona do ziemi, starając oddychać się płytko, żeby jej nie zauważył i nie usłyszał, planowała, jak to zrobi. Pomyślała, że zajdzie go od tyłu, szybko, znienacka, żeby nie zdążył zareagować. Jeden ruch i po wszystkim – o ile nie straci odwagi, jak te dwa razy wcześniej.

Coś mówiło jej, że to musi być dzisiaj, bo czwartej okazji nie będzie. Był ostrożny, zdyscyplinowany i gdyby nie ta wściekłość,

jego wilk z pewnością wyczułby jej kryjówkę w śniegu pod jodłami rosnącymi przed domem.

Trzęsa się z napięcia, przerażona tym, co planowała. Zasadzka. Oznaka tchórzostwa i słabości, ale inaczej nie dałaby mu rady. A musiała to zrobić, inaczej prędzej czy później straci tę kontrolę, pozwalającą mu tak rytmicznie odśnieżać, podczas gdy wewnątrz niego szalał wilk. A wtedy zginą ludzie.

Niebezpieczny plan. Potrafił reagować niezwykle szybko. Jeśli to schrzani, zabije ją. Musiała ufać, że refleks jej wilczycy wystarczy. Musiała to zrobić.

Zdecydowała się i to dało jej siłę. To musi być dzisiaj.



Charles usłyszał silnik SUV-a, ale nie podniósł głowy.

Wyłączył komórkę i ignorował chłodny głos ojca w głowie, póki ten nie ucichł. Nikt poza nim nie mieszkał przy tej ośnieżonej górskiej drodze, więc samochód musiał oznaczać kolejny poziom determinacji Brana, by przywołać syna do porządku.

– Cześć, szefie!

Był to ten nowy wilk, Robert, przysłany do watahy Aspen Creek przez Alfę z powodu braku panowania nad sobą. Czasami Marrok mógł pomóc, a jeśli nie, trzeba było załatwić sprawę ostatecznie. Jeśli Robert nie nauczy się dyscypliny, prawdopodobnie na Charlesa spadnie obowiązek posprzątania bałaganu. Jeśli Robert nie nauczy się manier, robota nie będzie tak nieprzyjemna, jak mogłaby być.

Fakt, że Bran przysłał z wiadomością właśnie tego wilka, dużo mówił o tym, jak bardzo jest wkurzony.

– Szefuńciu! – Robert nawet nie wysiadł z samochodu. Niewiele osób miało przywilej nazywania Charlesa inaczej niż



po imieniu, a ten szczeniak z pewnością do nich nie należał.

Charles przerwał machanie szuflą i spojrzał na przybyłego, pozwalając mu zobaczyć, z kim ma do czynienia. Uśmiech tamtego zniknął jak kamfora, pobladły mężczyzna natychmiast spuścił wzrok, a zalane adrenaliną serce uwypukliło na jego szyi pulsującą gwałtownie tętnicę.

Charles poczuł się małostkowy. Wkurzył się na siebie, bo nie znosił być małostkowy, a zachował się tak pod wpływem wrzącego w nim gniewu. Brat wilk wyczuł słabość Roberta i spodobało mu się to. Napięcie, jakie wywołało postawienie się Marrokowi, rozbudziło w bracie wilku żądzę krwi. Robert mógł ją zaspokoić.

– J...ja...

Charles milczał. Niech głupiec sam sobie radzi. Opuścił lekko powieki, pozwalając mężczyźnie wić się jeszcze bardziej. Smród strachu Roberta jednocześnie cieszył brata wilka i budził niesmak w Charlesie. Zazwyczaj ich relacja była bardziej harmonijna, ale może problem tkwił w tym, że Charles też miał ochotę kogoś zabić.

– Marrok chce się z tobą widzieć.

Charles odczekał całą minutę, wiedząc dobrze, jak długo potrwa ona dla posłańca ojca.

– To wszystko?

– Tak, proszę pana.

Och, jakże to różniło się od wcześniejszego „szefuńcia”.

– Przekaż mu, że przyjdę, kiedy skończę odśnieżać – rzucił, wracając do pracy.

Kilka machnięć łopata później usłyszał, jak SUV bierze zakręt na wąskiej drodze. Wozem zarzuciło, a kiedy złapał przyczepność, odjechał ku Marrokowi, zostawiając za sobą wężykowate ślady pośpiechu, z jakim Robert chciał opuścić to miejsce. Brat wilk odczuwał chełpliwą satysfakcję, Charles starał się jej nie odczuwać. Wiedział dobrze, że nie powinien

drażnić ojca, odmawiając natychmiastowego wykonania polecenia, szczególnie na oczach Roberta, który potrzebował właściwego wzoru, ale sam naprawdę potrzebował czasu.

Musiał odzyskać spokój, zanim znów stanie przed Marrokiem. Musiał nad sobą panować, jeśli chciał wyłożyć z chłodną logiką swoje argumenty i wyjaśnić, dlaczego Marrok się myli, a nie znów trykać się z nim, jak ostatnie cztery razy, kiedy rozmawiali. Nie po raz pierwszy żałował, że nie jest bardziej elokwentny. Jego brat potrafił czasem skłonić Marroka do zmiany zdania, jemu nigdy się to nie udało. W tym wypadku jednak Charles miał pewność, że ojciec się myli.

A więc teraz porusza się, żeby poprawić sobie nastrój.

Skupił się na śniegu i właśnie głęboko zaciągał się mroźnym powietrzem, kiedy coś ciężkiego wylądowało mu na plecach, przewracając twarzą w biały puch. Ostre zęby i ciepłe wargi dotknęły jego karku i zniknęły tak błyskawicznie jak ciężar, który przyciskał go do ziemi.

Nie poruszając się, spojrzął kątem oka na niebieskookiego czarnego wilka, który obserwował go niespokojnie... machając niepewnie ogonem, przebierając łapami i nerwowo to wysuwając, to chowając pazury, jak podekscytowany kot.

I nagle jakby w bracie wilku zadziałał jakiś przełącznik, gasząc szalejący gniew, który szarpał Charlesem przez ostatnie dwa tygodnie. Ogarnęła go taka ulga, że opuścił głowę w śnieg. Tylko przy niej, zawsze przy niej, brat wilk wyciszał się całkowicie. Tych parę tygodni nie wystarczyło, żeby przywyknąć do tego cudu lub przegnać głupotę, która powstrzymywała go przed poproszeniem jej o pomoc.

To dlatego zaplanowała tę zasadzkę.

Kiedyś wyjaśnił jej, dlaczego napadanie na niego zniecka mogło się dla niej źle skończyć. Choć najwyraźniej brat wilk nie miał wątpliwości, kto się na niego zasadził – pozwolił się wrzucić w śnieg.

Przyjemny był ten chłód na twarzy.

Zmarznięty puch znów zaskrzypiał pod jej łapami. Pisnęła zaniepokojona, co dowodziło, że nie zauważyła tego ukradkowego zerknięcia. Dotknęła zimnym nosem jego ucha i musiał powstrzymać się, żeby nie drgnąć. Udawanie martwego z twarzą ukrytą w śniegu pozwalało mu swobodnie się uśmiechać.

Dotyk zimnego nosa zniknął, więc nadal leżąc nieruchomo, czekał, aż wilczyca znów się zbliży. Trąciła go łapą, więc zakołysał lekko ciałem, ale kiedy skubnęła go w pośladek, nie wytrzymał, drgnął gwałtownie i jęknął.

Po tym nie było sensu już dłużej udawać martwego, przeturlał się więc i dźwignął na czworaka.

Uskoczyła szybko, lecz już poza jego zasięgiem, a potem odwróciła się i spojrzała na niego. Wiedział, że niczego nie wyczyta z jego twarzy. W zasadzie miał co do tego pewność. Był mistrzem w ukrywaniu swoich uczuć.

A jednak coś ujrzała, bo przypadła przednią połową ciała do ziemi i otworzyła paszczę w wilczym uśmiechu, uniwersalnym zaproszeniu do zabawy. Przeturlał się naprzód, a ona umknęła z piskiem podniecenia.

Gonili się i tarzali przed domem, niweczając jego wysiłki przy sprzątanii chodnika i zamieniając nietkniętą połąć śniegu w pole bitwy pełne śladów stóp i ciał. Pozostał w ludzkiej formie, żeby wyrównać jej szanse, bo brat wilk był od niej trzydzieści, może nawet czterdzieści kilogramów cięższy, a on jako człowiek ważył tyle, co ona jako wilk. Nie używała pazurów ani zębów, żeby nie zranić delikatnej ludzkiej skóry.

Śmiał się z jej udawanych warknięć, kiedy go dopadła i zaczęła dobierać się do jego brzucha, i jeszcze bardziej, gdy wetknęła mu pod kożuch i koszulkę zimny nos, który łaskotał wrażliwe boki mocniej niż palce.

Starał się uważać, żeby nie przygnieść jej sobą, nie zrobić krzywdy, nawet niechcący. To, że się na to zdecydowała, było wyrazem jej zaufania, co niezmiernie go ucieszyło, jednak ani na moment nie pozwolił bratu wilkowi zapomnieć, że nie zna ich zbyt dobrze i ma więcej niż inni powodów, żeby bać się jego oraz tego, kim jest – mężczyzną i dominującym wilkiem.

Usłyszał podjeżdżający samochód. Mógł przerwać ich igraszki, ale brat wilk nie miał ochoty podejmować jeszcze prawdziwej walki. Tak więc złapał ją za tylną łapę i pociągnął, jednocześnie odtaczając się poza zasięg lśniących kłów.

Zignorował silny zapach gniewu ojca – zapach, który raptownie zniknął.

Anna nie zauważyła obecności Brana, który potrafił być niewidzialny, wtopić się w cień, jakby był zwykłym człowiekiem, nie Marrokiem. Cała jej uwaga skupiała się na Charlesie, a brat wilk puchł z dumy, że nawet Marrok jest drugi w kolejce do jej zainteresowania. Martwiło to człowieka, ponieważ mając tak niewyćwiczone wilcze zmysły, pewnego dnia Anna może nie zauważyć zbliżającego się niebezpieczeństwa i zginąć. Brat wilk był absolutnie pewien, że zdoła ją ochronić, i opędzał się od trosk Charlesa, wciągając go w radosną zabawę.

Charles usłyszał westchnienie ojca i szelest zdejmowanych przez niego ubrań w chwili, gdy Anna rzuciła się do biegu. Puścił się w pościg za nią wokół domu. Trzymała go na dystans, wskakując za drzewa, kiedy za bardzo się zbliżył. Poduszki łap dawały lepszą przyczepność niż podeszwy butów, mogła więc szybciej okrążyć pnie.

Kiedy wypłoszył ją spomiędzy drzew, runęła znów na drugą stronę domu. Deptał jej po piętach, kiedy wypadła zza rogu na front i zastygła w miejscu na widok czekającego na nich Brana w wilczej formie.

Jedynie, co mógł zrobić Charles, żeby nie staranować jej w pędzie, to zbić ją z nóg, zamienić bieg w ślizg.

Zanim zdążył sprawdzić, czy nic jej nie jest, runął na niego srebrny pocisk i reguły gry zmieniły się raptownie. Podczas zabawy z Anną miał wszystko pod kontrolą, jednak udział ojca zmusił go do sumiennego używania mięśni, szybkości i mózgu, by powstrzymać dwa wilki – srebrnego i czarnego – przed skarmieniem go śniegiem.

Mimo to i tak skończył na plecach, z Anną na nogach i kłami Brana prawie dotykającymi boków szyi w udawanej groźbie.

– Już dobrze! – zawołał, rozluźniając mięśnie. – Już dobrze, poddaję się.

Słowa te były czymś więcej niż ogłoszeniem końca zabawy. Ale próbował. Jednak ostatecznie słowo Alfy było prawem. Cokolwiek miało nastąpić – nastąpi. Dlatego poddał się dominacji ojca tak łatwo, jak każdy szczeniak w jego watasze.

Marrok uniósł łeb i zszedł z piersi Charlesa, kichnął i otrząsnął się ze śniegu, a Charles usiadł, wydostając nogi spod wilczycy.

– Dzięki – powiedział, a ona odwzajemniła się radosnym uśmiechem. Zebrał ubrania leżące na masce samochodu ojca i otworzył drzwi do domu. Anna wskoczyła do dziennego pokoju i potruchtała korytarzykiem do sypialni. Charles wrzucił ubrania do łazienki, a gdy Bran za nimi podążył, zamknął drzwi za białym koniuszkiem ogona.

Zupa i gorąca czekolada były już gotowe, kiedy Bran wyszedł. Twarz miał zarumienioną z wysiłku po przemianie, a oczy orzechowe, całkiem ludzkie.

Nie byli do siebie podobni. Charles odziedziczył urodę po matce, Saliszce, Bran zaś był Walijczykiem do szpiku kości, o piaskowych włosach i wyrazistych rysach twarzy, która zazwyczaj przybierała wyraz zwodniczej szczerości, w tej

chwili jednak nieobecnej. Pomimo zabawy Bran nie wyglądał na szczególnie zadowolonego.

Charles nie zawracał sobie głowy zagajaniem rozmowy. I tak nie miał nic do powiedzenia. Dziadek powiedział mu kiedyś, że za często próbuje przesunąć drzewo, podczas gdy mądry człowiek je obchodzi. Dziadek był szamanem i lubił metafory. I zazwyczaj miał rację.

Wręczył ojcu kubek z czekoladą.

– Twoja żona zadzwoniła do mnie wczoraj – oznajmił Bran szorstko.

– O? – Nie wiedział o tym. Anna musiała zrobić to, gdy wyszedł z domu, żeby wybiegać swoją frustrację.

– Powiedziała, że nie słyszałem, co do mnie mówiłaś – ciągnął ojciec. – Odparłem, że wyraźnie usłyszałem, że uważasz mnie za idiotę, skoro wybieram się do Seattle na spotkanie z europejską delegacją. Tak samo wyraźnie, jak większość mojej watahy.

Takt to moje drugie imię, pomyślał Charles i uznał, że lepiej otworzyć usta do napicia się czekolady niż do mówienia.

– Zapytałam też, czy masz w zwyczaju kłócić się z nim o błahostki – włączyła się Anna, wyminęła Brana i otarła się o Charlesa. Miała na sobie jego ulubiony sweter, ten brązowy. Sięgał jej do pół uda i skrywał kształty pod masą kakaowej wełny. Brat wilk lubił, gdy nosiła jego ubrania.

W ciemnym swetrzysku powinna wyglądać jak uchodźca, ale tak nie było. Kolor kontrastował z cerą, nadając jej odcień porcelany, i wydobywał jaśniejsze refleksy w brązowych włosach. Podkreślał również piegi, które uwielbiał.

Usiadła na blacie i zamruczała z zadowoleniem, biorąc kubek z kakao, które dla niej zrobił.

– A potem się rozłączyła – dokończył Bran zdeglustowany.

– Umm – mruknęła Anna, trudno powiedzieć, czy na potwierdzenie jego słów, czy w reakcji na gorący napój.

– A potem nie odbierała, gdy dzwoniłem – dorzucił niezadowolony.

Ha, niefajnie mieć w pobliżu kogoś, kto nie okazuje ci natychmiastowego posłuszeństwa, co, staruszkę? – pomyślał Charles w chwili, gdy ojciec na niego spojrział.

Niespodziewany śmiech świadczył, że Bran nie jest naprawdę zły.

– Okropność – zaryzykował Charles.

– Krzyczał na mnie – poskarżyła się Anna pogodnie, klepiąc się po czole. Marrok mógł mówić do każdego ze swych wilków za pomocą telepatii, ale bez względu na to, jak bardzo wydawało się to prawdopodobne, nie czytał im w myślach. Był po prostu świetny w odczytywaniu ludzi. – Zignorowałam go i wreszcie przestał.

– Co to za zabawa walczyć z kimś, kto nie oddaje – rzucił Charles.

– Wiedziałaś, że jak przestanie walczyć, będzie mógł spokojnie się zastanowić – stwierdziła Anna wyraźnie z siebie zadowolona. – Nawet jeśli tylko nad słowami, którymi zmiażdży mnie podczas kolejnej rozmowy.

Nie miała jeszcze nawet ćwierć wieku, była jego towarzyszką niecały miesiąc, a już ustawiała ich sobie jak chciała. Brat wilk był niezwykle zadowolony, że znalazł im taką samicę.

Charles odłożył kubek i zaplótł ramiona na piersi. Wiedział, że wygląda groźnie – o to mu chodziło. Ale gdy Anna odsunęła się od niego, dosłownie odrobinę, natychmiast opuścił ręce, zatknął kciuki w kieszenie dżinsów i rozluźnił barki.

– Manipulowanie Branem zazwyczaj się mści – pouczył ją tonem znacznie łagodniejszym, niż zamierzał. – Nie radzę tego robić.

Ale Bran potarł usta i westchnął.

– No? – zwrócił się do syna. – To czemu uważasz, że mój udział w spotkaniu w Seattle będzie taką katastrofą?

Charles obrócił się w stronę ojca, zapominając natychmiast o postanowieniu, by nie podważać jego decyzji o wyjeździe do Seattle.

– Bestia przybywa, a ty jeszcze pytasz?

– Co? – zapytała Anna.

– Jean Chastel, Bestia z Gévaudan – wyjaśnił Charles. – Lubi pożerać swoje ofiary, a te to głównie ludzie.

– Już tego nie robi – stwierdził Bran chłodno.

– Proszę cię! – prychnął Charles. – Nie wciskaj mi czegoś, w co sam nie wierzysz, bo pachnie mi to kłamstwem. Bestia została zmuszona do zaprzestania mordów na widoku, ale wciąż zmienia tylko swoją skórę, jego natura pozostaje. Nadal to robi. I wiesz o tym tak samo dobrze jak ja. – Mógł przywołać inne argumenty: że Jean gustował w ludzkim mięsie, im młodszym, tym lepiej, ale Anna doświadczyła już tego, co się dzieje, gdy wilk zmienia się w potwora. Nie chciał uświadamiać jej, że są na świecie gorsze monstra niż jej były Alfa i jego towarzyszka. A ojciec dobrze wiedział, czym jest Jean Chastel.

– To prawda, prawie na pewno tak jest – przyznał Bran. – Ale ja nie jestem bezradnym człowiekiem, mnie nie zabije. – Spojrzał bystro na Charlesa. – O czym dobrze wiesz. Dlaczego więc uważasz, że to takie niebezpieczne?

Miał rację. Nawet po usunięciu Bestii z tego równania myśl o wyjeździe ojca nadal nie dawała Charlesowi spokoju. Bestia była tylko najbardziej oczywistym, najłatwiejszym do wykazania niebezpieczeństwem.

– Po prostu wiem – rzekł w końcu. – Ale decyzja oczywiście należy do ciebie. – Aż ścisnęło go w żołądku w oczekiwaniu na reakcję.

– Nadal nie masz logicznych argumentów.

– To prawda. – Charles zmusił swoje ciało, by postawą okazało, że uznał porażkę, i wbił wzrok w ziemię.



Ojciec zapatrzył się przez niewielkie okno na góry otulone zimową bielą.

– Twoja matka tak robiła – rzekł. – Stwierdziła coś, co nie miało żadnej logicznej podstawy, i oczekiwała, że uwierzę jej na słowo.

Anna wpatrywała się w Brana z pełnym nadziei wyczekiwaniem.

Bran uśmiechnął się do niej, a potem uniósł kubek ku górom.

– I boleśnie nauczyłem się, że zazwyczaj miała rację. Frustrujące, to słowo ani odrobinę nie oddaje tego, co czułem. A więc – zwrócił się znów do Charlesa – są już w drodze, nie mogę tego odwołać, więc nie ma wyjścia. Ujawnienie światu, że wilkołaki żyją pośród ludzi, wpłynie tak samo, o ile nie bardziej, na wilki europejskie. Zasłużyły na to, żeby ich wysłuchać i poznać powody naszej decyzji. To powinno wyjść ode mnie, ale ty będziesz dopuszczalnym zastępcą. Choć niektórzy mogą poczuć się tym urażeni, co oznacza, że będziesz musiał jakoś sobie z tym poradzić.

Ulga zalała Charlesa tak gwałtownie, że osłabły aż oparł się o blat, tak nagle i do reszty odeszło dręczące go od jakiegoś czasu przecucie ostatecznej katastrofy. Spojrzał na swoją towarzyszkę.

– Dziadek byłby tobą zachwycony, gdyby cię poznał – powiedział nieco ochryple. – Nadałby ci imię „Ta Która Usuwa Drzewa z Jego Drogi”.

Wyglądała na zakłopotaną, ale Bran roześmiał się szczerze. Znał staruszkę.

– Mnie nazywał „Tym Który Musi Wbiegać na Drzewa” – wyjaśnił Charles i w duchu szczerości, pragnąc, żeby Anna wiedziała, kim jest, dodał: – A czasem Biegającym Orłem.

– Biegającym Orłem? – zdumiała się Anna, marszcząc brwi. – A co w tym złego?

– Zbyt głupim, by latać – mruknął Bran z nikłym uśmiechem. – Starzec miał cięty język i ostry umysł, więc przezwisko przyłgnęło, dopóki nie zelżył cię następnym. – Przekrzywił głowę, spoglądając na Charlesa. – Ale wtedy byłeś dużo młodszy, a ja nie jestem tak twardym obiektem jak drzewo. Poczuliście się lepiej, gdybyś...

Anna chrząknęła wymownie.

Bran uśmiechnął się do niej.

– ...gdybyście pojechali tam z Anną zamiast mnie?

– Tak. – Charles urwał, bo czuł coś jeszcze, lecz w domu było zbyt wiele nowoczesnych przedmiotów, aby duchy mogły mówić do niego wyraźnie. Zwykle było to dobre. Czasem gdy stawały się zbyt natrętne, uciekał do swego gabinetu, od którego trzymały się z daleka przez stojące tam komputery i resztę elektroniki. Mimo to dzięki temu, że ojciec zgodził się nie jechać, coś w nim oddychało teraz dużo lżej. – Lepiej, choć nie całkiem uspokojony. Kiedy mamy być w Seattle?



## 2

**K**ocham Seattle. – Krissy objęła się ramionami i zakręciła wkoło. Uniosła twarz z wystudiowaną radosną miną małej dziewczynki, a jej kochanek spojrzał na nią z uśmiechem.

Wyciągnął rękę i zatknął jej złoty loczek za ucho.

– Może się tu przeprowadzimy, księżniczko? Mogę ci kupić apartament z widokiem na wodę.

Zastanowiła się, a potem pokręciła głową.

– Wiesz przecież, że tęskniłabym za Nowym Jorkiem. Nie ma lepszego miasta na zakupy.

– No dobrze – wymruczał pobłaźliwie. – Ale jeśli bardzo chcesz, możemy tu czasami wpadać, żeby się zabawić.

Krissy odchyliła głowę i złapała w usta krople deszczu, jak pies kłapnięciem chwytającego owada w powietrzu.

– A możemy zabawić się teraz?

– Najpierw praca, potem przyjemność – przypomniała Hannah, popsujabawa. Poprzednia ulubienica Iwana zazdrościła Krissy, która zajęła jej miejsce w jego łóżku i sercu.

– Iwan – zamiauczała Krissy, przyciągając go do siebie za koszulę, żeby sięgnąć językiem do jego ust. – Chodźmy się zabawić. Przecież nie musisz pracować dzisiaj wieczorem, prawda?

Pozwolił się pocałować namiętnie, a kiedy uniósł głowę, jego oczy płonęły żarem.

– Hannah, zabierz resztę do hotelu i skontaktuj się z naszym zleceniodawcą. My tymczasem z Krissy trochę się zabawimy.



Znowu padało, ale Jody w dzieciństwie mieszkał w Eugene, gdzie deszcz padał tylko raz w roku, od stycznia do grudnia. Poza tym urodził się pod znakiem Ryb i woda była jego żywiołem.

Zadarł głowę i pozwolił, by krople spływały mu po twarzy. Próba trochę się przedłużyła i wyszedł już po zachodzie słońca. Grało im się dzisiaj świetnie, wszyscy czuli muzykę. Wyciągnął z kieszeni pałeczki i wybił nimi w powietrzu rytm, słyszalny tylko dla niego. W tym ostatnim takcie powinien coś zmienić...

Poszedł do domu skrótem, ciemną uliczką, szeroką zaledwie na półtora samochodu. Nie było jeszcze bardzo późno, a mimo to w alejce nie było nikogo prócz przemoczonej pary, starszego mężczyzny i młodziutkiej, na oko szesnastoletniej dziewczyny. Ruszyli w jego stronę.

– Przepraszam – zwrócił się do niego mężczyzna. – Zwiedzaliśmy i chyba się zgubiliśmy. Gdzie znajdziemy najbliższą restaurację?

Nieznajomy miał na sobie kosztowny wełniany płaszcz, a na przegubie złoty zegarek wart małą fortunę. Dziewczyna – z bliska widać było, że dzieli ją od towarzysza więcej niż jedno pokolenie, mogła być jego wnuczką – miała na nogach

dziesięciocentymetrowe szpilki, które sprawiały, że jej stopy wydawały się małe.

Przyłapała go na gapieniu się i wyraźnie spodobał jej się jego zachwyty. Nie mógł się powstrzymać, odpowiedział uśmiechem. Położyła mu dłoń na nadgarstku.

– Musimy koniecznie coś zjeść.

Uśmiechnęła się szerzej, ukazując kły.

Dziwne, pomyślał. Nie przypominała znajomych jego byle, którzy zakładali kły i grali w tę głupią grę... Nie „Lochy i smoki”, ta akurat była fajna, tylko coś z wampirami.

Dziewczyna miała włosy spięte w kucyk i ogólnie wyglądała bardziej na Britney Spears niż Wampirellę – jaskraworóżowe buty i ani grama czerni w stroju.

Nie podobało mu się, że gardło ścisnął mu strach – w końcu to tylko plastikowe zęby.

– Parę przecnic stąd jest fajne miejsce – powiedział, próbując wykręcić rękę z jej uścisku. – Kuchnia włoska. Mają świetny czerwony sos.

Oblizła wargi, ale nie puściła go.

– Ej. – Wyrwał się dziewczynie. – Daj spokój. To nie jest zabawne.

– Ano nie – szepnął mężczyzna, który podczas ich rozmowy zaszedł go z tyłu. – Bo to nie zabawa.

Jody poczuł ostry ból na karku.

– Znajdziemy tu jakieś bardziej ustronne miejsce? – zapytał mężczyzna po chwili. – Takie, żebyśmy mogli spokojnie zabawić się przez kilka godzin?

I Jody poprowadził swych nowych znajomych do jedyne miejsce przy Zatoce, gdzie nikt miał im nie przeszkadzać.

– Świetnie – pochwalił go mężczyzna. – Bardzo dobre miejsce.

– Hałas z ulicy zagłuszy krzyki – przytaknęła dziewczyna, przymykając powieki z uśmiechem.

Mężczyzna pochylił się do ucha Jody'ego.

– Teraz już możesz się bać.

Jody bał się bardzo, bardzo długo, zanim na koniec wrzucili go do wody rybom na pożarcie.



– Dzięki kamieniom nie wypłynie, dopóki rozkład nie zatrze wszystkich śladów i nie będą mogli stwierdzić przyczyny śmierci – rzekł Iwan.

– A moim zdaniem powinniśmy go rozebrać i powiesić na drzewie, jak tę dziewczynę w Syracuse.

Iwan przejechał dłonią po głowie.

– Dziecko drogie – westchnął – to był szczególny przypadek. Miała być wiadomością dla swojego ojca. Ten był tylko rozrywką, a gdybyśmy pozwolili głupim ludziom odkryć, kto go zabił, przeszkodziłoby nam to w prowadzeniu interesów.

Spojrzała na zakrwawione pałeczki perkusyjne i z westchnieniem cisnęła je za ciałem.

– A nic nie może przeszkadzać w prowadzeniu interesów.

– Dzięki nim mamy dach nad głową i możemy swobodnie podróżować – przypomniał jej Iwan. – Obmyj twarz, księżniczko, i ubierz się.



Wielki szczyt górski przedzierał się przez zasłonę białej mgły, królując majestatycznie na jasnym niebie. Annie ten widok zapierał dech w piersiach. Rainier, pomyślała, choć jej znajomość geografii Gór Kaskadowych była słaba. Pod nimi ciągnął się łańcuch górski, jednak ten szczyt wybijał się mocno ponad otaczający go, pofałdowany niskimi wzgórzami

krajobraz. W oddali stopniowo zaczęły wyłaniać się inne tonące w chmurach szczyty.

– Charles?

Łańcuch znajdował się od strony pilotującego samolot Charlesa. Anna pochylała się ku oknu tak bardzo jak mogła, nie dotykając męża. Nie chciała go rozpraszać, w końcu trzymał stery.

– Tak?

Rozmawiali za pomocą mikrofonów w słuchawkach, które chroniły ich wrażliwe uszy przed hukami silnika. W głośnikach głos Charlesa brzmiał tak nisko, że membrana aż wibrowała brzękliwie, mimo że zestaw był maksymalnie wyciszony.

– Ile samolotów posiada wataha?

Leciała już drugim.

– Tylko learjeta – odparł. – Jeśli wychylisz się bardziej, udusisz się. Ta cessna jest moja.

Miał własny samolot? Za każdym razem, kiedy myślała, że go zna, wyskakiwało coś nowego. Wiedziała, że zajmuje się finansami stada i że nie grozi im w najbliższym czasie bieda. Wiedziała też, że sam Charles ma stabilną sytuację finansową, choć nie rozmawiali o tym zbyt wiele. Ale posiadanie samolotu to całkiem inny poziom stabilności finansowej, podobnie jak Rainier to zupełnie inna kategoria góry od tych, które znała z Illinois.

– Ale przecież to podróż służbowa, dlaczego lecimy tym?

– Learjet potrzebuje półtorakilometrowego lądowiska, a to oznacza lotnisko Boeing Field albo Sea-Tac, a ja nie życzę sobie, żeby rząd przez cały tydzień deptał nam po piętach.

– Rząd cię śledzi? – Naraz wyobraziła sobie scenkę z kreskówkową wyrazistością: Charles idzie w towarzystwie dwóch smutnych panów na ogonie, usilnie i daremnie starających się, żeby ich nie zauważył.

– Zwyczajni ludzie o nas nie wiedzą, ale ci niewłaściwi, owszem.

I właśnie dlatego Marrok postanowił ujawnić światu istnienie wilkołaków.

– A więc ci niewłaściwi cię śledzą?

– Tylko wtedy, gdy mi to na rękę. – Uśmiechnął się wilczo.

Przyjrzała się temu uśmiechowi i doszła do wniosku, że podoba się jej u Charlesa.

– To gdzie wylądujemy?

– Na lądowisku, które utrzymuje wataha Szmaragdowego Miasta. Znajduje się niecałe pięćdziesiąt kilometrów od Seattle.

Samolot podskoczył i opadł gwałtownie, wywołując łaskotanie w jej brzuchu. Chwyciła się podłokietników i roześmiała, gdy Charles wyrównał lot.

– Kocham latać.

Zniżył głowę i przez moment patrzył na nią ponad ciemnymi szklami. A potem uśmiechnął się lekko i odwrócił znów do deski rozdzielczej. Samolot przechylił się na lewo.

Anna czekała, aż wyprostuje maszynę z powrotem, ale Charles nie przestawał przechylać, aż zawisli do góry nogami. Dopiero potem cessa płynnie obróciła się znów o sto osiemdziesiąt stopni.

– Ten samolocik nie jest przystosowany do akrobacji – powiedział, przekrzykując jej śmiech – ale beczka to przeciążenie tylko na poziomie jeden g. – Przechylił samolot w drugą stronę. – Jeśli jest właściwie wykonana. – I znów zatańczył maszyną na niebie.

Zabrakło jej tchu, a od śmiechu rozboleła ją przepona, zanim nie wyprostował lotu. Zerknęła na Charlesa, który nawet się nie uśmiechał. Zupełnie jakby opryskiwał łany zboża.

Charles nienawidził samolotów, podobnie jak większości nowoczesnej technologii. Tak jej powiedział. Ale posiadał jeden i z całą pewnością potrafił nim sterować. Kierując



samochodem, był ostrożny i opanowany. Dlaczego więc postanowił zabawić się w akrobatę w cессnie? Ku jej uciesze czy może jednak własnej?

Kobieta powinna wiedzieć więcej o swoim partnerze. Kiedy więź zadzierzgnęła się po raz pierwszy, myślała, że pozna Charlesa dogłębnie, lecz początkowa umiejętność wyczuwania go wkrótce zanikła, stłumiona jego samokontrolą i jej mechanizmami obronnymi. Teraz połączenie między nimi było silne, lśniące, ale nieprzeniknione. Ciekawe, czy dla niego wyglądało to tak samo, czy może mógł czytać z niej, kiedy tego chciał.

– Tu osiem trzy Wiktor do bazy lotniczej jeden osiem November, proszę o pozwolenie na lądowanie – powiedział, a Anna dopiero po chwili zrozumiała, że nie zwraca się niej.

– Śmiało, ląduj. Znaczy możesz podchodzić do lądowania, osiem trzy Wiktor – odezwał się obcy głos. – Witamy na terytorium watahy Szmaragdowego Miasta.

Charles gwałtownie zniżył lot, nurkując przez rzadkie chmury ku rozciągającej się w dole zielonej dolinie. Zanim Anna dostrzegła lądowisko, koła cессny z delikatnym podskokiem dotknęły trawy.

Miejsce lądowania wyglądało niemal tak samo odludnie jak Aspen Creek. Choć śnieg leżał już na wysokości trzydziestu metrów od podnóża gór, dno doliny było zielone jak w lecie. Zieleńsze. Poza pasem i hangarem wręcz skąpane w bujnej roślinności, którą stanowiły drzewa i krzewy.

Z hangaru wybiegli ku nim ludzie, a Charles zdjął słuchawki i rozpiął pasy.

Odseparował się od niej, boleśnie osłabiając więź między nimi. Uprzedzona, zdołałaby powściągnąć reakcję – trzy lata w przemocowej watasze nauczyły Annę kontroli bólu. Jednak raptowność zmiany wycisnęła jej z gardła zduszony jęk.

Charles zdjął ciemne okulary i spojrzał na nią, marszcząc brwi. A potem jego oczy rozszerzyły się w nagłym zrozumieniu.

– Nie sądziłem... – A później odwrócił lekko głowę i powiedział jakby nie do niej: – Dobrze, już dobrze. – I ból osłabienia połączenia ucichł.

Z wyczernianym z oczu wilkiem pochylił się ku Annie i dotknął delikatnie jej twarzy.

– Przepraszam. Nie chciałem cię odcinać. Po prostu... – Urwał, najwyraźniej zabrakło mu słów.

– Zakładasz zbroję? – podsunęła. – W porządku, po prostu mnie zaskoczyłeś. Rób, co musisz.

Ale nie zrobił tego. Spojrzał na zbliżających się ludzi.

– To nie wrogowie. Przynajmniej nie tym razem.

Wyskoczył z fotela, zanim zdążyła coś powiedzieć. A zresztą co miałyby powiedzieć? Odcinał się tak od wszystkich, by nie poczuć do nich sympatii i w razie konieczności móc ich zabić. I nie wahać się przed podjęciem niezbędnych działań.

Jednak wiedziała coś o swym towarzyszu. Wyskoczyła zaraz za nim i podeszła do nieznajomych wilków, nadal niepewna, czy powinno ją to pocieszyć, czy raczej zmartwić.

– Cieszę się, że pan dotarł – przywitał Charlesa przywódca grupki.

Czasami Annę przerażało, z jaką łatwością po subtelnych gestach czy postawie potrafiła ocenić, kto stoi najwyżej w hierarchii. Zwyczajni ludzie, normalni, nie musieli wiedzieć, kto stoi na górze, a kto na samym dole drabiny.

– Śledziliśmy pana na radarze i Jim martwił się, że macie jakieś kłopoty z maszyną, bo lot wydawał się miejscami nierówny.

Charles zachował neutralną minę, a Anna zastanawiała się, jak ich akrobacje mogły wyglądać na ekranie radaru.

– Nie mieliśmy żadnych problemów – oświadczył Charles.

Drugi wilk odchrząknął i spuścił wzrok.

– To dobrze. Nazywam się Ian Garner, należę do watahy Szmaragdowego Miasta i mam pomóc wam we wszystkim, w miarę potrzeb.

Anna stała nieco z boku, podczas gdy Charles i reszta wilków wyładowywali bagaże i ustalali warunki opieki nad samolotem. Odkryła, że nie denerwuje się przy nieznajomych tak bardzo, jak się spodziewała, ale dopiero po chwili zrozumiała dlaczego.

Ian znajdował się pośrodku hierarchii stada, więc i on, i wilki, którym teraz przewodził, nie zaliczali się do bardzo dominujących osobników. Z pewnością nie drażnili instynktów i nie budzili potrzeby ustalania hierarchii.

Angus Hopper, Alfa watahy Szmaragdowego Miasta, był mądrym człowiekiem. Nie żeby w wypadku Charlesa musiał liczyć się z brakiem kontroli, ale przezorność zawsze była rozsądna.

Angus nie postąpił tak dlatego, że Annę nadal przerażały obce dominujące wilki, ale i tak poczuła wobec niego wdzięczność.

Później, podczas spotkania, i tak będzie musiała radzić sobie z obecnością aż nazbyt wielu osobników stojących najwyżej w hierarchii stad. Przedstawiciele watah europejskich rządzą swymi terytoriami niekiedy od wieków. Oczywiście żaden z nich by jej nie skrzywdził, nie przy Charlesie, jednak jej lęk utrwał się latami i trzeba było czasu, żeby się od niego uwolniła.

– Zajmą się samolotem – zapewnił Ian, wziął jeden z bagaży i z opuszczonymi ramionami ruszył kamienną ścieżką pomiędzy drzewami. Skinieniem głowy zachęcił, żeby poszli za nim. Charles również sięgnął po torbę, a potem odczekał, aż Anna go wyminie.

W drodze Ian zaczął mówić oficjalnym tonem, pospiesznie wyrzucając z siebie słowa, co miało zamaskować jego napięcie i dzięki czemu niepokój wilka może uszedłby uwadze zwykłego

człowieka. Charles tak działał na ludzi, również na członków własnego stada. Anna uważała, że nawet jego własny ojciec nie wie, jak bardzo go to męczy.

– Angus jest w pracy – mówił Ian. – Mam wam przekazać, że możecie swobodnie korzystać z domu. – Anna przypomniała sobie, że budynek mignął im podczas lądowania, ale na dole zasłaniały go drzewa. Uznała, że to tam właśnie zmierzają. – Wszystko, co mamy, jest do waszej dyspozycji. Wataha posiada nowszego land cruisera i staruszkę toyotę, ale jeśli wolicie, Angus udostępni wam swoje bmw.

– Wystarczy toyota – powiedział Charles. – I zatrzymamy się w hotelu w centrum. Dojazdy na spotkania stąd zajęłyby nam zbyt dużo czasu.

– Przypuszczał, że tak powiecie, dlatego proponuje, żebyście zatrzymali się w jego mieszkaniu w mieście.

– To nie jest konieczne – rzekł Charles, a Anna zastanawiała się, czy dostrzegł, że kąciki ust ich przewodnika opadły lekko. Bardziej prawdopodobne, że było mu to obojętne.

Wataha Szmaragdowego Miasta była gospodarzem spotkania. Charles odmowę skorzystania z gościnności postrzegał jako wyraz tego, że nie uznaje ich za sprzymierzeńców. Wolał zachować niezależność i nie chciał bratać się z kimś, kogo może kiedyś będzie musiał zabić. Był egzekutorem Marroka, ramieniem sprawiedliwości, i to ponure brzemie miało wpływ na wszystko, co robił. Nie wychodził z roli, żeby nawiązywać przyjacielskie stosunki z wilkołakami, nawet tymi z własnego stada. Sam czuł się najlepiej.

Co nie oznaczało, że Anna nie mogła nieco złagodzić sprawy.

– Doceniamy propozycję – zwróciła się do Iana – ale niedawno się związaliśmy i... – Nie musiała się starać o rumieniec, kiedy urwała znacząco. I od razu ewentualną urazę przewodnika przesłoniła ciekawość.

– A więc to prawda? – Ian zerknął przelotnie na Charlesa. – Słyszałem pogłoski.

– Wiem, to szok – mruknął Charles.

Drugi wilk zeszywniał i obrzucił go niespokojnym spojrzeniem, zbyt przejęty, żeby wychwycić w głosie Charlesa nutę humoru.

– Okropny z niego żartowniś – pospieszyła z pomocą Ianowi Anna.

Wilkowi ze Szmaragdowego Miasta aż się wydłużyła mina z niedowierzania.

Charles uśmiechnął się do Anny na ten widok. Szkoda, że Ian nie zdążył zauważyć tego przelotnego grymasu, bo kamienna maska, którą Charles nosił na użytek obcych, wróciła zbyt szybko.

– No tak – chrząknął zakłopotany Ian i zmienił temat. – Więc... Angus kazał wam przekazać, że czekamy jeszcze tylko na Rosjan i Francuzów. Uważał, że pewnie zainteresuje was, że Alfa z Wielkiej Brytanii przybył tylko ze swoją towarzyszką. Będziemy wiedzieć dokładnie, kiedy dotrą Rosjanie, bo mają zatrzymać się w mieszkaniu należącym do firmy Angusa.

– A czym się zajmuje? – zaciekawiała się Anna. Pakowali się w pośpiechu i nie zdążyła wypytać Charlesa, na czym właściwie ma polegać ich pobyt tutaj.

– Działa w branży nowoczesnych technologii – wyjaśnił Charles. – Tworzą programy umożliwiające działanie przedsiębiorstw. Przez ten tydzień będziemy korzystać z siedziby biura Angusa. Zwolnił pracowników wcześniej na urlopy świąteczne. – Popatrzył na Iana. – Założę się, że Francuzi już przybyli. Chastel będzie chciał wybadać tereny łowieckie, zanim dotrze tu zwierzyna.

– Nie zameldowali się jeszcze w hotelu, w którym zarezerwowali pokoje.

– Powiedz Angusowi, że Chastel nigdy nie zatrzymuje się w hotelach. To nazbyt publiczne miejsca. Z pewnością wynajął jakiś wygodny dom. I jest tu już prawdopodobnie od tygodnia, może nawet dwóch.

Charles twierdził, że nie zna się na ludziach, nie rozumie ich... I może to prawda. Z pewnością jednak znał się na drapieżnikach.

Drzewa przerzedziły się i zza pni wyłonił się dom. Podobnie jak ten należący do Brana, wpisywał się w otoczenie, wykorzystując elementy naturalnej topografii terenu i roślinność, dzięki którym bryła była częściowo ukryta. Interes Angus musiał być bardzo dochodowy.

– Angus przewidywał, że Francuzi będą stanowić największy problem – przytaknął Ian.

– Nie lekceważcie Rosjan – ostrzegł Charles. – Choć Angus prawdopodobnie ma rację. Jean jest potężny, wzbudza strach i jest szalony. Lubi zabijać, szczególnie jeśli ofiara jest słaba i bardzo się boi. Życie, do którego przywykł, skończy się, kiedy znajdzie się pod lupą po tym, jak ogłosimy światu nasze istnienie.

– Angus mówi, że Jean Chastel przekabaci innych na swoją stronę, bo wszyscy się go boją.

Charles uśmiechnął się drapieżnie, a jego oczy pozostały zimne.

– To nie jest demokracja, nie będzie żadnego głosowania. Nie w tej kwestii. Europejczycy nie mają nic do powiedzenia w sprawie naszego ujawnienia się. Jestem tu, aby wysłuchać ich obaw i zastanowić się, jak możemy im pomóc złagodzić skutki upublicznienia.

– To nie brzmi tak, jak przedstawiały to delegacje, które już tu są. – Ian uważał, żeby nie ująć tego tak, jakby podważał słowa Charlesa.

– A wilki azjatyckie? – zapytała Anna. – Albo australijskie czy afrykańskie?

– Oni się nie liczą – zbył ją Ian.

– Liczą się – stwierdził Charles cicho. – Rozwiązaliśmy już tę kwestię w inny sposób.

Annę uderzył w nos ostry zapach strachu. W głosie Charlesa, który widać uznał, że ich przewodnik się zagalopował, czaiła się groźba. Ian błyskawicznie ją wychwycił.

– Przestań go zastraszać – ofuknęła Charlesa Anna. – To sprawy, o których powinnam się dowiedzieć. Opowiedz o tych wilkach spoza Europy.

Charles skwitował jej ton uniesieniem brwi, ale odpowiedział chętnie.

– Wilkołak to potwór narodzony w Europie, a tu w Nowym Świecie też się nieźle zaaklimatyzowaliśmy. W Afryce jest nas niewiele, jeszcze mniej w Azji, gdzie żyją potwory, które za nami nie przepadają. W Australii są dwie watahy, łącznie około czterdzieści wilków. Tamtejsze Alfy zostały poinformowane o naszych zamierzeniach i nie zgłaszały obiekcji. Bran przedstawił również nasze plany wilkom z Ameryki Południowej. Odniosły się z mniejszym zachwytem, ale podobnie jak te z Europy, nie mają wiele do powiedzenia w kwestii decyzji ojca. Tyle że w przeciwieństwie do Europejczyków są tego świadome. Zaoferowaliśmy takie samo wsparcie jak to, które zamierzamy zaproponować tym ze Starego Świata, i to im wystarczyło. Zaprośmy ich na spotkanie, ale postanowili nie brać w nim udziału.



Poobijana, zmalretowana corolla miała ręczną skrzynię biegów i miękkie sprzęgło, więc Anna skupiała się całkowicie

na kierowaniu, dopóki nie wjechali na autostradę międzystanową prowadzącą do miasta.

– No dobrze – powiedziała. – Potrzebuję więcej informacji. Pewnie powinnam porządnie o wszystko wypytać, ale sprawy działały się tak szybko. Alfa z Wielkiej Brytanii, przybywając tu tylko z towarzyszką, pokazuje, że jest w stanie poradzić sobie sam ze wszystkim, co ewentualnie go tu czeka, tak?

Charles potwierdził skinieniem głowy.

– Między brytyjskim Alfą Arturem Maddenem a Angusem jest jakiś stary zatarg. – Zawiesił na moment głos. – W zasadzie to chyba Artur i ojciec też mają coś do siebie. Gdyby okazało się, że to problem, zadzwonię do ojca, żeby dowiedzieć się, o co chodzi. Tata twierdzi, że Artur to jedyny Alfa, który może mierzyć się z Chastelem, co mogłoby być naszym atutem. A potrzebujemy każdej przewagi.

Wydawał się... nie, nie zatroskany, bardziej zaintrygowany. Anna pomyślała, że w tym tygodniu zapowiada się innego rodzaju walka, nie na kły i pazury, ale na umysły. Te wszystkie dominanty, w większości Alfy, znajdują się w jednym pomieszczeniu. Wdadzą się w dyskusje, spory... Cóż, niewykluczone, że ostatecznie walka okaże się całkiem zwyczajna. W tej chwili jednak prowadziła samochód, a nie miała bladego pojęcia, dokąd jada.

– Jedziemy do hotelu?

– Tak. – Charles dał jej wskazówki, lecz kiedy odbili z autostrady i wjechali do miasta, dodał: – Ale najpierw jedźmy gdzie indziej. Odwiedzmy Danę, pradawną, która zgodziła się moderować ten bajzel. Nie występuje tylko w roli zastępcy ambasadora ONZ... To ona ma pilnować, żeby spotkanie przebiegało w cywilizowany sposób, tak byśmy nie musieli płacić za czyszczenie dywanów Angusa z krwi. – Możliwe, że podobnie jak ojciec, Charles jednak trochę potrafił czytać



w myślach. – Mam dla niej prezent od ojca w podziękowaniu za pomoc, za którą płacimy jej krocie.

– Pierwsze slysze o tej pradawnej. – Anna nigdy nie spotkala magicznej istoty, w kazdym razie nie takiej, o ktorej wiedzialaby, ze jest magiczna. Poczula dreszczyk ekscytacji i zacisnela palce na kierownicy. – Bran wciagnal pradawna w sprawy wilkołakow?

– Niezbędna jest obecność strony, która dopilnuje, żeby przemoc nie wymknęła się spod kontroli.

Anna pomyślała o znanych sobie wilkołakach – w ich przypadku przemoc zawsze wymykała się spod kontroli. Spróbowała wyobrazić sobie istotę, która potrafiłaby ją powstrzymać. Bran, Charles, ale oni zrobiliby to, również stosując przemoc.

– I ona to potrafi?

– Tak. A co ważniejsze, wszyscy o tym wiedzą.

– Jakiego to rodzaju magiczna istota? Czy Dana to nie niemieckie imię? Myślałam, że większość pradawnych pochodzi z Wysp Brytyjskich, wiesz, Walijczycy, Irlandczycy i Szkoci.

– Większość z tych, którzy żyją tutaj, pochodzi z północnej Europy. To Celtowie, Germanie, Francuzi, Kornwalijczycy, Anglicy. Dana to nie jest prawdziwe imię. W ciągu ostatniej dekady, czy jakoś tak, używa imienia „Dana Shea”, wariantu daoine sidhe. Wielu starszych pradawnych i wiem nie używa swoich prawdziwych imion, ponieważ coś tak długo z nimi związanego mogłoby nabrać mocy, którą dałoby się wykorzystać przeciwko nim, podobnie włosy czy paznokcie.

– A ty znasz jej prawdziwe imię? Wiesz, jakiego rodzaju pradawną jest?

– Nie, nie znam. Wątpię, czy nawet tata je zna. Wiem, że należy do Szarych Panów, najpotężniejszych magicznych istot. To grupa przywódców, którzy stoją na czele pradawnych tak, jak tata na czele wilkołaków. – Zerknął na nią. – No, jeśli tata

byłby psychopatycznym mordercą. I wiem też, do jakiego rodzaju magicznych istot należy. Poznasz ją, porozmawiasz, a potem powiesz mi, co sądzisz.

Anna prychnęła na wpół rozbawiona.

– I co dostanę, jak zgadnę?

Oczy mu zabłyśły, łypnął na nią jego wilk, a pożądanie w tym spojrzeniu powiedziało jej dokładnie, co ma na myśli, kiedy odparł:

– To samo, co jeśli nie zgadniesz.

Wyczekiwała na skurcz strachu czy wprost grozy, jaki zazwyczaj wywoływała u niej myśl o seksie, lecz tym razem poczuła jedynie przyjemne łaskotanie w brzuchu. W niecały miesiąc Charles przyczynił się do niemałych zmian, jakie zaszły w niej na tym polu.

– Świetnie – podsumowała, a Charles uśmiechnął się i wygodnie wyciągnął na siedzeniu pasażera.



Trasy przejazdowe w Seattle były dużo bardziej zróżnicowane pod kątem pokonywania naturalnych przeszkód niż te w Chicago. Nad wodą wznosiły się mosty, a pod wzgórzami biegły tunele, pozwalające przedostać się tysiącom samochodów pod osiedlami domów obojętnych na ruch pod nimi. Ponad zapachy spalin wybijała się woń słonych wód Puget Sound oraz pomniejszych jezior i kanałów. Szare niebo miejscami wyciskało z siebie deszcz, nie na tyle silny, by włączyć wycieraczki na pełną moc, ale wystarczający, żeby szyby po dłuższym czasie pokrywały się kroplami.

Podążając za wskazówkami Charlesa, Anna zjechała z autostrady i znalazła się w spokojniejszej okolicy, która równie dobrze mogła być niewielkim miasteczkiem w Wielkiej

Brytanii, jak i dzielnicą w Seattle. Miejsce było stare, osobliwe i piękne, choć nieco klaustrofobiczne. Po prawej znajdowały się przystanie z zacumowanymi łódkami i barkami mieszkalnymi, a po lewej ciągnęły się wąskie budynki wczepione w zbocze, które w miarę jazdy stawało się coraz bardziej strome.

Nad wodą oraz drogą, którą jechali, wznosił się ogromny srebrny łuk, kończący się na szczycie wzgórza na drugim brzegu. Nazwa przecznicy biegnącej pod mostem sprawiła, że Anna zdjęła nogę z gazu, żeby upewnić się, czy właściwie odczytała tabliczkę.

– Trolla?

– Co? – Charles oderwał wzrok od wody.

– Ulica Trolla?

– Ach, całkiem o tym zapomniałem. – Uśmiechnął się. – Jedźmy nią do góry.

Skreśliła w stromą ulicę i przez chwilę myślała, że nie był to dobry pomysł, bo niewielki niebieski samochodek z wysiłkiem wspinał się ostro pod górę. Zbocze okazało się jeszcze bardziej strome, niż wydało się z dołu. Uliczka, nie dość, że wąska, biegła pomiędzy podporami, a od góry ograniczało ją sklepienie stalowej konstrukcji mostu

Anna tak bardzo przejmowała się prowadzeniem samochodu, że nie zauważyła niczego, dopóki nie znaleźli się bliżej. Droga kończyła się skretem w inną. Most nad ich głowami wbijał się w szczyt wzniesienia. A w miejscu pomiędzy szosą i krańcem budowli kucało coś wielkiego.

Zatrzymała się, nie pytając Charlesa.

Wyrastający z piasku wielki głaz tak naprawdę był betonową podobizną homoidalnego potwora – mostowego trolla. Betonowe włosy istoty zwisały, zasłaniając jedno oko, drugie zaś ponad głową Anny wpatrywało się w wodę u podnóża zbocza, na które właśnie wjechali. Jedna z rąk, spoczywająca na prawdziwym volkswagenie garbusie, była tak wielka, że mieścił

się w niej prawie cały samochód. Maską garbusa kryła się w brodzie trolla, jakby autko szukało w niej schronienia.

Anna wysiadła powoli i przeszła na drugą stronę ulicy. Charles ruszył za nią. Posąg został niedawno zaatakowany kredą, a różowo-zielone mazy tylko podkreślały dziwaczność istoty. Na dłoniach stwora zaznaczono paznokcie i knykcie. Różowe i zielone kredowe kwiaty wspinały się na błotnik garbusa, na tylnej, pokrytej cementem szybie widniał napis „młoda para”.

Anna poczuła, że ktoś ich obserwuje. Ponad figurą, siedząca w szczelinie pomiędzy mostem a gruntem trójka czy czwórka bezdomnych spoglądała na nich niespokojnie. Jeden z mężczyzn odłożył na bok czytaną gazetę i zaczął ku nim schodzić.

Nieco powyżej średniego wzrostu, garbił się tak, że wyglądał na sporo niższego. Miał na sobie zniszczony płócienny prochowiec, obficie ubłocony, oraz dwa różne adidasy na nogach. Prawy świecił dziurą na paluchu, a lewy pęknięciem z tyłu, przez które wyglądała naga, brudna pięta. Dżinsy mężczyzny były nowe, jeszcze sztywne, ale równie ubłocone co płaszcz. Spod wierzchniej warstwy wyglądało kilka kolejnych – czerwona flanelowa koszula, pod nią druga, w żółtą kratę, i dosłownie skrawek poszarzałego podkoszulka.

Anna przyjęła do wiadomości obecność mężczyzny, ale ponieważ z Charlesem u boku nie stanowił dla niej zagrożenia, jej zainteresowanie pozostało głównie przy trollu. Zostawiła mężczyznę towarzyszowi, a sama wspięła się po tylnym zderzaku garbusa, po ramieniu figury, aż mogła dotknąć wielgachnego nosa.

– Podoba wam się mój mały troll, co? – zaczepił Charlesa nieznamy głosem chrapliwym, jakby latami palił paczkę papierosów dziennie. Nie pachniał jednak jak palacz.

Jego zapach dopłynął w górę do nosa Anny – ziemista woń magii i ostra, piżmowa, drapieżnika.

– Naprawdę taki był? – zapytała Anna, czując się bezpiecznie na swej grzędzie, bezpiecznie z Charlesem.

Mężczyzna spojrział w górę i zaśmiał się, odsłaniając nierówne, poczerńiałe zęby, ostrością dorównujące zapachowi.

– Ha! Możliwe, że ten, co to zrobił, cosik zobaczył. Cosik, czego nie trza mu było widzieć, wilczku. – Poklepał betonowe ramię, na którym stała, więc przezornie cofnęła się jeszcze. – Tak czy siak, zrobił mi przyjaciela, to i wszyscy zadowoleni. Nawet jednej z Szarych Panów się podobało. Nie zrobiła mi dużej krzywdy, zem nie powiedział, że mie widział.

Pradawni potrafili ukrywać swoją prawdziwą naturę. Mogli przybrać wygląd zwyczajnego człowieka. Ale ten głód, który wyzierał z jego oczu, gdy na nią patrzył, dowodził, że mężczyzna jest istotą nieśmiertelną i w dodatku dużo od niej starszą.

Jej wilczycy się to nie podobało i Anna zmrużyła oczy, a potem wydała warkot na tyle głośny, żeby go usłyszał. Żeby wiedział, że nie jest zwierzyną.

Roześmiał się w głos ubawiony tak, aż klepnął się po udzie dłonią w rękawiczce bez palców.

– Niech no bym się zapomniał na tyle, coby dziabnąć co nieco. – Kłapnął zębami, a w mroku pod mostem widać było iskry. – Już ona by mie obdarła ze skóry, a jakże. I rzuciła na żer wielkim ośmiornicom, co tu niedaleczko żyjom. – Wizja ta najwyraźniej go bawiła. – Ale może poć wilczyny jest tego wart...

– Trollu – rzucił Charles.

Magiczny tak świetnie bawił się rozmową z Anną, że zapomniał o prawdziwym zagrożeniu. Przypomniawszy sobie, gwałtownie cofnął się, przygarbił i zasyczał.

Charles wyjął z ucha jeden ze swoich prostych, złotych kolczyków i rzucił go trollowi, a ten chwycił błyskotkę w powietrzu z niehumanoidalną zwinnością.

– Bierz swoje myto i odejdz, prastary – powiedział wilk.

– Hej, Jer – dobiegło ich wołanie od strony dziury pod mostem. – Daj im spokój, bo nam tu gliny ściągną.

Troll w ludzkiej postaci przytknął kolczyk do nosa i powąchał. Wykrzywił twarz, a w jego oczach zamigotał niesamowity błękitny blask, który zaraz zgasł.

– Myto – wycharczał. – Myto.

– Jerry?

– Wszystko okej! – zawołał do swych... kolegów? Współlokatorów, współpodmostowników, bardziej ludzkich niż on. – Przywitać się tylko chciałem.

Odwrócił się do Charlesa. Przez jego twarz przemknął wyraz godności, wyprostował się, ściągnął łopatki i czystym, wyraźnym głosem powiedział:

– Mała rada za zapłatę. Nigdy nie ufaj pradawnym.

Zaśmiał się znowu, zmieniając się w bezdomnego, który do nich podszedł, po czym wdrapał się na zbocze, pod sklepienie mostu.

Charles nic nie mówił, ale Anna zeszła z betonowego trolla i wsiadła za nim do samochodu.

– Czy trolle są takie wielkie jak ta figura? – zapytała, zapinając pasy.

– Nie wiem. – Uśmiechnął się w odpowiedzi na zdumione spojrzenie, jakie mu rzuciła. – Nie jestem wszechwiedzący. Nigdy nie widziałem trolla w jego prawdziwej formie.

Zapaliła silnik.

– Myto to opłata za przekroczenie mostu, a my nie przejeżdżaliśmy przez niego.

– Ale weszliśmy na jego teren, więc myto wydawało się właściwą rekompensatą.

- A co z tą radą, którą nam dał?  
Uśmiechnął się znowu, szczerze rozbawiony.  
– Wiesz, co mawiają: „Nie ufaj pradawnym”.  
– No tak. – Była to wiedza powszechna. Od tego zaczynały się wszelkie historie o magicznych istotach i takie było ich clou. – A już na pewno, kiedy sami nam o tym mówią. Gdzie teraz?  
– Z powrotem ulicą Trolla. Widzisz tę przystań tam w dole? Dana mieszka na jednej z barek u stóp trolla.



Charles był w domu pradawnej tylko raz, ale z łatwością trafił na miejsce – wyróżniało się zdecydowanie.

Przy trzech z czterech pomostów cumowało wiele różnorodnych jednostek pływających. Przy ostatnim tylko jedna. Dwupiętrowa barka przypominała miniaturową wersję wiktoriańskiego domu z filigranowymi elementami dekoracyjnymi, które zachód słońca nad oceanem malował na niebiesko, pomarańczowo, żółto i czerwono.

To był całkiem nowy poziom ukrywania się na widoku. Żaden z sąsiadów, poza pradawnymi, nie wiedział, czym jest Dana. A ona była na tyle potężna, że miała wybór, ujawnić się albo nie, i zdecydowała się pozostać w ukryciu.

Charles również był potężny. Ale on nie miał wyboru.

– To tu? – zdziwiła się Anna. – Wygląda jak klasyczna bajkowa siedziba magicznej istoty.

– Zaczekaj, aż zobaczysz wewnątrz.

Przez prawie dwa wieki Charles podążał samotnie swoją prostą ścieżką, całkiem szczęśliwy – a przynajmniej zadowolony. Jego życie skupiało się na służeniu w każdy pożądanym sposobie Alfie, który był jednocześnie jego ojcem i Marrokiem.

Gdy ojciec wyjawiał swoje plany, powiedział, że potrzebuje sztandarowych wilkołaków, zaufanych, które na świeczniku nie zrobią niczego głupiego, a Charles zgodził się być jednym z nich. Nie żeby jego odmowa miała jakieś znaczenie, bo ostatecznie wilk musiał być albo posłuszny wobec swego Alfego, albo przez niego zabity. Charles miał całkowitą pewność – która przynosiła mu spokój – że nigdy nie byłby w stanie rzucić wyzwania Branowi.

Tak jednak wyglądała sytuacja, zanim pojawiła się Anna. Teraz jego życie kręciło się wokół niej, wokół zapewnienia jej bezpieczeństwa. A choć zgadzał się z ojcem, że obrany sposób postępowania jest właściwy, to i brat wilk, i on sam obawiali się, że stanie się osobą publiczną, wilkołakiem publicznym, i chronienie jej nie idą w parze.

W tym tygodniu nie mógł nawet oddechem dać do zrozumienia, jakie prawdziwe uczucia wobec tego żywi. Było to konieczne, żeby wilkołaki mogły się ujawnić. Nie miał co do tego wątpliwości.

Lecz obecność Anny w jego życiu zmieniała wszystko.

– Może powinniśmy sprawdzić, czy jest w domu? – zapytała Anna, wciąż oglądając konstrukcję z bezpiecznej odległości z nabrzeża.

Dana z całą pewnością wiedziała o ich przybyciu. Charles czuł muskanie magii na skórze już w drodze na przystań, ale czekała, aż zbliżą się bardziej.

Dana, *la belle dame sans merci*, świadczyła już wcześniej tego rodzaju usługi jego ojcu. Otrzymywała sutą zapłatę, ale w wypadku pradawnych zawsze warto było przynieść dodatkowo prezent w ramach podziękowania. Wypowiadanie słów podziękowania było niebezpieczne, ponieważ niektórzy pradawni traktowali je jako uznanie zobowiązania. Nie tylko Marrok dawał Danie prezenty, ale te od niego musiały być wspanialsze niż wszystkie inne razem wzięte. Mimo to Charles



nie musiał się do niej fatygować, tylko mógł jej wręczyć podarunek na pierwszym spotkaniu.

Ojciec sugerował, że Dana może docenić jego odwiedzinę przed oficjalnym spotkaniem w interesach i że Annie również mogłoby sprawić to przyjemność. I tak oto znaleźli się na pomoście, on, niosący pod pachą opakowany niewielki obraz, i ona, idąca przodem, właśnie wkraczająca na pirs i odkrywająca, że pływająca platforma kołysze się pod jej stopami.

Uśmiechnęła się do niego radośnie, kiedy wszedł na mokre deski.

– Ale fajnie! – krzyknęła, zrobiła rozbieg i serię przewrotów w powietrzu, jak uczeń na przerwie. Zatrzymał się, przytłoczony falą pożądania, miłości i lęku, która go zalała, emocjami, których nie zaznał nigdy i z którymi nie potrafił sobie radzić.

– No co? – zapytała bez tchu po akrobacjach. Odgarnęła włosy z twarzy i spoważniała. – Coś się stało?

Nie mógł przecież powiedzieć jej, że boi się, bo nie wie, co by zrobił, gdyby coś jej się stało. Że ta gwałtowna, nieoczekiwana reakcja dopuściła do steru brata wilka. Wytrącała go z równowagi, odbierała mu panowanie nad sobą, coś, co przez wszystkie te lata przychodziło mu zupełnie bez wysiłku. Surowo usiłował poskromić wilka i odzyskać kontrolę.

Anna skrzywiła się, unosząc dłonie do skroni.

– Wiesz, jeśli nie chcesz, żebym wiedziała, co czujesz, spróbuj jakoś oderwać od tego myśli, bo takie blokowanie mnie boli.

Nie zdawał sobie sprawy, że to robi. Nie chciał sprawić jej bólu. Zaczął się otwierać, a brat wilk przejął kontrolę i odsłonił ich zupełnie. Przypominało to rozłożenie parasola leżącego przez lata odłogiem. Zastane części skrzywiały, jęczały, sypał się kurz, inne pod naporem nagłego naprężenia groziły pęknięciem.

Czuł się nagi, tylko jeszcze bardziej. Jakby zrzucił skórę i stał ze wszystkimi zakończeniami nerwowymi na wierzchu, czekając na podmuch wiatru. Widoczne stało się wszystko, czym był, wyciągnięte na światło dzienne wszystko, czego nikt nigdy nie powinien zobaczyć. Nawet ona sama.

Na chwilę świat zatrzymał się, zawisł w momencie wyczekiwania, a potem nagle wszystko naraz runęło.

Lawina wspomnień, obrazów tego, czego był świadkiem i co sam zrobił. Ból, przyjemność, żal, jakby wszystko to działo się w tym samym momencie, teraz – zbyt wiele, za dużo, nie mógł oddychać...

Anna natychmiast znalazła się przy nim, tuląc, luzowała sprężynę, która zacięła się w pozycji otwarcia, pozwalając tym myślom, uczuciom wrócić w oddalone zakątki umysłu, ale nie tak głęboko ukryte, jak wcześniej. Czekał, aż ból ustabilizuje się na pewnym poziomie, ale ten zaczął roztapiać się w pieśni Anny, która go przenikała.

Jego osłony, mury pomiędzy nim a światem znów były na swoim miejscu, lecz Anna znalazła się wewnątrz nich. Czuł się z tym dziwnie, jednak nie nieprzyjemnie, bardziej jakby ktoś wyszarpnął mu dywan spod nóg.

Było to niezwykle intymne przeżycie, przerażające i cudowne. Zaczynał przywykać, że przy niej czuje się tak często.

Anna wtulała twarz w jego pierś, obejmowała go i nisko, słodko nuciła Brahmsa.

Pogładził ją po włosach i pocałował w czubek głowy.

– Przepraszam. I dziękuję. Brat wilk bierze wszystko nieco zbyt dosłownie, a nie podoba mu się, gdy cię coś boli. – Mimo że nadal był wzburzony, uśmiechnął się wbrew sobie. – Brahms?

Zaśmiała się niepewnie i cofnęła, żeby na niego popatrzeć.

– Przepraszam. Wpadłam w panikę. A muzyka pomaga mi się skupić... cokolwiek bym robiła. Wyciszająca muzyka. Kołysanka

wydawała się odpowiednia. Wszystko w porządku?

– Tak. – Natychmiast zdał sobie sprawę, że kłamie, więc się poprawił: – Nie, ale będzie.

Zaiste, ostry zakręt wzięło jego życie. Posiadanie towarzyski wyrzuciło ich obu, jego i brata wilka, z utartych kolein. Uśmiechnął się do siebie. W dodatku śpiewała mu kołysanki. I bardzo mu się to podobało.

Jakoś zdołał utrzymać się na nogach i nie chlupnąć w wodę i nawet nadal trzymał w ręku prezent od ojca dla Dany.

– To co, idziemy odwiedzić pradawną? – zapytał uprzejmie, jakby przed chwilą nie dostał właśnie objawienia, czy nawet duchowego załamania... nie potrafił znaleźć na to określenia.

– Jasne. – Anna wzięła go za rękę, a dotyk ten był nawet lepszy od objęć, bo czuł jej skórę na swojej.

Brat wilk wydał zadowolony pomruk, choć nie przepadał za przebywaniem w pobliżu pradawnej. Pradawnych ogółem. Nie należeli do watahy i nigdy nie mieli do niej należeć. Sam Charles lubił akurat tę pradawną, w każdym razie na tyle, na ile potrafił obdarzyć sympatią magiczną istotę. Jeśli chodzi o Danę, on i brat wilk zgodzili się, że zgody między nimi nie będzie.



Łódź, jak normalny dom, miała drzwi wejściowe. Anna czekała, aż Charles zapuka, przyglądając mu się ukradkiem spod rzęs. Tak doskonale nad sobą panował, że dopiero spojrzawszy na niego po wykonaniu salt, zobaczyła te złote, dzikie oczy. A potem poczuła. Zbyt wiele, żeby to przetrwać, zbyt wiele, by wszystko wyraźnie zobaczyć, czuła jedynie jego ból. Teraz znów odbudowywał ten mur pomiędzy nimi. Trudno powiedzieć, czy robił to celowo, czy machinalnie.

Zdawało się, że wrócił do siebie, ale nadal trzymała rękę na jego plecach pod kurtką, czując rozluźnione mięśnie grzbietu.

Wokół unosił się zapach solanki, miasta, roślin i terpentyny, ale nikt nie wyszedł ich przywitać.

Charles uchylił drzwi i wetknął głowę do środka.

– Dana?! Mam dla ciebie prezent od ojca!

Zdawało się, że na sekundę świat przestał się kręcić, lecz znów odpowiedziała im cisza.

– Dana?

Głos dobiegł ich z góry:

– Prezent?

Anna zadarła głowę. Na górnym pokładzie jedno z okien było otwarte.

– Tak właśnie mówił: że to prezent.

Anna wychwyciła ciepłe nuty w głosie Charlesa. Nie spodziewała się, że darzy prawną sympatią, lubił niewiele osób. Wilczyca, pobudzona tym, co stało się na pomoście, poruszyła się niespokojnie, zaborczo, obronnie.

– Przynies go tutaj, drogi chłopcze. Jestem w studio, nie chcę schodzić na dół, bo upapram wszystko farbą.

Drogi chłopcze? Anna zmarszczyła brwi. Najwyraźniej sympatia ta była obustronna.

Z roztargnieniem ujął jej dłoń. Wilczyca uspokoiła się pod jego dotykiem, a Anna ruszyła w głąb barki. Wydawało się, że Charles zna drogę – choć może podążał za gryzącym zapachem terpentyny.

Rozejrzała się, idąc za Charlesem. W holu wisiały rzędy obrazków motyli i ciem. Pokoje po obu stronach były niewielkie, przytulne, w barwach fioletu, rózu i błękitu, jakby wewnątrz urządzali graficy Disneya, którym zlecono udekorować doskonały bajkowy dom. W jednym z pomieszczeń znajdował się sztuczny wodospad bulgoczący psychotycznie wesolutko, zaś resztę miejsca zajmowało wielkie łóżko. Wszystko pachniało

tu słoną wodą oraz czymś, co wyczuła podczas rozmowy z trollem – może tak pachnieli pradawni?

Korytarz otwierał się na przyjemną kuchnię i wąskie schody oświetlone okienkami w suficie i obstawione kwitnącymi kwiatami w pasteloworóżowych, jasnobłękitnych i liliowych doniczkach. Na górze znajdowało się otwarte pomieszczenie z przeszkloną jedną ścianą, dającą widok na wodę. Pośrodku tej... oranżerii stała pradawna.

Jasna cera kontrastowała z mahoniowymi włosami, które sływały, wijąc się, aż do bioder. Ściągnięta w skupieniu twarzyczka wydawała się słodka. Szczupłe, długie palce, poplamione atrakcyjnie farbą, manipulowały małym pędzelkiem. Miała ciemnoniebieskie oczy o odcieniu jeziora w pełni lata. I pełne, ciemne usta. I była wysoka jak Charles, choć on, ze swoim ponad metr osiemdziesiąt, był wysokim mężczyzną.

Poza włosami nie odpowiadała wyobrażeniu, jakie stworzyła sobie w głowie Anna. Siateczka drobnych zmarszczek wokół oczu sprawiała, że twarz pradawnej wyglądała niczym zastygła w czasie między młodością a dojrzałością. Na szarym T-shircie plam było mniej niż na rękach, a sportowe spodenki odsłaniały umięśnione nogi, raczej silne i żyłaste niż jędrne i napięte.

Sztalugi z wielkim płótnem stały odwrócone tyłem, więc Anna nie widziała malowidła.

– Witaj, Dana! – zagrzemiał Charles.

Anna nie chciała, by kobieta patrzyła na jej towarzysza. Co nie miało przecież sensu. Pradawna nie była uderzająco piękna i nawet nie bardzo zwracała uwagę na Charlesa. Widocznie był to efekt resztek podenerwowania po tym, co stało się na pomoście.

No chyba że chodziło o „drogiego chłopca”.

Anna znów wsunęła dłoń pod kurtkę Charlesa i zacisnęła ją na śliskim jedwabiu koszuli, choć powstrzymała się od

warknięcia i wywleczenia go z barki jak najdalej od prądawnej.

Dana spojrzała z uśmiechem znad sztalugi, uśmiechem promieniującym radością matki spoglądającej pierwszy raz na swe niemowlę i tryumfem chłopca, który zaliczył pierwsze odbicie piłki kijem. Ciepłym, przyjacielskim, niewinnym i skierowanym do Charlesa.

– Przestań, Dano – powiedział Charles ochryple.

Zrobiła zranioną minkę.

– Ta magia na mnie nie działa – dodał z nutami autentycznego gniewu. – To, co robisz dla ojca, nie uprawnia cię do traktowania mnie z taką swobodą.

Anna zamknęła oczy. A więc to zaklęcie. Wciągnęła nosem zapach terpentyny i Charlesa, by oczyścić umysł. Zaklęcie. Podejrzewała jednak, że nie było wymierzone w Charlesa, nie do końca. Dana go znała, wiedziała, że potrafi bronić się przed magią.

Anna zrozumiała – to było wyzwanie. Prądawna, choć nie była wilkołakiem, tu, na swoim terytorium dominowała. I niewykluczone, że i Charlesa do niego zaliczała. Z pewnością niegdyś go obejmowało.

To właśnie wyczuła wilczyca. Ta kobieta spała z Charlesem. Anna zdawała sobie sprawę, że w ciągu dwustu lat spał z niejedną. Ale Dana nie była jego towarzyszką.

Anna znów odetchnęła głęboko i oparła czoło o ramię Charlesa, myśląc o tym, jak bardzo jego zapach na nią działał, jak działał na nią jego śmiech i niski, głęboki głos, gdy byli w łóżku. Nie szukała tamtej namiętności, choć było jej wiele, ale głębokiej, zrównoważonej jasności umysłu, którą dała mu jej obecność i która do niej wracała. Czegoś, co tylko ona mogła mu dać – wyciszenia.

Poczuła, jak jego mięśnie rozluźniają się, a usta muskają głowę. Otworzyła oczy i spojrzała prosto na prądawną.

– Jest mój – stwierdziła stanowczo.

Pradawna obdarzyła Annę niespiesznym uśmiechem.

– Właśnie widzę. – Zwróciła się do Charlesa: – Nie mogłam się oprzeć, chyba rozumiesz? Musiałam ją sprawdzić. Tyle słyszałam o wilczycze... która usidliła kobyłarza-samotnika.

– Uważaj, to niebezpiecznie ociera się o kłamstwo – ostrzegł ją Charles.

Uniosła brew, wyraźnie oburzona.

– Nie chcesz mnie – podjął. – Nie bądź psem ogrodnika.

Zadarła nos i wróciła do malowania.

– Ezop – prychnęła. – Ja przywołuję Tristana i Izoldę, Romea i Julię, a ty oplacasz mi suchym, starym Grekiem.

– Skoro Dana jest zajęta, prezent od ojca wręczymy jej jutro – rzucił w przestrzeń Charles, ale nie ruszył się.

Pradawna westchnęła.

– Wiesz, że zawsze najbardziej lubiałam i nienawidziłam w tobie tego, że nie potrafisz grać według reguł. Jestem starą kobietą, której niegdysiejszy kochanek znalazł sobie młodszą, ładniejszą. Powinieneś być zakłopotany, że twoja ukochana się o nas dowiedziała. – Zerknęła na Annę. – A ty? Spodziewałam się po tobie czegoś więcej, w końcu jesteś jego kobietą. Powinnaś przynajmniej wkurzyć się na niego, że nie powiedział ci o nas.

Anna zmierzyła ją chłodnym spojrzeniem, przypomniała sobie, że przyszli tu w ramach miłego gestu wobec kogoś, kto ma pomóc im osiągnąć zamierzone cele, i nie powiedziała: „Nie jesteś warta mojego gniewu”, tylko:

– Teraz jest mój.

– Dobrze, już dobrze – zaśmiała się Dana. – Obawiałam się, że znalazł sobie kobietę, która pozwoli mu robić swoje, a to byłoby okropne. Wystarczy spojrzeć, co połączenie się z tą kliszą z żurnala zrobiło z jego ojcem. – Pradawna wyciągnęła do Anny rękę, ale żałośnie spojrzała na swoją dłoń. – Podałabym ci rękę, ale usmaruję cię całą farbą. Tu jestem znana jako Dana Shea,

a ty pewnie jesteś Anna Cornick, niegdyś Anna Latham z Chicago.

Anna, pamiętając, co Charles mówił o prawdziwych imionach, poczuła się nieswojo, kiedy pradawna posłużyła się zaskakująco dokładnymi jej danymi.

– Nie tylko ja byłem ciekawa kobiety, która zdołała oswoić nasze stare wilczysko – ciągnęła Dana. – Przygotuj się więc na masę grubiaństwa ze strony kobiet. – Jej głos nabrał poważnych, ostrzegawczych tonów, kiedy popatrzyła na Charlesa: – I prób podchodów ze strony mężczyzn.

– Słyszałaś coś szczególnego? – zapytał Charles.

– Nie – zaprzeczyła Dana, kręcąc głową. – Ale znam mężczyzn i znam wilki. Żaden z nich nie jest na tyle dominujący, żeby rzucić ci wyzwanie prosto w twarz, ale ją będą postrzegali jako twoją słabość. Kiedy twój ojciec, zamiast przyjechać osobiście, postanowił wysłać tu ciebie, dał im szansę wyzwania. Nie jesteś Alfą, więc będą się wzdragali cię słuchać. – Podniosła przesiąkniętą terpentyną ściereczkę i zaczęła czyścić dłonie. – A teraz koniec pouczania. Chodźcie zobaczyć, co namalowałam.





### 3

**O** dważna kobieta, pomyślała Anna. Najpierw nas do siebie zraża, a potem pokazuje coś, co jest dla niej ważne. Mina pradawnej nie wskazywała, że ich zdanie ma dla niej znaczenie, ale postawa mówiła coś innego.

Anna nie miała pojęcia, czego się spodziewać, wystarczył jednak rzut oka na malowidło, żeby zaparło jej dech w piersiach. Znakomite dzieło, kunsztowne zarówno w detalu, jak kolorystyce i teksturze. Posągowa młoda kobieta o rudych włosach i jasnej cerze opierała głowę o tynkowany mur, patrząc z obrazu przed siebie na kogoś lub na coś. Znajdował się tam również kwiat, żółty, delikatny, o pięknym kształcie, trzymany przez niewidoczne ręce.

Kolory nie pasowały, były nazbyt jaskrawe, lecz w rysach twarzy kobiety, w krągłości ramienia tkwiło coś znajomego.

– Przypomina dzieła starych mistrzów holenderskich – stwierdziła Anna.

– Vermeera – zgodził się Charles. – Ale tego nie widziałem.

Pradawna z westchnieniem podeszła do stolika. Zaczęła czyścić pędzle szybkimi, nieomal gorączkowymi ruchami.

– Nikt go nie widział, odkąd spłonął w pożarze dwa wieki temu. I nikt go nie zobaczy, bo ten obraz nim nie jest. Vermeerem. Tak – zwróciła się do Anny. – Na co patrzy ta kobieta?

Wtedy dopiero Anna to dostrzegła, coś obcego pod iluzoryczną powłoką. Obcego i zarazem znajomego. „Nie zrobiła mi dużej krzywdy” – powiedział troll. Ta kobieta była drapieżnikiem z samego szczytu łańcucha.

Anna poczuła się nieswojo pod tym dziwnym spojrzeniem.

– Nie wiem. – Pokręciła głową.

Dana uczyniła gniewny gest ręką.

– Bo nie patrzysz na to.

To prawda. Anna spojrzała jeszcze raz na kobietę z obrazu, w jej jasne niebieskie oczy, kilka tonów jaśniejsze niż Dany. Jedyna odpowiedź, jaka przyszła jej do głowy, była głupia, ale i tak ją wyartykułowała.

– Na kogoś w tym pokoju?

– Nie. – Danie opadły ramiona. Zwróciła się do Charlesa: – Widzisz? Kiedy Vermeer skończył dzieło, sprowadził pierwszego lepszego chłopka z ulicy i nawet ten niepiśmienny głupiec był w stanie to dojrzeć. Uczniowie mistrza, obecni przy ukończeniu obrazu, nazwali go tak, jak odpowiedział wtedy chłop: „Spogląda na miłość”. Vermeer nazwał go tak, jak lubił, prozaicznie, „Dziewczyna z żółtym kwiatem”.

Anna jeszcze raz popatrzyła na obraz, a im dłużej się w niego wpatrywała, tym bardziej wydawał się jej dziwny. Nie zły w sensie wykonania, uchwycenia soczystości skóry, głębi barwy włosów czy sukni kobiety. Kojarzyło się jej to raczej ze słuchaniem utworu w wykonaniu programu komputerowego – doskonałego pod względem technicznym i... bez duszy.

– Nie znam się na malarstwie – broniła się Anna.

Dana pokręciła głową, uśmiechając się smutno. Obcy drapieżca zniknął.

– Nie, nie o to chodzi. Mój rodzaj został przeklęty miłością do piękna i niemożnością tworzenia go. – Osuszyła ręce. – Oczywiście nie dotyczy to wszystkich magicznych, ale wielu z nas, tych najgłębiej pogrążonych w magii, ztraca talenty twórcze. Ach, cóż.

– Podobnie jest ze smokami – rzekł Charles enigmatycznie.

Znał jakiegoś smoka?

Anna spojrzała na niego z ciekawością. Uśmiechnął się lekko, ale nie spuszczał oczu z pradowej, która skończyła czyszczenie pędzli.

– Smoki również nie potrafią tworzyć?

– Tak twierdzi ojciec – wzruszył ramionami Charles. – A mówi zawsze to, co uważa za prawdę.

Uśmiechnęła się szczerze i nagle jakby zaświeciło słońce.

– Podobieństwo do smoka nie jest takie złe. Spotkałam tylko jednego, mówił chyba, że zwiedza. Nie rozmawialiśmy wiele, ale był... jak obraz Vermeera. Sam był dziełem sztuki.

Charles przekrzywił głowę.

– No właśnie.

Dana również przekrzywiła głowę i popatrzyła na Charlesa, tak naprawdę na niego popatrzyła.

– Jesteś zabójcą na usługach Marroka. Nieokrzesanym. Niebezpiecznym.

– To prawda – przyznał.

Anna zauważyła z zainteresowaniem, że według pradowej „nieokrzesany” był bardziej godny uwagi niż „niebezpieczny”.

– To mnie w tobie pociągało – rzekła Dana. – Powiedziałabym, że dobrze cię znam. Ale nie wiedziałam, że potrafisz być również miły. – Położyła Charlesowi ręce na ramionach i błysnąwszy uśmiechem w stronę Anny, ucałowała go w policzek.

Anna wyczuła pulsowanie magii, którą pradawna posłała w stronę Charlesa, okrywając go nią niczym całunem czy siecią.

Magia ta ześliznęła się z niego, ale nawet Anna, która nie była celem, czuła emanujące z niej fascynację i żądzę.

– Spokojnie – rzuciła gospodyni do Anny. – Nawet siostra nie zrobiłaby tego bardziej niewinnie. Wspominałeś coś o podarunku dla mnie?

Nie kłamała. A nawet gdyby, Anna nie byłaby w stanie tego stwierdzić. Ale przecież pradowni nie mogą kłamać, prawda? Może nie używała tej magii umyślnie, może pojawiała się automatycznie, za każdym razem, a pradowna nawet już tego nie zauważała?

Na Charlesa chyba nie zadziałała, ale trudno powiedzieć, bo jego twarz ściągnęła się w neutralną maskę, którą zakładał przy ludziach. Nawet więź nie pomogła, Anna nic przez nią nie wyczuła. Ale przecież niemożliwe, żeby ten wzmocniony magią pocałunek nie zrobił na nim żadnego wrażenia, nie wywołał pożądania, podziwu, sympatii. Świadomie użyta czy nie, wzięła na cel Charlesa, a ją tylko musnęła i to wystarczyło, pomimo że Anny przecież nigdy nie pociągały kobiety.

Dotknęła lekko ramienia Charlesa. Nie zdążył całkowicie odbudować swojego muru, bo od razu wiedziała, co wywoływała w nim Dana Shea – ostrożność. Nie pożądanie czy strach, tylko nieufny respekt, jaki żywią do siebie drapieżniki znajdujące się na neutralnym terytorium. A potem odezwał się brat wilk...

Słyszała, że wilkołaki porozumiewają się, jak gdyby wilk i człowiek zamieszkujący ciało byli jednością. Niektóre nie miały w sobie nic wilczego, nawet w zwierzęcej formie, poza wrednym usposobieniem i chęcią zabijania wszystkiego, co przed nimi uciekało. Anna nie zastanawiała się nad tym zbyt wiele od czasu, gdy po Przeistoczeniu przez kilka miesięcy walczyła o zachowanie zdrowych zmysłów.

Charles czasami mówił o swojej bestii, jakby ta była odrębną istotą, z którą dzielił ciało, nazywał ją bratem wilkiem.

W tej chwili po raz pierwszy – być może z powodu tego dziwnego, przerażającego momentu na pomoście, kiedy poczuła wszystko, czym był, zbyt wiele, żeby to wszystko przyswoić czy dokładnie się temu przyjrzeć – poczuła Charlesowego wilka.

*Towarzyszko* – zwrócił się do niej stanowczo, ale nie rozkazująco – *wyjdź z naszej głowy, żebyśmy mogli rozmówić się z Tą Która Nie Jest Rodziną.*

Nie-Rodzina, to nie jedyne określenie, które wychwyciła w tym imieniu. Potężna, bezlitosna zabójczyni. Ograniczona zasadami. Nadmiernie ucywilizowana. Godny respektu wróg. Głos brata wilka rozbrzmiewał w jej głowie wyraźniej niż Marrokowy. W dodatku Marrok używał słów, a brat wilk nie był ograniczony czymś tak ludzkim.

Anna cofnęła rękę jak oparzona i popatrzyła na swoje palce. Charles trącił ją ramieniem w niemym pokrzepieniu, a zrobił to z taką swobodą, że pradawna pewnie tego nie dostrzegła. Albo była zbyt uprzejma, by uczynić na ten temat uwagę.

*Później* – dodał jeszcze brat wilk i znów została sama w swojej głowie. Sama z resztkami zazdrości i... bólem po odrzuceniu przez brata wilka. Przekonanie, że nie ma podstaw, żeby się tak czuć, wcale nie pomagało.

Charles wręczył Danie paczkę, którą przyniósł.

Dana uniosła brwi.

– Papier pakowy i sznurek?

– Tak to dostałem od ojca. – Wzruszył ramionami.

Pradawna pokręciła tylko głową, otworzyła szufladę biurka z drewna czeczotowego i wyjęła z niej srebrzyste nożyczki. Położyła pakunek na blacie, rozcięła sznurki i odwinęła papier.

Nagle obca istota, której przebłyski widziała Anna wcześniej, wyłoniła się w pełnej okazałości. Dana nie poruszyła się, nie mrugnęła, ale pokój wypełnił się zapowiedzią... czegoś

nieokreślonego. Każdy miesiąc, każdy włosk na ciele Anny kazał jej rzucić się do uciezki.

Zerknęła na Charlesa. Skupiał się na pradaawnej, nie wyglądał jednak na zaniepokojonego. Nie poczuł tego? A może jego pewność siebie wynikała z przekonania, że poradzi sobie z niebezpieczeństwem, jakie stanowiła Dana. Tak czy siak, jego spokój pomógł Annie odzyskać równowagę. Czekala z niecierpliwością, żeby ujrzeć, co wywołało tak silną reakcję gospodyni.

Jeszcze zanim Dana rozpakowała prezent, nie ulegało wątpliwości, że to obraz. Niewielki, może dwadzieścia na trzydzieści centymetrów, oprawiony w dębową ramę przedstawiał pejzaż z jeziorem.

– Tato kazał ci przekazać, że tyle zapamiętał – rzekł Charles. – Że być może nie uchwycił dobrze jakichś szczegółów, ale raczej nie.

– Nie wiedziałam, że Marrok maluje. – Głos Dany był głębszy, niższy i chropawy od starczej chrypki. Jej ręce trzęsły się, kiedy dotykała płótna. Potężna moc, którą Anna czuła przed momentem, zniknęła tak nagle, jak się pojawiła.

– Nie maluje – przyznał Charles. – Ale mamy w stadzie artystę. Posiada talent odtwarzania słów innych ludzi, a ojciec ma dar do słów.

– Nie sądziłam nawet, że twój ojciec tam kiedyś był. – Pradaawna robiła wrażenie... zagubionej.

– Wiesz, jaki jest ojciec – westchnął Charles. – Nikt nie widzi go, póki sam tego nie zechce. I jest bardem. Wędruje wszędzie.

Dana uniosła twarz. Miała opuchnięte oczy i czerwony nos, choć żadna łza nie stoczyła się po jej policzku. Wyglądała bardzo ludzko.

– Ale skąd wiedział?

Charles rozłożył ręce.

– Nikt nie wie, jak mój ojciec dowiadyuje się różnych rzeczy. Pomyślał, że to sprawi ci przyjemność.

Spojrzała jeszcze raz na obraz. Anna nie potrafiła powiedzieć, czy czuje przyjemność, czy nie, ale z pewnością była poruszona. Wstrząśnięta.

– Mój dom. Dawno już nie istnieje. Został zniszczony przez magię i naturę, źródło wyschło setki lat temu. W tym miejscu przebiega teraz ulica miasta, nosząca nazwę taką, jak setki innych w setkach miast. Myślałam, że wszystkie wspomnienia o nim umarły. – Dotknęła malowidła tak jak Anna Charlesa, delikatnie, świadoma, że sprawi jej to ból, ale nie mogąc się temu oprzeć.

Przechyliła obraz tak, by oni też mogli go zobaczyć. Brzeg jeziora, pomyślała Anna. Na tyle głębokiego, że odbijająca niebo woda przyciemniała błękit aż do czerni. Warsztat był mniej kunsztowny niż malowidło Dany, a rozmiar płótna dużo skromniejszy. Jednak w prostych pociągnięciach pędzla artysta uchwycił niesamowity charakter miejsca, dzięki któremu obrazek stał się oknem do innego świata. Świata, który nie pociągał Anny, ale pasował doskonale do obcości, której przebłysk pochwyciła w oczach Dany.

– Powiedz ojcu – powiedziała Dana, spoglądając znów na pejzaż – że postaram mu się zrewanżować czymś, co wywarłoby na nim takie wrażenie, jak ten dar na mnie. A jeśli mi się nie uda, będę mu dłużna.



– Cóż – powiedziała Anna, kiedy siedzieli już bezpiecznie w jadącym samochodzie. – To było... intrygujące.

– Nie spodobała ci się?

Popatrzyła na Charlesa, a potem znów skupiła się na prowadzeniu. Kiedy musnęła ją magia pradownej, pragnęła wielbić kobietę, paść u jej stóp i czekać na okruchy zainteresowania. Przez resztę czasu miała ochotę ją zamordować za flirtowanie z Charlesem – za to, że z nim spała.

Marzyła też o tym, by wpełznąć do jakiejś ciemnej dziury, żeby nigdy już nie przeszkadzać bratu wilkowi swoją obecnością – co sama uważała za głupią reakcję. Nie odtrącił jej. Nie naprawdę. Ale odprawił ją z takim lekceważeniem... Bez reszty skupiał się na Danie.

Danie, pradownej, należącej do Rady Szarych Panów, potężnej i pewnej siebie. Nie jakiejś tam słabo wykształconej dwudziestotrzylatce, która po trzech latach od Przeistoczenia nie wiedziała o byciu wilkołakiem nawet jednej czwartej z tego, co powinna. Nie pasowała do Charlesa, nie dorastała mu do pięt.

Nie mogła porozmawiać o tym wszystkim z towarzyszem, nie wychodząc przy tym na głupią gęś, skomplikowaną, wymagającą w obsłudze głupią gęś. Całe szczęście mogła odpowiedzieć mu, nie zdradzając, co ją dręczy po wizycie u pradownej.

– W Chicago w zoo jest pawilon z gadami. Byłam tam z wycieczką w podstawówce. Mają tam zieloną mambę. To najpiękniejszy wąż, jakiego widziałam, nie krzykliwy, ale ma skórę w niesamowitym odcieniu i jest tak jadowity, że po ugryzieniu zazwyczaj nie zdąża się podać antytoksyny.

– Uważasz, że jest piękna? – zdziwił się Charles i zastanowił. – Uroda Dany jest ciekawa, ale nie nazwałbym jej pięknnością. Większość pradownych nie tworzy pięknej iluzji, bo piękno przyciąga uwagę. Pradawni, podobnie jak my, żyją już tak długo, że mieli czas nauczyć się ukrywać na widoku.

Anna wpatrywała się przed siebie.



– Jest piękna. Wyjątkowa. W sali pełnej gwiazd pierwsza przyciągnęłyby spojrzenia.

Przyglądał się jej uważnie. Czuła to, choć całą uwagę skupiała na kierowaniu.

– To kwestia dominacji, nie piękna.

– Nie? – Wyprzedziła dwóch młodych ludzi w ferrari. Oburzeni, zaryczeli za nią silnikiem i zbliżyli się tak, że widziała niedogolony zarost jednego z nich. – Piękno nie zawsze jest jednoskładnikowe. Weźmy muzykę Paganiniego.

– Ale to muzyka.

– Ale wiesz, o co mi chodzi.

Nie zadowalał się łatwą, przyjemną konwersacją, a Annie podobało się, że bierze jej słowa pod rozwagę, zamiast obojętnie się z nimi zgodzić.

– Widziałem ją bez iluzji – odezwał się po chwili. – Może to sprawiło, że nie widzę subtelności. Zostałem jej kochankiem, bo uważałem, że jest interesująca. – Obserwował, jak zareaguje.

Jeszcze tego ranka powiedziałyby mu wprost, jakie uczucia wzbudza w niej rozmowa o jego byłej kochance. Jednak od tamtej pory miała okazję zobaczyć przebłysk jego prawdziwego wnętrza, odsłoniętego do żywego – choć starała się nie patrzeć. Nikt nie powinien stać tak nagi przed inną osobą. Ale zauważyła coś... nieoczekiwanego. Wiedziała, kim jest, wiedziała, kim był. Nie chodziło o to, że uważała siebie za bezwartościową, ale... Charles był jak żywioł natury.

Bał się, że Anna nigdy nie zobaczy, kim naprawdę jest, że nigdy go nie pokocha, dlatego że sam, patrząc w lustro, widział jedynie zabójcę. To z tego powodu blokował łączącą ich więź. Kochał ją ponad wszystko w świecie i nie wierzył, że może odwzajemnić jego uczucie. Trwał w wyczekiwaniu, że Anna w końcu zmądrzeje i go zostawi.

A ją przerażała ta wiedza. Miała wrażenie, że dostała kruchą, cenną farfurkę i każdy gwałtowniejszy ruch może ją zniszczyć.

Czuła, że coś takiego powinno znaleźć się w silniejszych, sprawniejszych rękach, które go nie uszkodzą. Nie żeby prawie z miejsca nie zaznaczyła przed Daną swoich praw do Charlesa.

Ponieważ milczała, podjął:

– Danę pociągało we mnie to, że jestem odporny na jej magię. Chciała sprawdzić, jak to jest z kochankiem, który nie jest pod wpływem jej zaklęcia wywołującego żądzę.

– Och, jestem pewna, że opakowanie tej odporności wcale jej nie przeszkadzało – prychnęła Anna.

– Fatalnie to rozegrałem, prawda? – westchnął Charles. – Bardzo cię przepraszam.

Anna zerknęła na niego z ukosa.

– Nie chciałem tego zagrzebywać w zamierzchłej historii, ale nie zdążyłem uprzedzić Dany. A potem... Nie jestem mistrzem słowa. Ale pozwól, że wyjaśnię to do reszty. Między nami nie było niczego poza uznaniem dla tego drugiego. I wszystko to miało miejsce ponad wiek temu.

– W porządku. Rozumiem. – Anna pomyślała, że najlepiej rozładować moment żartem. Ironią. – Miałeś wiele czasu, żeby zebrać cały batalion kochanek, o które mogę mieć do ciebie pretensje.

Ciepła dłoń zamknęła się na jej kolanie, a ciepły głos otulił ją w środku.

– Podobało mi się to, jak zaznaczyłaś, że to do ciebie należę – rzekł Charles i zawahał się. – Chyba nie podobało mi się, że potrafisz rozmawiać z nią, nie okazując zazdrości o mnie.

Zdjęła dłoń z kierownicy i pogładziła go po ramieniu.

– Musisz zbadać sobie nos, mój Kemo Sabe. – Skoro on zdobył się na szczerość, ona również mogła. – Nie podoba mi się, że o niej mówisz, a kiedy cię pocałowała, miałam ochotę wydrapać jej oczy. A potem brat wilk mnie odtrącił...

– Nie, to nie tak. – Charles zabębnił palcami o plastikową ramę szyby. – On po prostu... Nie jest zdolny do subtelności,

nawet w ramach złagodzenia komunikatu. Jest bardzo bezpośredni.

Młodzieńcy w ferrari wciąż siedzieli jej na zderzaku. Wcisnęła lekko hamulec w ramach ostrzeżenia.

– Cóż – odezwała się. Bezpośredni. – To wszystko wyjaśnia – mruknęła, ale już jej to nie trapiło, bo czuła bardzo bezpośrednio potwierdzenie, że i brat wilk czerpał przyjemność z faktu, że zaznaczyła przed Daną swoje prawa do niego. Nie odbierała wszystkiego, od Charlesa w tej chwili w ogóle niewiele, lecz brat wilk był gotów na znacznie większą otwartość wobec niej.

– Macie więcej wspólnego niż tylko ciało – zauważyła.

Charles wybuchnął śmiechem i zsunął się na fotelu.

– Pewnie tak, i tego dobrego, i złego, co? On nie znosi pradawnych, nawet Dany. Poza tym... nadal przywykamy, że z nami jesteś. Chronimy watahę, zawsze tak było. Szczególnie uległe wilki, które są jej sercem.

– A on... ty postrzegasz mnie jako über-uległą, tak? – Przecież była Omegą, a nie uległym wilkiem. Ale fakt, pełniła w stadzie tę samą rolę. Dominujące wilki mogły się przy niej wyciszyć, bo wiedziały z całą pewnością, że nigdy nie rzuci im wyzwania. Nie dlatego, że nie może, ale dlatego, że nie chce. Omegom nie zależało na pozycji w watasze, zależało im na samej watasze.

– Jesteś nasza – stwierdził stanowczo, a nastrój lekkości zniknął. – Moja i brata wilka. Mamy cię chronić. Dana jest, jaka jest, ale „niegroźna” nie należy do słów, które ją określają. Ty nas rozpraszałaś, a gdybyśmy rozmawiali z tobą zbyt długo, mogłaby się zorientować i poczuć urażona. Niezwykle łatwo urazić pradawnego i Dana nie jest wyjątkiem.

– Dziwnie zareagowała na obraz, który podarował jej Bran – zauważyła Anna.

– Była bardzo poruszona – zgodził się Charles. – Ale ten dar musiał przewyższyć inne, które otrzyma podczas zjazdu.

Pozostawanie po właściwej stronie pradawnego to skomplikowany taniec, ale zostawiam ojcu znajomość odpowiednich kroków.

– A ten Vermeer... Czemu nie namalowała czegoś swojego, zamiast kopiować innych?

– Jej własne kompozycje są... dużo gorsze. Pamiętasz te obrazy smutnych klaunów? A może jesteś na to zbyt młoda? Swego czasu były modne, wisiały wszędzie. Jaskrawe kolory, płaska perspektywa. Puste.

– U mojego dentysty wisiał taki. – Anna aż się wzdrygnęła na wspomnienie.

– No, to jej własne obrazy są właśnie takie.

– Może powinna malować pejzaże? – zasugerowała Anna. – Tło w tym Vermeerze było całkiem niezłe.

– Raz jej to podsunąłem, ale nie wydawała się zainteresowana. Dana chce malować to, na co lubi patrzeć, kochanków i marzycieli.

– Myślisz, że wataha ma dobre ubezpieczenie? – rzuciła Anna, zerkając we wsteczne lustro.

Charles spojrział przez ramię spod zmarszczonych brwi.

Ferrari gwałtownie się oddaliło.

– Dżiii, dobrze jest mieć cię pod ręką.

– Dziękuję.

Anna jechała przed siebie, klucząc między samochodami i rozmyślając o Danie z większą niż wcześniej wyrozumiałością.

Jak by to było kochać muzykę jak ona i nie móc śpiewać czy grać? Albo gorzej, posiadać biegłość, lecz nie móc przekroczyć granicy pomiędzy odtwarzaniem nut, wydobywaniem melodii, rytmu a prawdziwym muzykowaniem? Wiedzieć, że jesteś o włos od uzyskania tego, ale nie rozumieć, jak z metronomicznej poprawności uzyskać moc i prawdziwe piękno.

Spotkała kilka takich osób w szkole. Niektórym z nich się udało dokonać przemiany, innym nie.

W konserwatorium Northwestern, z którego musiała odejść po Przeistoczeniu, studiowała muzykę. Jej wiodącym instrumentem była wiolonczela.

Pierwsze skrzypce z jej kwartetu grał chłopak tak dobry technicznie, tak precyzyjny w odtwarzaniu, że potrafił oszukać profesorów, przekonać ich, że gra muzykę. Po prostu cudowne dziecko.

Zakładała, że jest tego nieświadomy, aż pewnego wieczoru po koncercie poszli do baru na piwo, żeby świętować udany występ. Reszta poszła bawić się na parkiecie, ale ona została z nim przy stoliku, zaniepokojona, że najwyraźniej zamierza upić się na umór, choć zazwyczaj zgłaszał się na kierowcę i sączył mrożoną herbatę czy kawę.

– Anno – powiedział, wpatrując się w bursztynową zawartość szklanki, jakby kryła w sobie sekrety wszechświata – ciebie nie oszukam, prawda? Tamci – machnął ręką na znajomych – myślą, że jestem geniuszem, ale ty znasz prawdę, prawda?

– Jaką prawdę? – zapytała.

Pochylił się, poczuła zapach piwa i papierosów.

– Wiesz, że jestem oszustem. Czuję w sobie tę bestię, która drze pazurami, żeby się ze mnie wydostać. A jeśli wypuszczę ją na wolność, pociągnie mnie ze sobą wbrew mojej woli na sam szczyt.

– To dlaczego jej na to nie pozwolisz? – Wtedy nie była jeszcze wilkołakiem. Świat był dla niej miłym miejscem, potwory mieszkały w szafach, a ignorancja dodawała jej odwagi.

W jego oczach widziała znużenie, wiekowość, a język mu się plątał.

– Bo wtedy wszyscy się dowiedzą.

– O czym?

– Jaki jestem.

Aby tworzyć wielką sztukę, trzeba odsłonić duszę, a lepiej, żeby pewne rzeczy pozostały w ukryciu. Przez jakiś czas po wymuszonym Przeistoczeniu Anna nie grała, bo musiała sprzedać swoją wiolonczelę.

– Anno?

Poprawiła chwyt na kierownicy.

– Myślałam o Danie, o tym, że nie może malować tego, co by chciała. – Zawahała się. – Zastanawiam się, czy to dlatego, że nie posiada duszy, takiej jak postrzega ją Kościół. Czy może przez zakorzeniony głęboko lęk przed odsłonięciem tego, co w niej tkwi.



Wybrał ten hotel ze względu na Annę. Chciał, żeby czuła się swobodnie. Stać go było na bardziej wyszukane miejsce, w Seattle było wiele takich, skrzących się szkłem i stalą.

W niektórych miastach przedsiębiorstwo Marroka posiadało nawet kilka hoteli, a w innych poczyniło ogromne inwestycje w tym kierunku. Pamiętał jednak, jak bardzo przytłoczył Annę jego dom parę tygodni temu, a przecież nie był ani szczególnie duży, ani luksusowy. Uznał więc, że lepiej będzie się czuła w tym hotelu, który zresztą był jego ulubionym.

Czasami czuł się zakłopotany tą potrzebą pokazania jej wszystkiego, co ceni, z nadzieją, że i jej się to spodoba. Był za stary na takie dogadzanie sobie – popisy lotnicze, ulubiony hotelik. W końcu będzie musiał powiedzieć Annie o portfelu inwestycyjnym, który założył na jej nazwisko. Ale był zbyt wytrawnym myśliwym, żeby brakiem cierpliwości spłoszyć zwierzynę. Musiał poczekać, dopóki ona nie poczuje się z nim swobodniej, z nim, z watahą... ze wszystkim.

Anna zatrzymała się przy krawężniku przed wejściem. Kiedy wysiedli, poczuł jej spięcie na widok zbliżającego się parkingowego. Wręczyła mu kluczyki, a potem objęła się ramionami. Charles podał nazwisko i wręczył napiwek chłopakowi za to, że taktownie zignorował stan samochodu. Obserwując ją spod oka, odmówił pomocy i sam wziął bagaże. Zgadywał, że czułaby się lepiej bez wyręczającej ich obsługi.

Może powinien był zabrać ją w bardziej prywatne miejsce, gdzie sami parkowaliby samochód i nikt nie pytałby, czy potrzebują pomocy? A może nadal była zdenerwowana Daną, która próbowała wzbudzić w niej zazdrość? Albo obcesowym zachowaniem brata wilka?

Brat wilk nigdy wcześniej nie mówił w ten sposób do nikogo poza nim. Nawet do taty. Może to wytrąciło ją z równowagi? A może chodziło o to, jak nagle i całkowicie brat wilk obnażył ich przed nią? Ujrzała coś, co wzbudziło jej wstręt? Przeraziło? Może ten dystans, na który trzymała go od opuszczenia domu Dany, nie miał nic wspólnego z zazdrością?

Nie przywykł do tego emocjonalnego rollercoastera, który stał się jego udziałem, odkąd poznał Annę. Dobrze, że była Omegą, która roztaczała wokół siebie aurę spokoju, a nie dominującą wilczycą. Brat wilk i tak zawsze dyszał mu w kark, więc tylko w chwilach, gdy Anna była szczęśliwa lub gdy go dotykała, oddawał mu całkowitą kontrolę.

Musieli szczerze porozmawiać, ale nie przy tych wszystkich ludziach.

Ten hotel był starszy, zbudowany z cegły, nie stali i szkła, i miał tylko jedenaście pięter, a nie trzydzieści. Był też staroświecko ekskluzywny i urządzony w śródziemnomorskim stylu art déco, który miał raczej budzić zachwyt, niż robić wrażenie. Kiedy weszli do lobby, Anna, nadal cicha, zatrzymała się tuż za progiem. Zadarła głowę, zagapiając się na gigantyczną choinkę udekorowaną, zamiast bombek, wielkimi

ciemnoczerwonymi, bordowymi i srebrnymi kokardami z tkaniny i jeszcze większą złotozieloną na czubku.

Potem uśmiechnęła się i wzięła go pod ramię. I już wiedział, że dobrze wybrał. Hotel zdobył jej uznanie. Brat wilk pławił się w satysfakcji, że udało mu się zadowolić towarzyszkę.

Ich pokój znajdował się na siódmym piętrze, co akurat bratu wilkowi wcale się nie podobało. Wolałby mieć możliwość skorzystania z okna jako ewentualnej drogi ewakuacyjnej, za to Charles cenił sobie, że w razie czego nieproszeni goście będą mieli utrudniony dostęp, i wilk zgodził się z tym argumentem.

Drzwi windy rozsunęły się, ukazując wielkie lustro, sprawiające, że korytarz wydawał się przestronniejszy, oraz wypełnioną wodą szklaną kulę stojącą na małym stoliczku.

– Złota rybka? – zdziwiła się.

– Twarde z nich zawodniczki.

– Nie da się zaprzeczyć – zaśmiała się. – Znajomy uratował kiedyś jedną z akademika, gdzie pływała w dzbanie z piwem. Ale po co złota rybka tu, w hotelu?

– Nigdy o to nie pytałem. – Wzruszył ramionami. – Ale gościom przybywającym samotnie wstawiają je do pokoju, żeby mieli towarzystwo.

Bardzo długo żył samotnie, mimo że miał watahę, mimo że brał sobie kochanki i że inni brali sobie jego na kochanka. Tak musiało być, ponieważ, jak powiedziała Dana, był zabójcą na usługach swojego ojca. Musiał odgradzać się od ludzi – łatwiej zabić znajomego niż przyjaciela.

Ale teraz nie był już sam. I kochał to, upajał się tym, choć dręczyło go połowiczne przekonanie, że ta więź kiedyś doprowadzi do jego śmierci. Dla Anny spaliłby cały świat.

Ale może do tego nie dojdzie.

Otworzył drzwi i stanął z boku, czekając, aż Anna zapozna się z nowym terytorium.



Chodziła po pokoju, dotykając stolika, sofy w saloniku, pociągnęła za frędzel na gobelinowych zasłonach, oddzielających alkowę od reszty pomieszczenia.

– Niemal jak scenografia z „Szejka” – podsumowała. – Łącznie z tą pasiastą tapetą, przypominającą ściany namiotu, i tym tkaninowym parawanem. Fajnie.

Usiadła na łóżku i aż jęknęła.

– Mogłabym do tego przywyknąć. – Potem zwróciła na niego ciepłe, brązowe oczy. – Chyba musimy porozmawiać.

To, że się z nią zgadzał, nie zapobiegło uczuciu zimna, które zaległo mu w żołądku. Rozmowy nie należały do jego specjalności.

Przesunęła się i siadła na końcu łóżka ze skrzyżowanymi nogami.

– Chodź, nie ugryzę. – Poklepała materac obok siebie.

– Szkoda.

Uśmiechnęła się szeroko i nagle jego świat wskoczył na właściwe miejsce – tak, źle to wszystko zinterpretował.

– A przynajmniej zrobię to tak, żeby ci się podobało.

Charles zostawił bagaż przed łazienką, blokując drzwi na korytarz, a brat wilk nawet nie zaprotestował przeciw tarasowaniu drogi ucieczki. Ciepło, którym Anna emanowała, przyciągało jak ogień zimą i nie było ucieczki ani dla niego, ani dla brata w jego ciele. I żaden z nich nie był z tego powodu niezadowolony.

Zdjął kurtkę i rzucił ją na podłogę. Potem usiadł na łóżku i zszedł buty. Usłyszał, jak jej tenisówki lądują przy łóżku, i nie patrząc na nią, położył się na materacu. Rozmowa. Mówiła o rozmowie. Najlepiej pójdzie, jeśli będzie patrzył na ścianę.

Czekał, aż ona zacznie. Gdyby to on w pierwszej kolejności zadał jej nurtujące go pytania, Anna mogłaby już nie postawić swoich. Z doświadczenia wiedział, że tak to już bywa z mniej dominującymi wilkami.

Po chwili położyła się obok niego. Przymknął powieki i pozwolił, aby otoczył go jej zapach.

– Czy ta więc jest dla ciebie tak kłopotliwą sprawą, jak dla mnie? – zapytała cicho. – Czasami mnie to przytłacza, wolałabym, żeby była zamknięta, mimo że to bolesne. A znów kiedy jest przyblokowana, tęsknię za tą bliskością, którą daje mi wgląd w twoje uczucia.

– Tak – zgodził się Charles. – Nie przywykłem do dzielenia się sobą z kimś poza bratem wilkiem. – To nasza towarzyszka, pomyślał. Zmaga się z trudnościami i powinienem zrobić wszystko, żeby jej użyć. Dlatego wykorzystał słowa, w operowaniu którymi nie czuł się biegły, żeby powiedzieć jej to, co mógł. – Nie obchodzi mnie, co sądzi o mnie brat wilk, ale ty... Twój osąd jest dla mnie ważny. To... trudne.

Przysunęła się bliżej, aż poczuł na karku jej oddech.

– Żałujesz czasem, że to się stało? – zapytała cichutko.

Usiadł gwałtownie i spojrzał na nią, szukając w jej twarzy podpowiedzi, co miało oznaczać to pytanie. Nagły ruch sprawił, że cofnęła się raptownie, i gdyby łóżko nie było tak wielkie, spadłaby z niego podczas tej ucieczki.

Zamknął oczy, starając się odzyskać panowanie nad sobą. Nie było tu wrogów, których należało zabić.

– Nigdy – oświadczył ze stanowczością, którą, jak miał nadzieję, usłyszała w jego głosie. – Nigdy, przenigdy nie będę tego żałował. Gdybyś wiedziała, jak żyłem, zanim się pojawiłaś, nawet nie zadawałabyś takich pytań.

Ciepło i bliskość poprzedziło jej dotyk.

– Masz przeze mnie tylko kłopoty. I zanim to się skończy, pewnie sprawię ci ich jeszcze więcej.

Charles otworzył oczy, zaciągnął się zapachem Anny, jej obecnością, i pocałował piegi na jej policzku. Potem te na boku nosa i ten tuż nad wargą.

– Samuel, mój brat, od dawna powtarzał, że potrzebuję czegoś, co mną wstrząśnie.

Pocałowała go, a robiła to na tyle rzadko, że znieruchomiał, rozkoszując się tym dowodem zaufania. Miała za sobą piekło udręki, jakie sprawiły jej potwory, i czasami lęk nadal trzymał ją w swoich szponach.

– Jak tak dalej pójdzie, nici z rozmowy – powiedziała, odsuwając się.

I dobrze, pomyślał. Wiedział jednak, że muszą omówić pewne kwestie, położył się więc, zakładając sobie ręce pod głowę, mimo że na łóżku były przynajmniej trzy zestawy poduszek.

– Nie opuszcza mnie wrażenie, że robimy coś nie tak – odezwała się. – Że ta więź pomiędzy nami ma dawać nam o wiele więcej, niż jej na to pozwalamy.

– Nic złego między nami się nie dzieje – zapewnił ją.

Prychnęła sfrustrowana, uznał więc, że nie takiej odpowiedzi oczekiwała. Spróbował inaczej.

– Przed nami dużo czasu, kochana. Póki oboje kroczymy po obranej przez nas ścieżce, póty będziemy mieć czas, żeby to wszystko poukładać.

Czuł, że skupia się na tym, co powiedział.

– W porządku – rzekła w końcu. – To dla mnie okej. Czy to znaczy, że jeśli uznam, że zbaczasz w złym kierunku, mam ci o tym powiedzieć?

– A dałabyś radę się przed tym powstrzymać? – Uśmiechnął się wesoło.

– Nie dzieje się między nami nic złego – powtórzyła z satysfakcją. – To oznacza tak, prawda?

– Tak, to oznacza tak.

– Ale czy czujesz się tym tak samo dezorientowany jak ja?

Wydawało się, że to dla niej istotne, żeby znajdowali się na tej samej płaszczyźnie. Jednak nie mógł jej okłamać.

– Nie. Moja dezorientacja wynika chyba z czegoś innego. I chyba jest znacznie większa. Ty nie miałaś dwustu lat, żeby stać się tym, kim jesteś. A kiedy wszystko się zmienia... – Wzruszył ramionami.

Nie targały nim wcześniej takie emocje. Wszystkie uczucia i pragnienia swojej ludzkiej połówki zebrał i zepchnął je gdzieś, żeby nie przeszkadzały mu w tym, co robił. A teraz wypłynęły, a on nie posiadał narzędzi, żeby sobie z nimi radzić. A nie był na tyle głupi, by wierzyć, że znów dadzą się gdzieś upchnąć.

– Czyli jesteś zdezorientowany, ale inaczej – powtórzyła. – W porządku. Niech będzie.

Powiodła palcem wzdłuż jego ramienia.

– Gdy cię dzisiaj dotknęłam... poczułam, jakby żyły w tobie dwie dusze. Czy ze mną jest tak samo?

– Anno, jesteś, kim jesteś. Brat wilk i ja... Wiesz, że urodziłem się wilkołakiem, nie zostałem nim w wyniku Przeistoczenia. To chyba sprawia, że jest inaczej. Większość wilkołaków, żeby jakoś funkcjonować, musi poskromić swe bestie, o ile w ogóle nie podporządkować ich sobie całkowicie. Po jakimś czasie duch wilka zostaje zredukowany do części ducha człowieka. Niewyobrażalnie dzikiej części, brutalnej, pełnej instynktów i żądz, ale nie prawdziwych myśli. – Popatrzył na jej dłoń, bladą w kontraście do zielonej jedwabnej koszuli, którą miał na sobie. – Nie jestem swoim dziadkiem, nie potrafię zaglądać w ludzkie serca. Nie wiem nawet do końca, czy jest tak, jak ci powiedziałem. To tylko to, co widziałem i co czułem. Doszliśmy z bratem wilkiem do pewnego kompromisu. W sytuacji, kiedy mam lepsze możliwości działania, on oddaje mi pełną kontrolę, w innych odwdzięczam mu się tym samym.

– Dwie dusze – powiedziała.

– Nie. – Pokręcił głową. – Jedna dusza, jeden człowiek, dwa duchy. Stanowimy jedność, nierozzerwalną. Gdyby umarł, ja umarłbym również.

– Czy ja okaleczyłam swoją wilczycę?

Przewrócił się na bok poruszony jej troską.

– To nie jest coś, czego można żałować. To była kwestia przetrwania. Ale na pocieszenie powiem ci, że moim zdaniem ty i twoja wilczyca również doszłyście do porozumienia, tyle że innego rodzaju. – Uśmiechnął się. – Uważam, że to dlatego brat wilk wybrał cię, zanim my mieliśmy szansę lepiej się poznać. Równoważymy się, ty i ja, twoja wilczyca i mój wilk. Jest nieśmiała, cicha, dopóki nic ci nie grozi, ale jest w tobie.

Anna objęła go.

– Dobrze. Z tym mogę żyć, to lepsze niż inne opcje.

– Czy potrzebujesz dalszej wymiany słów, czy możemy się już bez nich obejść? – zapytał głosem, który od jej dotyku nabrał chrapliwych tonów.



## 4

**N**ie zdążyła odpowiedzieć, przeszkodził jej telefon. Charles poznał po dźwięku, że to nie ojciec, i gdyby znajdowali się w domu, z pewnością pozwoliby, żeby dzwoniący się nagrał. Ale tutaj był w pracy, a to oznaczało odbieranie połączeń nawet w niedogodnych momentach. Sięgnął więc po leżącą na podłodze kurtkę i wyjął z kieszeni telefon.

– Charles – powiedział.

Z aparatu popłynął strumień francuskiego tak szybki, że wyłapywał jedno słowo na cztery. To wystarczyło.

– Już jadę – rzucił i rozłączył się, zanim tamten wilk skończył mówić. – Zrozumiałaś? – zapytał, zakładając buty.

– Nie znam francuskiego. – Anna również wsunęła stopy w tenisówki.

– Wilki z Hiszpanii jedzą w restauracji, do której Jean Chastel zabrał swoje. Sytuacja eskaluje, a do tego wszystkiego jest tam też Alfa brytyjski.

– Kto cię powiadomił?

– Michel, jeden z Alf z Francji. Oberwie mu się, jeśli Chastel się o tym dowie. Z tego, co zrozumiałem, dzwonił z toalety. Miejmy nadzieję, że zabezpieczył się odpowiednio, żeby nie wpaść. – Charles zarzucił kurtkę. – Seattle to duże miasto, trudno uwierzyć, że trzy grupy wilkołaków całkiem przypadkiem wpadły na siebie, bo w tym samym czasie postanowiły pójść do tej samej restauracji. Jeśli dowiem się, że ktoś to zaplanował, posypią się głowy.

– Jeśli to Bubba’s Basement Barbeque, to może być przypadek – powiedziała Anna, również zakładając kurtkę. – Przynajmniej pięć wilków z naszej watahy, w tym twój ojciec i Asil, mówiło, żebym nakłoniła cię do zabrania mnie tam. Najwyraźniej podają tam absolutnie rewelacyjne żeberka. Asil co prawda nigdy tam nie był, ale wystarczyła mu reputacja tego miejsca, żeby polecić je watahom z Europy.

Charles popatrzył na nią w zadumie.

– Ludzie z tobą rozmawiają – skwitował. – To może się przydać.



Najwyraźniej mieli pokonać trasę do restauracji pieszo. Biegając w dół stromej ulicy, Anna dziękowała sobie za założenie sportowych butów.

Charles, który zwykle stąpał niczym kot, ślizgał się w strugach deszczu na mokrym chodniku – jego kowbojki miały gładkie podeszwy. Mimo to nie pozostawał w tyle. Biegli w milczeniu, ale Anna zdawała sobie sprawę, że budzą zainteresowanie. W miastach ludzie zwracają uwagę na biegnących, mogą być oni drapieżnikami bądź ofiarami.

Przez chwilę się tym martwiła, lecz ocenę ryzyka musiała zostawić Charlesowi. Nie знаła wilków, z którymi był problem,

nie wiedziała też, jak daleko mają do restauracji. Dostosował tempo do ludzkich możliwości, zdawał więc sobie sprawę, że ludzie się oglądają.

Lubiła z nim biegać. Kiedy robiła to sama, jakaś jej część zawsze obawiała się, że może stać się czyjąś zwierzyną. A nie była w stanie wyobrazić sobie, że ktokolwiek chciałby wziąć na cel Charlesa.

Po przebiegnięciu kilku przecznic zwolnili do szybkiego chodu i skręcili w przecznicę biegnącą równoległe do wybrzeża Zatoki. Podobnie jak jezioro Michigan w Chicago, zbiornik wodny zawsze dało się wyczuć, miał swoją energię, wyraźną obecność, nawet jeśli widok nań zasłaniały budynki.

Nad lokalem Bubby, najlepszym grillem w Seattle, wisiał czerwony neon ze strzałką w dół. Do piwnicy neutralnego architektonicznie, eleganckiego budynku, który mógł być bankiem bądź biurowcem, prowadziły szerokie schody.

Charles otworzył podwójne drzwi, wypuszczając ze środka gęsty amalgamat woni pieczonego mięsa, sosu barbecue i kawy. W restauracji panował półmrok, a sala była prawie pełna. Wisiała w niej tak ciężka atmosfera napięcia, jak przed burzą, że Anna zastanawiała się, czy ludzie również ją wyczuwają.

Charles wciągnął nosem powietrze i skręcił na lewo. Obszedł ścianę roślin i wahadłowymi drzwiami dostał się do osobnej salki. Dyskretna tabliczka nad wejściem mówiła, że salę za niewielką opłatą można zarezerwować dla większej grupy, do sześćdziesięciu osób. Wchodząc za Charlesem, Anna skonstatowała, że choć w środku znajdowało się zaledwie kilkanaście osób, i czterokrotnie większe pomieszczenie byłoby dla nich za małe.

Wilcze Alfy nie stapiają się łatwo z innymi. Anna zastanawiała się, czy zebrali się w tej jednej sali celowo, czy też jakiś nieszczęśnik z obsługi nierozważnie zgromadził potencjalnie problematycznych klientów w jednym miejscu.



Ktoś naprędce podjął wysiłek oczyszczenia przestrzeni do konfrontacji, bo stoły leżały na bokach pod ścianami, a krzesła tam, gdzie upadły.

– Nie masz nawet tyle odwagi, co półkrwi kundel – powiedział zimno jeden z dwóch mężczyzn stojących pośrodku. Miał akcent, ale tak słaby, że Anna nie potrafiła go od razu umiejscowić.

Charles spojrział na nią, a potem na drzwi, którymi weszli. Anna zrozumiała go w lot. Chodziło o sprawy prywatne i nie potrzebowali niespodziewanych gości, którzy tylko jeszcze bardziej by wszystko skomplikowali. Zamknęła drzwi i oparła się o nie.

Przy okazji zyskiwała możliwość szybkiej ucieczki. Tyle tu było dominujących wilków... Nawet bliskość Charlesa nie zacierała wspomnień tego, co robiły jej dominujące wilki z poprzedniej watahy. Serce biło jej szybciej. Nie wpadała w panikę. Jeszcze nie. Lecz nie czuła się najlepiej.

Scenka przypominała rekonstrukcję „West Side Story” lub – z nieco innymi rekwizytami i kostiumami – „Pojedynku w Corralu O.K.”. Po jednej stronie stało czterech mężczyzn, po drugiej sześciu. Krok przed każdą grupką wysunęło się dwóch gotowych do walki zawodników. Poziom testosteronu był tak wysoki, że Anna dziwiła się, że nie odpaliły się jeszcze spryskiwacze.

W rogu siedział nieruchomo trzynasty mężczyzna. Oparty plecami o ścianę, czyścił sobie ręce chusteczką odświeżającą. Jako pierwszy zauważył wejście Charlesa. Skinął lekko głową w niezobowiązującym powitaniu.

– Oł – rzekł z pięknym akcentem angielskich wyższych sfer. – Właśnie zastanawiałem się, kiedy przybędzie kawaleria. Dobrze cię widzieć, Charlesie. Tyle przynajmniej, że Rosjan tu nie ma, nieprawdaż? Albo Turków.

Scena zamarła na moment, wszyscy nagle zdali sobie sprawę z wejścia nowego gracza.

– Ty to potrafisz znaleźć plamkę słońca w pochmurny dzień – powiedział śniady mężczyzna z większej grupki. – Zawsze to w tobie cenilem, Arturze. – Akcent zdradzał, że on i z całą pewnością jego towarzysze są Hiszpanami.

To oznaczało, że mężczyzna rzucający obelgi jest nikim innym, jak Jeanem Chastelem. Bestią z Gévaudan.

Nie był przystojny, nie do końca, ale siła wyryta w rysach jego twarzy i postawa sprawiały, że Leo, Alfa poprzedniego stada Anny, wyglądały przy nim jak niedorosłe szczeniaki. Robił wrażenie, jak większość Alf, które spotkała. Zajmował więcej przestrzeni w pomieszczeniu, zarówno fizycznie, jak i metafizycznie, jak gdyby był większy, niż mogłyby to wskazywać rozmiary ciała.

Zdawał sobie sprawę z pojawienia się Charlesa, ale nie spuszczał jasnych oczu z oponenta. Ani wysoki, ani niski, Chastel miał szczupłą budowę ciała i długawe, brązowawe włosy do ramion. Krótka przycięta broda była od nich o kilka tonów ciemniejsza. Jednak jego wygląd nie miał takiego znaczenia jak to, kim był.

Przeciwnik nie miał z nim szans i doskonale zdawał sobie z tego sprawę. Anna widziała to w jego postawie, w tym, jak unikał skrzyżowania spojrzeń z Francuzem. Czuła w zapachu jego strach.

– Sergio, *mi amigo* – powiedział smagły Hiszpan, który odezwał się wcześniej. – Daj już spokój. Walka skończona, Charles tu jest.

Hiszpan, który nie zauważył dotąd Charlesa, odwrócił się zaskoczony i omal nie kosztowało go to klęski. Prawa ręka Chastela wystrzeliła ku szyi przeciwnika i cios doszedłby do skutku, gdyby Charles, który najwyraźniej przewidział ruch Bestii, nie skoczył ku nim ułamek sekundy wcześniej. Zdołał

zablokować uderzenie, chwycił Chastela za rękę i okręcił szarpnięciem, popychając na jego ludzi. Szybkie zerknięcie na Hiszpanów wystarczyło, żeby się cofnęli, a Charles znów mógł skupić się na Francuzie.

– Głupcy – warknął. – To miejsce publiczne. Nie pozwolę wam zakłócać spokoju, dopóki jesteście gośćmi na terytorium watahy Szmaragdowego Miasta.

– Ty nam nie pozwolisz, szczeniaku? – prychnął Chastel, który szybko odzyskał równowagę po nieplanowanym lądowaniu w ramionach swoich ludzi. Obciągnął rękawy koszuli, gest wydawał się bardziej nawykowy niż obliczony na efekt. – Słyszałem, że stary wilk wysłał nam tu swoje szczenię na przekąskę, ale myślałem, że to tylko fantazje co poniektórych.

Tchnące beznadzieją postawy reszty Francuzów świadczyły, że wilkołaki nie popierają swojego przywódcy, że podążają za nim wyłącznie ze strachu. To nie czyniło ich mniej niebezpiecznymi, może nawet bardziej. Wilczyca Anny rozpoznała w nich Alfę, byli nimi wszyscy i wszyscy się bali.

Gdzieś pod całą tą fasadą agresji i pobrzękiwaniem szabelkami kotłował się lęk – jej, Hiszpanów i Francuzów – tak gęsty, że aż zakręcił ją w nosie. Kichnęła, ściągając na siebie uwagę obecnych. Spojrzenia jej i Chastela skrzyżowały się, a ona podtrzymała kontakt wzrokowy, mimo że oczy Bestii jarzyły się obietnicą przemocy. Tutaj jest prawdziwy potwór, pomyślała, dużo gorszy od trolla spod mostu. Cuchnął złem.

– Och, kolejna ploteczka, którą puściłem mimo uszu, okazuje się prawdą. A więc znalazłeś sobie Omegę, mieszańcu. Ładniutkie dziecko. Takie miękkie, delikatne. – Obliznął usta. – Założę się, że jest smacznym kąskiem.

– Nigdy się o tym nie przekonasz, Chastel – powiedział Charles łagodnie. – Odstąp albo opuść to miejsce.

– Jest też trzecia opcja – wyszeptał Chastel. – I chyba to na nią się zdecyduję.

Anna uświadomiła sobie, że nie istnieje dobre rozwiązanie tej sytuacji. Cofnęła się, czując, jak długi uchwyt drzwi wbija się jej w krzyże. Charles mógł mieć sojuszników wśród Hiszpanów, może nawet należał do nich brytyjski wilk, ale jeśli wkroczą, pokażą, że Charles jest słaby. Anna wierzyła bezgranicznie, że Charles wytrze Chastelem podłogę, lecz i to będzie oznaczało porażkę. To było miejsce publiczne, bijatyka oznaczała policję i ujawnienie wszystkiego w całkiem inny sposób, niż planował to Bran.

Pomyślała, że może uda jej się ostudzić nastroje. Pracowała z Asilem, bardzo starym wilkiem ze swojej obecnej watahy, żeby sprawdzić, jakie posiada możliwości. Nieżyjąca już towarzyszka Asila była Omegą, jak Anna, wiedział więc, jak działa jej moc – a to więcej, niż wiedział ktokolwiek inny. Nawet Bran, Marrok, miał o tym blade pojęcie. Z pomocą Asila udało się jej dokonać pewnych interesujących odkryć.

Charles nie odpowiedział Chastelowi. Stał z opuszczonymi wzdłuż ciała rękami, na lekko rozstawionych nogach, które zapewniały mu stabilność, i czekał, aż przeciwnik uczyni pierwszy ruch.

Tylko Charles pozwalał Annie nie zanurzyć się w panice – on, wilczyca i bliskość drzwi.

Wyobraziła sobie pewne miejsce głęboko w lesie. Podłoże pokrywała cienka warstwa śniegu, a jej oddech parował. Panowała tam cisza, było bezpiecznie. Spokojnie. Pod kruchą warstwą mlecznego lodu płynął strumień pełen pstrągów. Oczami wyobraźni podążyła za jednym, który niczym srebrzysty pocisk prześlizgiwał się w rwącym nurcie.

Kiedy obraz był wyraźny, czysty, wypchnęła to z siebie. Na pierwszy ogień poszedł Brytyjczyk – zauważyła, jak się rozluźnia, jak opuszcza ramiona. Zorientował się, co robi,

i spojrział na Annę, unosząc brew. Potem podniósł do ust filiżankę z kawą (albo herbatą, bo przecież w Anglii pija się tylko herbatę, prawda?) i pociągnął łyk. Kilka hiszpańskich wilków zaczęło oddychać wolniej, głębiej, a napięcie w pomieszczeniu opadło o cały ton.

Charles odwrócił się, jego oczy jarzyły się oślepiającym blaskiem złota. I warknął. Na nią.

Zostawiając ją w ten sposób samą, stojącą w sali pełnej dominujących wilków kipiących od agresji. Woń ta, tak znajoma, przywiodła wspomnienia, ciało skurczyło się od echa bólu, pierś zacisnęła się, uniemożliwiając oddychanie.

Anna wypadła przez drzwi, których pilnowała, uciekła, zanim ogarnęła ją oślepiająca groza, która mogła stać się zapalnikiem wszechogarniającej orgii przemocy. Widziała coś takiego, choć nie w miejscu publicznym.

Usłyszała jeszcze jakiś niewybredny komentarz Francuza, kiedy drzwi zamykały się za nią, ale nie zastanawiała się nad tym. Straszna, żywa panika dusiła ją, próbując przejąć nad nią kontrolę i pozbawić zdolności trzeźwego myślenia.

Musiała znaleźć coś, na czym mogłaby się skupić. Rozejrzała się.

W głównej sali panowała nienaturalna cisza, a obłożenie zmalowało, odkąd weszli. Większość gości siedziała przy stolikach ze spuszczonej oczyma – Anna wiedziała, że to mimowolna reakcja na takie zagęszczenie Alf w pobliżu. Nawet ludzie to wyczuwali, choć na szczęście prawdopodobnie nie zdawali sobie sprawy, czemu czują się tak nieswojo.

Mimo że wilkołaki siedziały w oddzielnej sali, ich obecność była tak znamienna, jak wrażenie bliskości Puget Sound. Przy Charlesie potrafiła nie dopuszczać do siebie wrażenia tej przytaczającej obecności, która teraz ją pożerała. W uszach słyszała łomot własnego serca.

Musiała pamiętać, że wilkołaki i ją dzieli ściana, a Charles nie pozwoli, żeby zrobiły jej krzywdę.

Zatrzymała się przed wyjściem.

Mogła wrócić do hotelu i tam na niego czekać. W mieście, nawet nocą, teraz było bezpiecznie – wszystkie potwory siedziały tutaj. Ale to byłoby tchórzostwo. I Charles mógłby to opacznie zrozumieć.

Znalazłszy się z dala od miejsca dramatu, kiedy minął już pierwszy impuls do ucieczki, zrozumiała, dlaczego na nią warknął. Nie mógł pozwolić, by uspokoiła brata wilka.

Charles był z natury silnym dominantem, a jednocześnie jedynym tutaj wilkiem bez statusu Alfego. Wiedziała, że na zjazd przybędą również mniej dominujące osobniki, ale do restauracji nie przyszły.

Z tego powodu Charles stał na z góry gorszej pozycji. Musiał sprawić, że będą się go bały, świadome, że nie zawaha się ich zabić, jeśli wystąpią przeciwko niemu, inaczej natychmiast wyczułyby w nim słabość i rzuciły się na niego razem, jak wataha obalająca karibu. Odbierała mu przewagę.

Na niewielkim podeście w rogu sali stało sfatygowane pianino, które przyciągało Annę do siebie jak oaza na pustyni. Mogła poczekać tutaj, o ile znalazłaby jakieś zajęcie poza maglowaniem starych, przerażających wspomnień bólu i upokorzenia. Anna podchwyciła spojrzenie przechodzącej kelnerki.

– Czy mogłabym zagrać?

Wyraźnie podenerwowana kelnerka zatrzymała się w pół kroku.

– Jasne. – Wzruszyła ramionami. – Ale jeśli nie grasz dobrze, kucharz może wyjść i kazać ci przestać. Robi przy tym wielkie halo. Poza tym słuchacze mogą cię wygwizdać. Taka tradycja.

– Dzięki.

Kelnerka rozejrzała się po sali.

– Tylko zagraj coś wesołego. Przyda się coś na rozruszanie tego miejsca.

Pianino było starożytnym instrumentem, starym już od dawna. Ktoś przemaalował je na czarno, lecz powłoka zdążyła wyblaknąć, zszarzeć, wytrzeć się na rantach, a większe płaszczyzny pokrywały wydrapane inicjały. Wśród wyszczerbionych klawiszy odstawało najwyższe E.

Coś wesołego.

Zagrała czołówkę „Ulicy Sezamkowej”. Pianino miało zaskakująco dobry dźwięk, lepszy, niż na to wyglądało, i było nawet prawie nierozstrojone. Potem zdecydowała się na „Ragtime klonowego liścia”, jeden z dwóch ragtime’owych kawałków, których uczył się każdy student na drugim roku fortepianu. Fortepian nie był jej wiodącym instrumentem, ale po sześciu latach nauki opanowała podstawowe umiejętności.

Żywy rytm i prosta melodia kusiły, żeby przyspieszyć. „Ragtime to umiarkowane tempo” – powtarzał na okrągło jeden z jej nauczycieli. Zdyscyplinowała palce, żeby utrzymać stały rytm. Pomogło też to, że trochę wyszła z wprawy.



Charles patrzył, jak Anna wybiega, i wiedział, że właśnie cofnął ich związek na sam początek. Jednak gdyby jej nie powstrzymał, doprowadziłaby do katastrofy. Nie mógł pozwolić sobie na dekoncentrację. Nie przez własną Omegę i przez myśl, że może właśnie zniszczył coś pomiędzy nimi.

Większość towarzyszek byłaby wściekła za takie zbesztanie na oczach innych. Ale większości z nich nie traktowano brutalnie, żeby je złamać. Anna się nie złamała, nie do końca.

Z drugiej strony nie mógł ryzykować, że wyciszy brata wilka wcześniej niż Bestię. Agresja brata wilka, gotowość do zabijania

stanowiły jedyną broń, z której pomocą Charles mógł kontrolować tę sytuację.

Zmęczony zachowaniem Chastela, choć przebywał w obecności Francuza dopiero kwadrans, przyzwał do steru brata wilka, który nie przejmował się przyszłością i konsekwencjami. Negocjacje i tak już dobiegły kresu, skończyły się w momencie, gdy musiał warknąć na Annę. A może w chwili, gdy Chastel nazwał ją ładnym kawałkiem mięska, jak gdyby była niczym.

– Nie chcesz rozmawiać o mojej partnerce – powiedział bardzo spokojnie i cicho. Brat wilk nie dbał o politykę. Przez tego tu zranił Annę i w najmniejszym stopniu nie przejąłby się, gdyby musiał zabić go tu i teraz.

Chastel uniósł górną wargę, ale nie był w stanie wydobyć z siebie głosu w obliczu brata wilka. Stali tak, patrząc sobie w oczy, przez jakieś cztery sekundy. A potem Chastel spuścił wzrok, złapał płaszcz i wymaszerował z sali.

Charles poszedł za nim, żeby upewnić się, czy Bestii nie wpadnie do głowy pójść za Anną. Ale zaraz po wejściu do głównej sali zatrzymał się, tylko częścią świadomości rejestrując wyjście Chastela – bo Anna jednak nie odeszła.

Przekonany, że jest już w połowie drogi do hotelu, oniemiał na widok towarzyski. Siedziała na niskim taborecie, tyłem do niego i gości, i grała na rozklekotanym pianinie. To była jakaś prosta, wesoła melodia. Znajoma. Zmarszczył brwi, usiłując przypomnieć sobie, skąd zna ten kawałek, ale kojarzył tylko, że to jakaś piosenka dla dzieci.

Machinalnie przeczesał pomieszczenie wzrokiem w poszukiwaniu zagrożeń, ale wszystko było w porządku. Siedzieli tu sami ludzie, którzy na jego oczach zaczęli dzięki muzyce odzyskiwać spokój, dobry humor. Ktoś się śmiał, ktoś inny zamawiał dokładkę żeberek.



Nie wyszła. A to oznaczało, że mógł posprzątać bałagan, który zostawił po sobie Chastel. Zajęłoby to tylko parę minut, potem mógłby tu wrócić i chronić ją przed... Charles zmitygował się, odetchnął głęboko. Brat wilk myślał, że naprawi wszystko, likwidując każde zagrożenie dla niej – nie rozumiał kobiet. Ale to, że Anna nadal tu siedziała, oznaczało, że Charles również nie rozumiał ich tak dobrze, jak mu się wydawało.



Spojrzała po sali. Gwar i ruch wróciły. Nie słyszała również odgłosów walki, miała więc nadzieję, że Charles opanował sytuację. Postanowiła zagrać coś nowocześniejszego, odpowiedniejszego dla klienteli w średnim wieku, jaka przeważała w restauracji. W przypadku pianina oznaczało to generalnie Eltona Johna albo Billy'ego Joela, którzy również śpiewali. Dograła ostatnie nuty „Liścia klonu” i płynnie przeszła do „The Downeaster Alexa”. Nie była to wesoła melodia, choć z pewnością piękna.



Charles szybko uspokoił resztę wilków. Bez Chastela, który ich szturchał i podjudzał, nie paliły się do publicznej bijatyki.

Zamówił dla wszystkich specjalność restauracji, żeberka, których każdy w ramach rachunku mógł zjeść tyle, ile chciał. Potem zapytał, czy zaczekają, aż upewni się, czy jego towarzysze nic nie jest. Francuzi wydawali się niespokojni, wiedząc, że Chastel zauważy, jak długo zostali po jego wyjściu, ale nikt się nie sprzeciwił. Alfy doskonale rozumiały potrzebę zadbania o bliskich.

Anna grała jakiś melodyjny kawałek. Bez wokalu chwilę zajęło mu rozpoznanie Billy'ego Joela. Był jego fanem, ale akurat za „The Downeaster Alexa” nie przepadał. Utwór przypominał mu o tych wszystkich znajomych, którzy utknęli w przeszłości, podczas gdy czas przyniósł zmiany i te zniszczyły ich życie. Przywoływał niemiłe wspomnienia, ale był piękny.

Dłonie Anny z wdziękiem tańczyły po zniszczonych klawiszach, wypełniając pomieszczenie nie tylko muzyką, ale czymś jeszcze. Czymś subtelnym, co odzwierciadlało się w tonie rozmów i w reakcjach ludzi. Starszy mężczyzna, siedzący z młodszym, dotąd przygarbiony nad talerzem, wyprostował się i wyszeptał coś do towarzysza. Ten odpowiedział coś, a starszy pokręcił głową.

– Idź, zapytaj ją – powiedział cicho, lecz Charles rozróżnił słowa. – Założę się, że dziewczyna, która potrafi właściwie zagrać ragtime, zna też kilka starszych kawałków.

– Jest tu sama, dziadku, tylko ją wystraszę. Ciotka Molly...

– Nie. Nie. Molly nie potrafi. Chyba nie chcesz, żebym narobił sobie wstydu. Albo zanadto się wysiłał. Idź ty. Już. – I kruchy staruszek praktycznie zepchnął z krzesła młodego byczka.

Charles uśmiechnął się pod nosem. I dobrze. Ludzie zbyt często traktowali starszych bliskich jak dzieci, zbywali ich albo ignorowali. Charles był na tyle mądry, by nie popełniać tego błędu, i młody człowiek również. Starsi ludzie znajdowali się bliżej Wielkiego Ducha i powinno się wykonywać ich polecenia, gdy tylko je wypowiedzą.

Spiął się lekko, gdy młody mężczyzna torował sobie drogę do Anny pomiędzy biesiadnikami, jednak sądząc z postawy, nie stanowił dla niej zagrożenia. Charles pomyślał, że ten wielkolud chyba długo starał wyglądać na mniej... zabójczego niż poruszający się ze zwinnością wojownika facet piętnaście centymetrów wyższy od wszystkich wokół. Charles go rozumiał,

choć sam nauczył się wykorzystywać swoją aparycję, zamiast niwelować efekt, jaki wywierała na ludziach.



Zanim skończyła, dostrzegła dużego mężczyznę, stojącego z wyraźnym zakłopotaniem przy pianinie. Kulił ramiona, starając się bardzo wyglądać na niegroźnego. Udawało mu się to średnio.

Na brodzie miał bliznę, pobliznione knykcie i był nieco wyższy od Charlesa. Może gdyby nadal była człowiekiem, poczułaby niepokój, ale po sposobie, w jaki się trzymał, oceniła, że nie stanowi dla niej zagrożenia. Ciała ludzkie rzadko kłamały w przeciwieństwie do ust.

Wyraźnie czekał, żeby zagaić rozmowę, więc po ostatnich nutach przerwała grę. I tak nie miała nastroju na wesołe melodyjki.

Kilkoro klientów zarejestrowało, że przestała grać, i zaczęło klaskać. Reszta poodkładała sztucce i poszła za ich przykładem, a potem wszyscy wrócili do jedzenia.

– Przepraszam, panienko – odezwał się nieśmiało mężczyzna.  
– Dziadek pyta, czy zna pani „Mr. Bojangles” a jeśli tak, to czy mógłby z panią zaśpiewać?

– Jak najbardziej. – Uśmiechnęła się. Trzymała luźno ramiona, żeby pokazać mężczyźnie, że się go nie boi.

„Mr. Bojangles” śpiewało wielu wykonawców, ale drobny staruszek o jasnobrązowej skórze, który wstał od stolika i ruszył ku nim, mocno wspierając się na lasce, wyglądał jak Sammy Davis Jr., wokalista, który nagrał jej ulubioną wersję tego utworu.

Głos starca, gdy się odezwał, był znacznie silniejszy niż wątle, starcze ciało.

– Zaśpiewam coś dla was – ogłosił, a ludzie podnieśli głowy znad talerzy. To był właśnie tego rodzaju głos. Staruszek przez moment napawał się efektem. – Wybaczycie, mam nadzieję, że przy tym nie zatańczę.

Anna odczekała z graniem, aż wywołane jego żartem śmiechy ucichną. Zazwyczaj gdy po raz pierwszy akompaniowała komuś nieznanemu, początkowo szarpała się, starając dopasować do niego swoją interpretację. Tym razem po paru pierwszych taktach zaczęła się magia.



Charles początkowo niepokoił się, kiedy starzec przegapił moment wejścia, a jeszcze bardziej, gdy stało się tak po raz drugi i trzeci. Aż zamknął oczy, kiedy śpiewak wszedł zupełnie nie w takt.

Lecz Anna przyłożyła się znacznie bardziej niż podczas dotychczasowego swobodnego grania, a Charles wiedział, że ma sporo większe możliwości, niż wynikało z wybranego przez nią repertuaru.

Staruszek miał dobry głos. To, rozklekotane pianino i talent Anny połączyły się w jedną z tych chwil, kiedy wykonanie i muzyka stopiły się, tworząc coś znacznie więcej.

„Mr. Bojangles” niespiesznie prowadził słuchacza, kreśląc obrazy z życia starszego mężczyzny. Alkoholizm, odsiadka, śmierć przyjaciela – nic z tego nie pokonało pana Bojanglesa, który nawet w najmroczniejszych chwilach potrafił śmiać się i tańczyć dla towarzyszy w więzieniu.

„Skoczył tak wysoko, tak wysoko...”

Była to pieśń wojownika. Pieśń zwycięstwa.

A na koniec, mimo wcześniejszych słów, staruszek podreptał trochę nogami. Poruszał się sztywno, widać, że bolały go stawy,

a mięśniom brakowało elastyczności i siły. Ale wdzięku miał sporo, wdzięku i radości.

„Roześmiał się... roześmiał...”

Anna zakończyła niewielkim ozdobnikiem, a potem oboje ze staruszką ukłonili się widowni.

– Dziękuję – zwróciła się do niego. – To było naprawdę przyjemne.

Ujął jej dłoń w swoje i poklepał wierzch.

– Dziękuję ci, dziecko. Przypomniałaś mi stare, dobre czasy, aż wstyd mówić, jak stare. Uradowałaś starca w jego urodziny. Mam nadzieję, że w twoje osiemdziesiąte szóste urodziny ktoś również zrobi ci taki prezent.

Usłyszawszy to, ludzie zaczęli znów klaskać i krzyczeć o bisy. Starzec pokręcił głową, powiedział coś do Anny, a potem uśmiechnął się, gdy skinęła.

– Właśnie doszliśmy do wniosku, że oboje lubimy stare przeboje – oznajmił. – Tyle że dla mnie nie są stare.

I zaczął śpiewać „You’re Nobody ’til Somebody Loves You” – piosenkę, której Charles nie słyszał od czterdziestu lat. Anna weszła z akompaniamentem po kilku słowach i pozwoliła, aby świetnie wyszkolony głos staruszka poprowadził ją do tańca z muzyką.

Po skończeniu sala zagrzmiała oklaskami, a Charles przywołał wzrokiem kelnerkę. Wręczył jej kartę kredytową i powiedział, że w podziękowaniu za występ chciałby zapłacić rachunek stolika, przy którym siedział staruszek. Z uśmiechem wzięła od niego kartę i odeszła.

Staruszek pociągnął Annę do kolejnego ukłonu. Potem pocałował ją w rękę i pozwolił wnukowi odprowadzić się w blasku chwały do stolika. Rodzina wstała i skupiła się wkoło niego, wyrażając słowa miłości, a on zasiadł pośród nich niczym król i przyjmował hołdy.

Anna opuściła klawisz pianina, a kiedy uniosła wzrok, zauważyła Charlesa. Zawahała się i to sprawiło, że zabolowało go serce – spowodował, że się go bała. Ale uniosła podbródek i z oczami nadal jeszcze pełnymi muzyki ruszyła w jego kierunku.

– Dziękuję – powiedział, zanim zdążyła się odezwać. Nawet nie był pewien, czy dziękuje jej za to, że wyszła, gdy tego potrzebował, czy za to, że nie uciekła z restauracji, czy za muzykę, która przypominała mu, że w tym wszystkim nie chodziło tylko o wilkołaki.

Również o ludzi, z którymi dzielili ziemię.

Wracająca z kartą kelnerka podsłyszała jego słowa.

– Ja również, słonko – zwróciła się do Anny. – Zanim zaczęłaś, panowała tu ponura atmosfera, jak na pogrzebie. – A do Charlesa: – Załatwione. Chce pan pozostać anonimowy, tak?

– Tak. Tak będzie lepiej.

Uśmiechnęła się do niej, potem do Anny i oddaliła się.

– Przepraszam – rzekł do Anny.

Popatrzyła na niego dziwnie, mądrze, jakby rozumiała.

– Nie przejmuj się. Wszystko w porządku?

Sam nie wiedział. W zasadzie zależało to od niej. Ale wiedział, że nie o to jej chodziło. Pytała o sytuację w bocznej salce.

– Raczej tak. – Wzruszył ramionami. – Chastel zawsze był i będzie problemem. Może dzięki temu, że już teraz musiał się wycofać, będzie się lepiej zachowywał? Czasem to tak działa.



Muzyka pomogła. Przeważnie pomagała. A rozweselanie ludzi jeszcze bardziej. Kiedy podniosła wzrok, ujrzała, że Charles czeka na nią z lekkim uśmiechem na twarzy – to pomogło

najbardziej. Oznaczało, że nikt nie zginął, nie popsuła wszystkiego za bardzo i że nie jest na nią zły.

Zaprowadził ją do oddzielnej salki, gdzie czekały na nich wilki. Chastela nie było. Nie zauważyła, kiedy wyszedł, a powinna, nawet jeśli siedziała tyłem do drzwi, z muzyką pod palcami. Niebezpiecznie jest nie zauważać takich rzeczy.

Stoły znów ustawiono na środku, tym razem tworzyły jeden długi rząd. Na blacie stały trzy tace z jedzeniem, dwie prawie puste, jedna pełna.

Wilki nie zmieniły się nagle w przyjaciół. Hiszpanie siedzieli po jednej stronie, Francuzi po drugiej, a Brytyjczyk u szczytu. Naprzeciwko niego znajdowały się dwa puste krzesła i czyste nakrycia.

– Szkoda byłoby tu przyjść i nic nie zjeść – mruknął Charles z ręką na plecach Anny. Nie widziała jego miny, ale wystarczyło, jak jego spojrzenie odzwierciedlało się na twarzach Alf obecnych w sali – każdy z nich bez wątpienia akceptował, że to Charles jest tu największym, najźlejszym wilkiem.

Większość wydawała się z tego zadowolona. Wilki nie robią hałasu o coś, czego zmienić nie mogą. Wyjątek stanowił Brytyjczyk, coś najwyraźniej nie dawało mu spokoju. Lecz spuścił oczy, kiedy padł na niego wzrok Charlesa.

– Panowie, pozwólcie, że przedstawię, moja żona i towarzyszka, Anna Latham Cornick, Omega watahy Aspen Creek. – Charles przeniósł rękę na jej ramię.

– Proszę wybaczyć, *monsieur* – odezwał się jeden z Francuzów. Mówił z podwójnym akcentem, francuskim podbarwionym brytyjskim. – Może przedstawimy się i od razu się pożegnamy. Jedzenie zajęło nam trochę czasu i nie możemy już dłużej zabawić. Chastel nie jest naszym Marrokiem, nie tak jak Bran dla tutejszych wilków, ale może utrudnić nam życie.

– Oczywiście.

Francuz kolejno wymienił nazwiska swoich towarzyszy, którzy witali się z Anną skinieniami.

– I ja, Michel Girard.

– Mam nadzieję, że będziemy mieć okazję porozmawiać później – powiedziała Anna.

– Ja również. – Uśmiechnął się, choć w jego oczach czaiło się znużenie. – Zatem do jutra. – Wyszli.

– Anno, to Artur Madden, Pan Wysp, brytyjski odpowiednik Marroka.

– Miło pana poznać. – Skinęła głową. A więc nie Alfa, pomyślała. W każdym razie nie tylko.

– Bardzo mi miło. – Wstał zza stołu, podszedł i ucałował jej dłoń. – Z przykrością muszę wyznać, że choć nie Chastel da mi burę, również zabawiłem tu dłużej, niż zamierzałem. Żona na mnie czeka, zatem muszę iść. Wcześniej jednak chciałbym was zaprosić. Mam dom w Dzielnicy Akademickiej, z wielką przyjemnością ugoszczę was jutro na kolacji.

Anna spojrzała na Charlesa. Madden tak wyraźnie wykluczył Hiszpanów, że poczuła się niezręcznie. Nie wiedziała, co powiedzieć, żeby nie pogorszyć sytuacji.

– Dziękujemy – odpowiedział Charles. – Porozmawiamy o tym i dam ci znać.

Artur uśmiechnął się, a do Anny nagle dotarło, że jest przystojny. Do tej pory nie zwróciła na to uwagi.

– Niech i tak będzie. – Artur zwrócił się do Hiszpanów. – Moja samokontrola nie jest doskonała na tyle, żeby gościć na swoim terytorium więcej niż jednego dominanta. Muszą mi panowie wybaczyć.

– *De nada* – odezwał się ten śniady, który najwyraźniej był przywódcą grupy. – Rozumiemy, oczywiście – dodał uprzejmie.

Artur wyszedł, a w sali zapadło milczenie. Wszyscy nasłuchiwali. Dopiero gdy dobiegły do nich odgłosy najpierw



otwieranych, potem zamykanych drzwi do restauracji, świat znów ruszył z miejsca.

Sergio, wilk, który był bliski konfrontacji z Chastelem, cisnął kość na talerz.

– Nadęty dupek – prychnął.

– Bystry nadęty dupek – sprostował śniady. – Zdecydowałeś już, jak nas przedstawisz? Może zaczniesz od najmłodszego? – Odwrócił się do Anny. – Charles nas wszystkich zna, Francuzów prawdopodobnie też. Twój towarzysz wie wszystko o wszystkich.

Było to wyzwanie, może nie tak poważne jak z Chastelem, ale nie mniej ważne. Hiszpan pytał w ten sposób, na ile są istotni dla Charlesa.

– Jeśli mi się uda, bierzesz na siebie napiwek.

Anna nie widziała nigdy, żeby Charles był tak rozluźniony.

– W porządku.

– Sergio del Fino – zaczął Charles, a mężczyzna wstał, położył dłoń na sercu i skłonił się.

Wymieniał wszystkich kolejno bez pomyłki, aż zostało dwóch, śniady i rudy. Charles wskazał głową na śniadego.

– Hussan ibn Hussan. – A potem na drugiego: – Pedro Herrera.

– Zonk – uśmiechnął się Hussan. – Jestem starszy od Pedra.

Pedro uśmiechnął się szerzej.

– Widziałem twoje narodziny, *hijo*. Nie sądziłem, że Charles o tym wie.

Charles zniżył głowę, nie spuszczając wzroku.

– Asilowi się wymknęło.

Hussan klepnął się po udzie.

– O, coś mi się wydaje, że ktoś mnie tu wkręca. Powiedz, że ojciec nie kazał ci tego wywlec.

Charles tylko się uśmiechnął.

– Jesteś synem Asila? – zainteresowała się Anna. Teraz dopiero zauważyła, że Hussan ma tak samo ciemną karnację, jak jej mentor w sprawach omegowych, oraz ten sam kształt nosa.

– Mam ten zaszczyt – potwierdził Hussan.

– Ibn Hussan? Mój arabski... w zasadzie w ogóle go nie znam, ale czy nie powinieneś się wobec tego nazywać ibn Asil? – zapytał Sergio.

– Hussan to prawdziwe imię mojego ojca, ale bardzo długo używał imienia Asil – wzruszył ramionami Hussan. – Jest stary. Może robić, co chce. – Uśmiechnął się krzywo. – I zazwyczaj z tego korzysta. A jak ojciec się czuje? Najwyraźniej nadal jest zły, że odmówiłem, gdy prosił, żebym go zabił, bo nie odbiera moich telefonów i listów. W końcu przestałem dzwonić i pisać.

– Ma się dobrze – powiedziała Anna. – W każdym razie lepiej.

– Teraz pewnie zaczniesz od ciebie odbierać. – Charles uśmiechnął się tajemniczo.

– A co takiego się wydarzyło? – zapytał Hussan, przekrzywiając lekko głowę.

– Dowiesz się. – Charles odsunął krzesło przed czystym nakryciem i wskazał je Annie. – Jeśli nie zaczniemy zaraz jeść, te diabły zmiotą nam wszystko z półmisków i będziemy musieli czekać na następny rzut.

Anna usiadła, a Charles dosunął jej krzesło i dopiero sam zajął miejsce. Może i prowadził rozmowę w swobodnym tonie, lecz zachowywał się formalnie. Może to dlatego, że towarzyszyły im stare wilki, które prawdopodobnie oczekiwały, że będzie ją tak traktował? Nie była przekonana, czy to jej odpowiada, ale weszła w rolę. No prawie. Za pomocą szczyptec nałożyła sobie na talerz okazałą porcję żeberek – od ostatniego posiłku minęło sporo czasu.

– Asil sobie poradzi – dodała. – No chyba że wkurzy Brana o raz za dużo.

Podniosła wzrok. Hussan wpatrywał się w nią intensywnie.

– To ty – powiedział. – Jesteś Omegą. Ty go ocaliłaś.

– On ci powie, że to dzięki niej mu się poprawia – rzekł Charles. – Ona będzie się upierać, że to nie jej zasługa. Tak czy inaczej, przez kolejne sto lat będzie z nim dobrze, na tyle, na ile to możliwe w jego przypadku.



Do hotelu wracali w deszczu, ale Annie to nie przeszkadzało, a Charles wydawał się nieobecny. Szli obok siebie, nie dotykając się.

– Przyjmiemy zaproszenie Artura na kolację? – zapytała.

– Jeśli zechcesz. Angus przygotował jakąś rozrywkę na pojutrze wieczór, ale jutro jesteśmy wolni.

– Czy nie popełnimy jakiejś dyplomatycznej gafy, jeśli do nich pójdziemy?

Charles z irytacją machnął ręką.

– Ciągle im mówię, że to nie negocjacje. Zgodziliśmy się wysłuchać ich obaw i odpowiem na nie. Ale mój ojciec podjął już ostateczną decyzję. Jak tylko nadarzy się okazja, żeby zaprezentować się w dobrym świetle, wykorzysta ją i upubliczni nasze istnienie. Nieważne, czy przy tym kogoś urazimy, czy będą uważali, że kogoś faworyzujemy. Nie zabiegamy o ich sympatię.

Anna milczała.

– Artur potrafi być uroczy. I jest interesujący. – Charles zajrzał jej w twarz, a potem znów zwrócił oczy na ulicę. – Twierdzi, że jest tym Arturem. Że król powrócił.

– Słucham?

– Poważnie. Naprawdę wierzy, że jest królem Arturem.

– No co ty?

– Serio. Przed Przeistoczeniem był archeologiem amatorem. Nie pochodzi z rodziny królewskiej, ale szlacheckiej owszem, i na tyle bogatej, że nie musiał kończyć szkół, żeby zająć się swoim hobby. Twierdzi, że wkrótce po Przeistoczeniu podczas wykopalisk odnalazł Ekskalibura, a gdy wziął go do ręki, opętał go duch króla Artura. – Wzruszył ramionami. – Niedługo po tym zaczął organizować watahy na całych Wyspach. Najpierw pozabijał wszystkie Alfy, ale łączenie watah rodzi pewne problemy. W końcu zmodyfikował system na wzór tego stworzonego przez tatę. – Uśmiechnął się. – Tata uważa, że to przyjęcie przez niego imienia Marroka skłoniło Artura do mienienia się legendarnym władcą Brytów. Ostatecznie sir Marrok był tylko rycerzem króla Artura.

– A więc Bran uważa, że Artur zmyśla? Ale jak to możliwe, że nikt nie wyczuwa kłamstwa?

– Tata też potrafi kłamać tak dobrze, że tylko ja i Samuel możemy go rozszyfrować. – Charles spojrział na Annę po raz pierwszy, odkąd wyszli z restauracji. – Tylko nikomu o tym nie mów, to ma być sekret.

– Ile lat ma Artur?

– Jako wilkołak? Został chyba Przeistoczony tuż po pierwszej wojnie światowej. Wydawałoby się, że nie jest dość stary, żeby korzystać z tych samych tricków, które uchodzą takiemu staremu lobo jak tata, prawda? Sekret polega na tym, żeby przekonać siebie, że się nie kłamie.

– Czyli po prostu wierzy uparcie w to, co mówi?

– Prawdopodobnie przywiózł ze sobą Ekskalibura, zazwyczaj ma go przy sobie. Może pokaże ci go, jeśli poprosisz.

– Naprawdę?

– Tak.

Anna wzięła Charlesa pod ramię.

– Może być fajnie.

– Dobrze, zadzwonię do niego. – Przez jakiś czas szli w przyjemnym milczeniu. – Wystraszyłem cię – powiedział Charles zniechęca.

– O mało przeze mnie nie zginąłeś – odpowiedziała stanowczo. – Dziękuję, że mnie powstrzymałeś, zanim wszystko zepsułam.

Przystanął raptownie, zatrzymując ją.

– Zrozumiałaś.

– Nie od razu – przyznała. – Zanim pomyślałam, zareagowałam. To fatalne. Za każdym razem, kiedy już mi się wydaje, że przestałam być tchórzem, biorę nogi za pas.

Znów ruszył.

– Nie jesteś tchórzem. Żaden tchórz nie przetrwałby tego, co ty. – Wydawał się jednak roztargniony, jakby myślami był gdzie indziej. – Wiesz, że bym cię nie skrzywdził.

Nie powiedział tego z absolutnym przekonaniem. Wzmocniła uchwyt na jego ramieniu.

– Wiem. Moje instynkty czasem zawodzą, ale wiem, że nigdy byś mnie nie skrzywdził.

Popatrzył na nią przeciągle.

Zadarła podbródek.

– Powiedziałam, że wiem, że nigdy byś mnie nie skrzywdził. – Potem musiała to nieco zmodyfikować, żeby brzmiało jak najświętsza prawda. – Celowo. – To też nie wydawało się wystarczająco przekonujące. – A wszystko, co robisz, robisz celowo. – I znów nie do końca tak, jak miało być. – Zawsze z rozmysłem podejmujesz działania. Jeśli chodzi o mnie.

– Już przestań. – Ramiona mu się trzęsły i przewracał oczami. – Już dość. Proszę. Wierzę ci. A za chwilę tak się zakałapućkasz, że sama uwierzysz, że mi nie ufasz. – Przez chwilę szli, nie rozmawiając. – Piękna noc – zauważył.

Anna podniosła wzrok na deszcz, na ulicę, na której nadal panował ruch. Lubiła, kiedy światła samochodów skrzyły się

w kroplach wody. Odgłosy miasta brzmiały znajomo, przypominały jej dzieciństwo, dom rodzinny. Miała jednak wątpliwości, czy Charles w innych okolicznościach uznałby to za piękne. Uśmiechnęła się do nocnego nieba.



## 5

**O**bawiamy się o niewinnych – mówił stojący na podium Rosjanin.

Pozornie przemawiał do zebranych, ale jego słowa skierowane były do Charlesa. Na szczęście perorował po angielsku, bo Charlesowej znajomości rosyjskiego nie dało się zawierzyć w poważnych sprawach, a na dodatek rozpraszała go siedząca obok nieruchoma Anna.

– My jesteśmy silni – ciągnął Rosjanin. – Damy radę się obronić. Ale mamy bliskich, którzy są ludźmi, towarzyszy, rodziny. Oni ucierpią w tej sytuacji. Nie możemy na to pozwolić!

Było coś absurdalnego w miejscu, gdzie się znajdowali – elegancka sala konferencyjna utrzymana w szarości i brązach, z dębowymi elementami dekoracyjnymi i stonowanymi dodatkami z tkanin, niepozorna i kosztowna. Miejsce, gdzie Angus polował na prezesów dużych firm i nęcił wizjami potęgi, jaką może zapewnić im jego technologia. Mężczyźni i kobiety zajmujący tego ranka gustowne fotele byli innego rodzaju drapieżnikami. Mogli przebrać się w eleganckie stroje, ale przy nich prezesi firm wydawali się szczeniętami.

– Jeśli nie jesteś w stanie chronić bliskich, zasługujesz, żeby ich stracić – rzucił Chastel siedzący z tyłu widowni. Mówił cicho, jednak w pomieszczeniu zaprojektowanym tak, by głos dobrze się rozchodził, pomieszczeniu pełnym wilków o czułym słuchu, to wystarczyło.

Charles milczał. Rosjanin, który miał teraz głos, spojrzał na niego, wyczekując zdyscyplinowania Francuza. Ale ten obowiązek nie spoczywał na Charlesie. Nie tym razem. Choć brat wilk nie wątpił, że wkrótce znów go przejmie. A wtedy będzie mógł zdyscyplinować Chastela i poleje się krew. Jednak tu, w tej sali rolę moderatora pełnił ktoś inny.

I ten dzień, pierwszy dzień rozmów, był doskonałym momentem, aby dokonać demonstracji.

– Jeanie Chastel – odezwała się Dana – będziesz milczał, dopóki nie nadejdzie twoja kolej.

Charles prawdopodobnie jako jedyny spośród zebranych nie był zaskoczony, gdy Chastel uśmiechnął się pogardliwie, otworzył usta, żeby się odciąć, i... nie mógł z siebie wydobyć słowa. Na terytorium Chastela, w otoczeniu jego watahy, Dana raczej nie byłaby w stanie rzucić uroku tak łatwo. Ale to miasto było terenem Dany – to między innymi skłoniło Marroka do zorganizowania zjazdu w Seattle. Chastel miał tutaj ze sobą kilka niechętnych mu Alf, które nie zasiliłyby go mocą bez względu na poziom zastraszenia, ponieważ Chastel nie dopuściłby ich tak blisko do siebie, jak czynił to Marrok ze swoimi.

Mógłby być Marrokiem – czy to nie przerażająca myśl?

Po pladze czarnej śmierci... Charlesa jeszcze wtedy nie było na świecie, ale Bran i Samuel tak. To był koszmar. Całkowita dehumanizacja. Szczególnie dla tych, którzy już nie byli ludźmi. Tyle śmierci, tyle żalu. Ktoś przewidywał nieuniknione – że ludzkość się odrodzi i zacznie szukać potworów, które żywiły się umierającymi. To doprowadziło do pojawienia się



pierwszego Marroka. Nie nazywał się Marrokiem – to pomysł Brana, już w Nowym Świecie – ale człowiek ten pełnił taką funkcję. Był Alfą nad Alfami i dzięki tej mocy mógł zwyciężyć każdego. A przynajmniej tak być powinno.

Zabił go Chastel. Jego i każdego, kto próbował uzyskać taką władzę. Chastel mógł zająć jego miejsce, ale nie chciał. Nie chciał wiążącej się z tym odpowiedzialności. Pragnął jedynie bezkarnie zabijać, kiedy i kogo zechce.

Artur Madden, Pan Wysp, był najbliższy odpowiednikowi Marroka w Europie. Chastel zgadzał się na to głównie dlatego, że nie postrzegał wyspiarzy jako zagrożenia.

Mimo posiadanej potęgi i władzy obecnie Chastel zabijał mniej jawnie, niż czynił to tuż po Przeistoczeniu. A to dlatego, pomyślał Charles, że istniał jednak jeden człowiek na Ziemi, który budził w nim strach. A Bran powiedział Chastelowi, że nie chce znów słyszeć o potworze grasującym we Francji. Zrobił to ponad dwieście lat temu.

Jak się nad tym zastanowić, Charles nie zdziwiłby się, gdyby Chastel miał w głębokim poważaniu plany Marroka zakładające upublicznienie istnienia wilkołaków. Mało brakowało, żeby sam doprowadził do tego te parę wieków temu. Bardziej prawdopodobne, że wykorzystał okazję, licząc na możliwość pozbycia się Marroka – która przeszła mu przed nosem.

A teraz przynajmniej miał siedzieć cicho.

Charles spojrzał za siebie na Danę i skinął głową w uznaniu. Wyglądała fatalnie. Dodała sobie dziesięć kilogramów, odjęła piętnaście centymetrów wzrostu i założyła kosztowną, acz nieładną garsonkę, a do tego półbuty na płaskim obcasie. Ciekawe, czy zrobiła to, aby sprawdzić, czy uda jej skłonić jakiegoś wilka do rzucenia jej wyzwania, czy może Anna miała rację, że jej poprzednia iluzja była zbyt wyrazista, zbyt piękna.

– Niezły strzał, Tex – mruknęła wiedźma watahy Szmaragdowego Miasta głosem, który, mimo że cichy, mógł

nieść się nad tłumem. Wraz z towarzyszem stali tuż za niewielkim stolikiem zajmowanym przez Charlesa i Annę, jako swego rodzaju straż honorowa.

Wiedźma, drobna kobietka, była towarzyszką jednego ze stojących wysoko w hierarchii wilków Angusa, mężczyzny o twarzy z bliznami, Toma Franklina. Tom był prawie tak samo niezadowolony z obecności swej towarzyszki na spotkaniu, jak Charles, choć z innych powodów. Wiedźma była ślepa, co w oczach wilka, w każdym razie jej towarzysza – czyniło z niej osobę bezbronną.

Normalnie jej ślepotą nie stanowiła problemu dla Toma. Charles wiedział, że to twardy wilk, ale w takim tłumie nikt nie byłby w stanie ochronić skutecznie swoich bliskich. W zasadzie wiedźma powinna dać sobie radę i obronić się sama, ale pachniała Charlesowi zbyt niewinnie i czysto, a to oznaczało, że jest białą wiedźmą, znacznie słabszą od tych z jej rodzaju, które parały się czarną magią.

Charles również marzył o tym, by jego towarzyszka trzymała się z dala od tej sali. Starał się skupić na Rosjaninie, który po wyeliminowaniu przeszkadzacza podjął swoją przemowę. Jednak obecność Anny go rozpraszała.

Zaczęło się nieźle. Usiadła blisko niego i całą uwagę skierowała na mównicę. Tyle że w sali konferencyjnej znajdowało się ponad pięćdziesiąt Alf i cała gromada wilków stojących niżej w hierarchii, łącznie ponad setka. A każdy z nich był bardziej zainteresowany Omegą niż tym, kto aktualnie miał głos. Anna aż trzęsa się pod naporem tych wszystkich spojrzeń.

Zabiję ich, szeptał brat wilk. Zabiję za to, że ją straszą.

Charles zerknął na Annę, ale tym razem nie usłyszała brata wilka. Dlaczego słyszała go w domu Dany, a teraz nie? Charles odepchnął tę zagadkę, licząc, że prędzej czy później wyjaśni się sama.

Pomijając przemożną troskę brata wilka, to nie Anna tak naprawdę stanowiła problem. Nie bezpośrednio. Charles wiedział, że Anna jest dzielna i że wytrzyma parę godzin napięcia, on zaś dopilnuje, by na stresie się skończyło. Większy problem stanowiły wilki.

Uwaga tych siedzących najbliżej, w tym dwóch kobiet, prawie bez reszty skupiła się na Annie. Posiadane przez nią atrybuty Omegi bez jej świadomego udziału odwoływały się do ich instynktu opiekuńczego – tym silniejszego, im wilk był silniejszym dominantem. U Alf osiągał szczyt. Parę wilków wiedziało, co się dzieje, nawet jeśli nie znało przyczyny. Kiedy Charles skrzyżował spojrzenia z Arturem, ten uśmiechnął się szeroko – sukinkot. Bawiło go to.

Rosjanin zakończył przedstawianie swoich wniosków i cofając nogę, zwrócił się połowicznie do Charlesa, niewerbalnie wywołując go do odpowiedzi.

Charles wstał. Mógłby wejść na mównicę i przejąć mikrofon, który Rosjanin wskazał, to jednak oznaczało, że Anna zostanie sama, chroniona tylko przez Drugiego watahy Szmaragdowego Miasta i jego towarzyszkę. Brat wilk absolutnie się na to nie zgadzał.

Dobrze, że sala konferencyjna była względnie niewielka, a wilki, zupełnie jak te z bajek, miały wielkie uszy, żeby lepiej słyszeć.

– Rozumiem twoje obawy – rzekł, podnosząc głos, by dotarł do ostatnich rzędów. – Uważam, że są usprawiedliwione. Prawie trzydzieści lat temu, gdy pradawni ujawnili swoje istnienie, trzy nasze wilki zgłosiły, że zwróciły się do nich tajne agencje rządowe, grożąc zdemaskowaniem, jeśli nie zechcą z nimi współpracować. Jednego z nich szantażowano konsekwencjami wobec rodziny. W tym roku były to aż czterdzieści dwa przypadki nagabywania ze strony agencji rządowych, obcego wywiadu i przynajmniej trzech różnych

organizacji terrorystycznych. W wielu przypadkach wchodziły w grę groźby wobec rodzin czy nawet porwania. Marrok troszczy się o swoich, zajął się każdym z tych wypadków. Wystarczyły pieniądze, władza czy wpływy, choć nie obyło się bez rozwiązań ostatecznych i kilku trupów. – W tym dwa on sam miał na sumieniu. – Jednakże istnieje tylko jedno ostateczne rozwiązanie problemu szantażu. – Zawiesił głos i potoczył wzrokiem po obecnych. – Trzeba wyjawic nasz sekret, pozbawic ich srodkow nacisku. A gdy to się stanie, nadać nowy kierunek fali obiegowych przekonani na nasz temat. Tylko dzięki temu możemy zyskać autentyczne bezpieczenstwo. – Spojrzal na Rosjanina, który wyświadczyl mu tę uprzejmość i natychmiast spuścił wzrok. – Nie twierdę, że to doskonałe rozwiązanie, ale z pewnością najlepsze z dostępnych.

To dopiero pierwszy dzień, napominal się w duchu. Trzymaj się planu. Dzisiaj miał przedstawić jedną z kilku propozycji strategii opracowanych na potrzeby europejskich wilkołaków.

– Zakładamy, że opinia publiczna zdoła utrzymać pod kontrolą zapędy rządu, zmuszając go do co najmniej ostrożności w poczynaniach. Oczywiście Marrok zdaje sobie sprawę, że opinia publiczna to dużo silniejsza broń tutaj, w Stanach Zjednoczonych, niż w niektórych państwach Starego Świata, gdzie władza nie musi się liczyć aż tak ze zdaniem obywateli. W świetle tego ma następującą propozycję: w ciągu następnych pięciu lat zezwala każdemu chętnemu wilkowi emigrować na nasze terytorium. – To była hojna oferta, gdyż zazwyczaj przenosiny do innego kraju poprzedzały długotrwałe negocjacje. – Ponadto jest skłonny rozważyć możliwość przesiedlenia całej watahy. – Tym Charles zdobył sobie niepodzielną uwagę słuchaczy. Pilnował się, żeby nie patrzeć na Francuzów, którzy mieli najlepsze powody, by opuścić swój kraj. Watahy mogły osiedlać się jedynie na niezajętym terytorium lub przejąć je w konsekwencji krwawej wojny. –

Oczywiście pod pewnymi warunkami. Wilki muszą uznać władzę Marroka i żyć według zasad, jakie obowiązują tutaj, na jego terenie. Muszą również zgodzić się na zamieszkanie we wskazanym miejscu. W zamian za to obejmą je korzyści, z których czerpią wszystkie tutejsze wilkołaki: ochrona i wsparcie Marroka.

Zerknął na wielki zegar wiszący z tyłu sali i z ulgą skonstatował, że jego wewnętrzny zegar działa prawidłowo. Była jedenasta, nadal jeszcze za wcześnie na przerwę obiadową, ale już nie absurdalnie za wcześnie.

Rosjanin znów zbliżył się do mikrofonu.

– I do nas zwracali się naganiacze, o których mówisz. Niestety, nasza reakcja nie zawsze kończyła się ofiarami jedynie po stronie wroga. Nie jestem przekonany tak mocno jak ty czy Marrok, że w naszym najlepszym interesie leży ujawnienie, ale... biorąc pod uwagę szczerą opcję relokacji, jesteśmy w stanie przyjąć, że wyjawienie naszego istnienia społeczności ludzkiej stanowiłoby rozwiązanie wielu problemów. – Ukłonił się Charlesowi, a jeszcze głębiej prądawnej.

Kiedy Rosjanin zasiadł między swoimi, Charles ogłosił:

– Nasz gospodarz zorganizował posiłek, zaprasza na dół. Zróbmy sobie przerwę na lunch.

Złapał za rękaw Toma, który już miał ruszyć ku wyjściu, żeby prawdopodobnie zająć się jakimiś sprawami związanymi z posiłkiem.

– Tom, zaczekaj chwilę, jeśli możesz, razem ze swoją towarzyszką.

Stojący nieopodal drzwi Angus natychmiast obrzucił ich uważnym spojrzeniem. Dobry Alfa chroni swoich. Charles puścił Toma i skinął Angusowi na znak, że nie zamierza zrobić krzywdy jego wilkowi. Tom, zobaczywszy reakcję swojego Alfę, uspokoił go gestem ręki, co zadziało lepiej niż milczące zapewnienie Charlesa.

– Rano nie było czasu na prezentacje – powiedział Charles, gdy zostali sami. – Anno, to Tom Franklin, Drugi Angusa, i jego towarzyszka... wybacz, nie zostaliśmy sobie przedstawieni.

– Moira – przejęła pałeczkę wiedźma. Ciemne okulary uniemożliwiały odczytanie wyrazu ukrytej za nimi twarzy, lecz zapach świadczył, że kobieta nie czuje lęku przed egzekutorem Marroka. Niezwykle, ale cóż, w końcu nie mogła go zobaczyć. – Miło mi was poznać.

– To moja Anna. – Charles popatrzył na Toma. – Dużo tu dominujących osobników, więc jest... – Nie, nie przestraszona. Znalazł inne określenie: – ...nieco przytłoczona.

Anna zeszywniała.

Tom wybawił Charlesa z opresji.

– Miło cię poznać. Do licha, sam jestem tym trochę przytłoczony. Kto by nie był?

– Tylko że ty nie jesteś Omegą – pogrążał się dalej Charles. – Pewnie nie zauważyłeś, Tom, ale...

– To dlatego, że Toma pochłaniało martwienie się o moje „przytłoczenie” – weszła mu w słowo wiedźma i trąciła towarzysza ramieniem – obecnością tych wszystkich über-wilków. Ja natomiast, jako nieupośledzona posiadaniem instynktu nadopiekuńczego, zauważyłam, że pod koniec uwaga wszystkich skupiała się na Annie, prawda?

Charles spojrział na wiedźmę zaskoczony.

– Hej, jestem tylko ślepa, reszta zmysłów działa – wzruszyła ramionami Moira.

– Rozpraszam cię – zmartwiła się Anna. – Przepraszam, postaram się...

Zamilkła pod jego spojrzeniem.

– Nie przepraszaj za coś, na co nie masz wpływu – powiedział łagodnie. – Gdybyś to ty stanowiła problem, to nie byłby żaden problem. Wiem, jaka jesteś odważna. Siedziałaś tu

kamieniem i nie drgnęłabyś nawet, gdyby sama Bestia do ciebie podskoczyła.

Wiedźma wydeła usta.

– Wow. To było niezłe.

Anna otaksowała Charlesa spojrzeniem, a potem zwróciła się do Moiry.

– Fakt, zaliczył parę punktów. Wobec tego w czym problem, jeśli nie we mnie? – zapytała Charlesa.

– Omega – zwrócił się do niej Charles oficjalnie – chronienie uległych wilków, serca naszych watah, to przywilej dominantów. Alfy mają pośród nich najsilniejszy instynkt opiekuńczy. A Omega działa na nas najmocniej.

Anna skinęła, nadal nie rozumiejąc. Przecież wiedziała o tym wszystkim. Nie potrafiła po prostu pojąć, jak przekłada się to na tę sytuację. Zwykła postrzegać silne wilkołaki jako zagrożenie.

– Moja droga – wtrąciła się wiedźma – podczas gdy ty dostawałaś dreszczy pod wzrokiem tych okropnych wilczysk, oni usiłowali znaleźć przyczynę twojego zdenerwowania, żeby zabić ją w twojej obronie.

– Ups – jęknęła Anna, dla której istota zamieszania stała się wreszcie jasna. – Nie... – W jej oczach znów pojawił się przeproszający wyraz. – Czyli muszę stąd iść, prawda? Mogę wrócić do hotelu.

– Cóż, obawiam się, że to nie załatwi sprawy – skwitował Charles.

– Dlaczego? – zapytała Anna i uśmiechnęła się filuternie. – Czyżbyś na czas naszej nieobecności podnajmował pokój? Albo trzymał w nim jakieś swoje byle?

Nie musiał się bardzo schylać, żeby cmoknąć ją w czubek głowy, ale zniżenie się do jej ucha wymagało większej pracy stawów.

– Ponieważ brat wilk również nie próżnował przez cały ranek. – Pozwolił mu wyjrzeć, żeby zobaczyła go w jego oczach.

– Jeśli pójdziesz do pokoju, będzie się denerwował, że to przez niego, więc i tak nic tu nie zrobię. – Popatrzył na Toma. – Ty też nie radzisz sobie najlepiej.

Drugi Angusa zaczął się domyślnie uśmiechać.

– Chcesz, żebyśmy z Moirą zabrali twoją panią na miasto?

– Jeśli Angus się zgodzi.

Tom wyjął telefon.

– Nie sądzę, żeby miał coś przeciwko.

– Jest jeszcze jedna ważna kwestia. – Charles spojrział na Annę, mrużąc oczy. – Proszę, to moje karty kredytowe. Chcę, żebyś z nich skorzystała. – Widział, że zbiera się na odmowę, nadal nie czuła z nim wspólnoty. Uważała, że jego pieniądze nie należą do niej. Była bardzo niezależna, a ostatnie trzy lata prawie nie miała na jedzenie. Przywiązywała znacznie większą wagę do pieniędzy niż on i nie wyobrażała sobie, że może wydawać nie swoje. – Potrzebujesz ubrań. To, co można kupić w Aspen Creek, nie nadaje się na takie okazje. Jesteś moją żoną, czasem będziesz uczestniczyła w oficjalnych wydarzeniach i musisz mieć odpowiednią garderobę. Sukienki, buty i inne fatalaszki.

Nadal milczała z zaciętą miną, lecz jej opór zaczął słabnąć.

– Szef się zgadza – rzekł Tom, chowając telefon.

– Poza tym – Charles sięgnął po ostatni argument – wyświadczysz mi przysługę, załatwiając sprawunki świąteczne.

Błysnęła uśmiechem – ha, tu ją miał!

– Dobrze, już dobrze. Jakie są limity na kartach?

Na twarzy Toma odbiło się wyraźnie zdziwienie – wszyscy wiedzieli, że Charles zajmował się finansami watahy i miał talent do pomnażania pieniędzy.

– Hm, jeśli zechcesz kupić nowego mercedesa, będziesz musiała użyć obu. Idź. Podbij Seattle, żebym ja nie musiał tego robić.



– No i zostałam odprawiona – westchnęła Anna, ale nie potrafiła ukryć radości, kiedy sięgała po kurtkę i torebkę. On jednak potraktował jej słowa poważnie.

– Nie na zawsze – zastrzegł. – Wieczorem będziesz miała okazję lepiej poznać Artura. A na razie spędzisz trochę czasu z Tomem i Moirą. Myślę, że kiedy nie będziesz siedziała na sali, sprawy potoczą się gładko.

– Jutro wieczorem Angus zaprasza na polowanie – przypomniał Tom.

– To będzie mniej oficjalne zgromadzenie, poza tym wszyscy będą skupiali się na polowaniu. Będą mieli okazję swobodniej ci się przyjrzeć i vice versa.

– Gdzie urządzacie polowania? – zaciekawiała się Anna. – W okolicy lądowiska?

– Nie – zaprzeczył Tom. – Mamy w mieście dwa magazyny.

– Świetne miejsce, zobaczysz – zapewniła ją Moira. – Angus stworzył w nich labirynt tuneli, przejść i podestów. Ścianki są ruchome, więc można wszystko zmieniać. Spodoba ci się, zobaczysz.

– A na co będziemy polować? – W głosie Anny nie było już słyhać wcześniejszego napięcia.

– Na skarb – wyjaśnił Tom. – Ale co nim jest, to niespodzianka. Wczoraj przygotowaliśmy magazyn. – Zerknął na drzwi wyjściowe. – Wilki jedzą szybko. Jeśli mamy iść, to ruszajmy teraz.

Anna nieśmiało pocałowała Charlesa w policzek i odeszła, nie oglądając się za siebie. A potem odwróciła się w drzwiach i na oczach wszystkich, którzy byli na tyle odważni bądź na tyle nieuprzejmi, by zwlekać z wyjściem, posłała mu całusa.

I pomimo widowni... a może właśnie z jej powodu, udał, że go łapie, i przycisnął dłoń do serca. Uśmiech Anny zniknął jak zdmuchnięty, a mina warta była tego małego pokazu. Myny innych wilków, które znały Charlesa osobiście lub z reputacji,

zapamiętał sobie na później, żeby obśmiać je, gdy nikt nie będzie patrzył. Tego sposobu na wytrącenie ich z równowagi jeszcze nie próbował.



Zastanawiała się, czy karty Charlesa nie przepalą jej torebki, rozgrzane do czerwoności tarciami w terminalach. Zanieśli już jedną partię zakupów do hotelu i właśnie kończyli drugą.

– Jesteśmy w połowie drogi między biurem Angusa i hotelem. Dokąd idziemy? – zapytała.

– Odprowadzę cię z powrotem do Charlesa – oświadczył Tom.

– Jeśli masz dziś jeść kolację z tym nadętym brytyjskim dupkiem, powinnaś się przygotować. Idź do hotelu, zacznij coś koło siebie robić – podważyła jego decyzję Moira. – Masz komórkę, Charles też ją ma. Jeśli zaczniesz się zastanawiać, gdzie jesteś, zadzwoni.

Anna popatrzyła na Toma, który wzruszył ramionami, a jego mina nie była tak potulna jak słowa.

– Jeśli myślisz, że będę się z nią spierał, przejdź od razu do kolejnej myśli.

Moira trąciła go biodrem.

– Ooo, bo tak się mnie boisz.

Wielki zły wilk zmarszczył twarz w uśmiechu, nieco nierównym z powodu blizn.

– Oczywiście. Nawet bardzo. – Popsuł efekt, mierzwiąc Moirze włosy, ale musiał zostawić rękę na jej głowie, żeby nie zdołała go trzepnąć.

Anna przestała się denerwować jego obecnością, kiedy przez całą godzinę cierpliwie chodził z nimi od sklepu do sklepu. Od lat słyszała o Pike Place Market, ale na pierwszy rzut oka nie

zrobił na niej wrażenia – ot, zwykły pchli targ... również z owocami i rybami.

Potem Moira zaczęła prowadzić ją w różne zakamarki, a to do jakiejś budki, a to do stoiska – niby niewidoma, a biegała po placu jak fryga. A Tom zawsze był u jej boku, w odpowiednim momencie podtrzymując ją i wymrukując wskazówki, żeby nie wpadła na kogoś czy nie potknęła się na nierównej powierzchni.

Tom został konsultantem w kwestiach kroju i koloru, Moira wzięła na siebie obmacywanie tkanin i targowanie się ze sprzedawcami. W rezultacie za cenę kilku par dzinsów, które kupowała w liceum, Anna stworzyła podwaliny swej garderoby. Kiedy okazało się, że stoisko nie przyjmuje płatności kartą, pomimo jej protestów Tom wyjął gotówkę i zapłacił.

– Spokojnie – powiedział. – Charles nie będzie miał nic przeciwko. – Wydawało się, że to ostatnie zdanie niezwykle go rozbawiło.

Anna nabyła też, zgodnie z zamówieniem, całą masę prezentów pod choinkę. W zeszłym roku bała się (i była zbyt niepewna), żeby wysłać podarki Branowi i Samuelowi. W tym roku musiała... musieli z Charlesem kupić je sobie nawzajem, do tego jego rodzinie i mnóstwu innych osób.

Zjazd miał trwać przez całe święta – Anna odniosła wrażenie, że wydarzyło się coś, co zmusiło Marroka do przyspieszenia planów. Charles wyjechał gdzieś na dwa dni i wrócił jeszcze bardziej ponury niż zazwyczaj. Nie powiedział, gdzie był i co robił, a ona nie pytała, zbyt onieśmielona jego ciężkim milczeniem. Następnego dnia Marrok zaczął planować zjazd i równocześnie zaczęli się z Charlesem o to kłócić.

Znalazła małe złote kolczyki z niegładzonym bursztynem dla Charlesa, w miejsce tych, które oddał trollowi. W tym samym sklepie złamała się i kupiła też jedne dla siebie, trochę większe, wiszące. Mimo że były tańsze, i tak miała wyrzuty sumienia, ale

pocieszyła się, że może uda się jej oddać mu za nie pieniądze i że w Chicago kosztowałyby więcej.

Z innego straganu wyszła jako dumna posiadaczka trzech jedwabnych bluzek, ale już kilka kroków dalej jej oko przyciągnęła kolejna wystawa.

– Co to? Co to? – dopytywała Moira niecierpliwie. – Tom?

– Chyba kołdra czy koc – zaburczał. – Jezu, Moira, jeśli kupicie coś jeszcze, będę musiał wam pomóc dźwigać te toboły, a wtedy stanę się kiepskim ochroniarzem.

Pled obszty był wąskimi czerwonymi i zielonymi pasami, w odcieniach tradycyjnych koców Pendleton. Główna część składała się z czterech kwadratów, a na środku było koło. Kwadraty przedstawiały ten sam widok na szczyt górski, dwa górne krajobraz w dzień wiosną i latem, dolne: nocny, jesienią i zimą. Centralny kolisty panel zajmowała czerwona sylwetka wyjącego wilka na zielonym melanzowym tle.

– Nie sądzę, żeby groziło nam tu coś więcej niż kieszonkowcy – mówiła Moira do Toma. – Jestem przekonana, że poradzisz sobie z nimi jedną ręką, trzymając w drugiej zakupy. – Wiedźma dotknęła ramienia Anny. – Czemu tu stoisz? Wejdz i go kup. Tom, opisz mi ten pled, proszę.

Anna zerknęła na dyskretną metkę z ceną i aż przełknęła głośno ślinę.

Do hotelu wracała z trzema pledami: dla swojego ojca, Marroka i dla Charlesa. Ukochany miał dostać ten z wystawy.

– Możesz odłożyć je na łóżko – powiedział ze śmiechem Tom. – Nie złamią się ani nie uciekną.

– Jeszcze jestem w szoku – przyznała Anna. – Nigdy, poza chwilą gdy pierwszy raz ujrzałam Charlesa, niczego tak bardzo nie pragnęłam. – Zreflektowawszy się, że Tom wyczuje kłamstwo, poprawiła się: – No, może jeszcze poza wiolonczelą u lutnika w Chicago, która kosztowała więcej niż porządny samochód i była warta każdego centa.

– I nie poprzestała na jednym – rzuciła w przestrzeń Moira, wyraźnie ubawiona.

– Nie umiałam się powstrzymać. – Mimo że rozmowa miała żartobliwy ton, Anna naprawdę nie otrząsnęła się jeszcze z tego silnego pragnienia posiadania, jakie opadło ją w stoisku z kocami. – Chyba będę musiała zacząć robić patchworki.

– Szyjesz? – zapytała Moira.

– Jeszcze nie – oświadczyła Anna zaskoczona własną determinacją. – Jak myślisz, uda mi się znaleźć kogoś w Aspen Creek, kto pokaże mi, jak to się robi?

– Anno, Charles będzie cię dwa razy w tygodniu transportował samolotem do Anglii, jeśli to tam będziesz się chciała uczyć szycia – zaśmiał się Tom. – Ale z pewnością znajdziesz kogoś bliżej.

Dziwnie się poczuła, gdy to usłyszała. Dotknęła pledu dla Charlesa, który kazała zapakować na prezent, a potem odwróciła się, bo Moira zaczęła ich popędzać na kolejną turę zakupów, bo przecież buty czekają, a dzień taki krótki...

Anna zamknęła za nimi drzwi do hotelowego pokoju, nadal zmagając się nowo odkrytym przekonaniem, że Tom ma rację.

Odzyskała równowagę dopiero przy windzie. Bo to prawda, że gdyby go o to poprosiła, wsadziłby ją do samolotu i zabrał do Anglii, tak jak ona poszłaby za nim w środku zimy na szczyt ośnieżonej góry, gdyby chciał. Pod tym względem nie różnili się od siebie.

– Hej! – Moira strzeliła jej palcami przed nosem. – Buty, kobieto, buty.

Drzwi windy rozsunęły się.

– Przepraszam. Właśnie dostałam objawienia.

– Ach. – Wydawało się, że Moira poświęciła temu myśl czy dwie. – Cóż, przykro mi, ale buty są ważniejsze. Szczególnie jeśli ten brytyjski snob będzie padał ci do stóp.

I tak Anna wzięła się w garść i ruszyła na kolejny maraton po sklepach. Zimą wcześniej zapadał zmrok, nawet jeśli zima ta zamiast śniegu przynosiła deszcz. Kiedy Moira odwaliła już swoją robotę, Tom marudził, że zamarzają mu palce u stóp, a Anna miała buty – oraz fryzurę – Moira wreszcie im odpuściła, ogłaszając, że mogą wracać. Do hotelu, co podkreśliła tonem nieznośnym sprzeciwu.

Wiedźma wychyliła się zza Toma, jakby chciała zobaczyć minę Anny, kiedy kończyła wypowiedź:

– Mężczyźni nie potrzebują czasu, żeby przygotować się na wyjście. Ogotą się, zawiążą krawat i już. Ale kobie...

Wyskoczyli z ciemności zalegającej schodki do mieszkania w suterenie, przynosząc ze sobą zakłęcie ciszy i cienia, które ukryło ich obecność przed wyostrzonymi zmysłami Toma i niewytrenowanymi Anny.

Najpierw rzucili się na Toma, ale nie zdążyła wiele zobaczyć. Usłyszała jego jęk i zaraz potem poczuła szczupłe, silne jak stal ramię opasujące jej szyję.

Magia poruszyła się i opadła na nich znajomym zakłęciem, którego wilkołaki używały w trakcie bójek, zabijania i wszystkiego, co chcieli ukryć przed światem. Tyle że napastnicy nie pachnieli jak wilkołaki.

Usiłując uwolnić się od ramienia, Anna widziała, jak jedna osoba, kobieta, odrywa się od grupki i wpada na Moirę niczym wspomagający na przeciwną drużynę futbolistów, zbija ją z nóg i spycha z chodnika na ulicę.

Rozległ się krzyk, który umilkł jak nożem uciął, gdy ciało gruchnęło o chodnik. Nie widziała dokładnie, ale nie był to Tom, nie byłby w stanie wydać z siebie tak wysokiego dźwięku. Napastniczka porzuciła leżącą na ziemi ślepą wiedźmę i skoczyła na pomoc towarzyszom walczącym z Tomem.

– Śliczna Anna. – Szept należał do kobiety. Zaraz potem Anna poczuła liźnięcie na szyi. Jej napastniczka nie była człowiekiem.

Żaden człowiek nie zdołałby unieruchomić jej z taką łatwością. Ani też pokonać Toma, nawet całą bandą. – Chodź ze mną, dziewczyneczko, a tamci przeżyją...

Otrząsnąwszy się z pierwszego szoku, Anna kopnęła, łamiąc przeciwnicze kolano. Nie była żadną „dziewczyneczką”. Była wilkołaczką.

Kobieta wrzasnęła przenikliwie. Dźwięk był tak ostry, bolesny, że ogłuszona Anna zatoczyła się na chodnik, żeby przed nim uciec. Silne dłonie chwyciły ją za ramiona z zamiarem powleczenia gdzieś, ale Anna wykręciła się szarpnięciem i kopnęła piętą w nos napastniczki. Krzyk umilkł.

Stery przejęła wilczyca. Nie w swojej formie, a w ciele człowieka, Anna pokazała przeciwnicze dobitnie to, co tamta powinna wiedzieć – że Omega nie oznacza popychadła. Nie oznacza słabeusza. Oznacza ten rodzaj siły, który jest konieczny, aby ostatecznie zatriumfować, obojętne, czy należy kulić się w obecności dominujących osobników, czy rozerwać wroga na strzępy.

Zatraciła się w walce za bardzo, żeby określić dokładny moment, kiedy zrozumiała, że zaatakowały ich wampiry. Przypomniała sobie jednak lekcje udzielane jej przez Asila – jak się je zabija. Kiedy ciało wampirzycy leżało u jej stóp w dwóch kawałkach, a głowa gdzieś bliżej Moiry, która wrzeszczała coś niezrozumiale, wilczyca wydała pomruk satysfakcji i oddała człowiekowi władzę nad ciałem. Wtedy Anna rozróżniła słowa niezrozumiałe dla wilczycy:

– Cholera jasna! Szlag by to! Mówcie, co to jest! Tom! Tom! Anna!

– Wampiry! – krzyknęła Anna, biegnąc ku stercie ciała, pod którą najprawdopodobniej leżał Tom.

Moira jej nie usłyszała, więc Anna, oderwawszy ramię wampira, którego usiłowała odciągnąć od Toma, wrzasnęła:

– Wampiry, Moira! Wampiry!

Wtedy eksplodowało wokół nich światło, ciepłe, jaskrawe, a wampiry, których nie zdążył zabić Tom, zaprzestały walki i rzuciły się do ucieczki. Ten, którego wzięła na cel Anna, zanim umknął, zdążył zgarnąć jeszcze z ziemi oderwaną kończynę. Anna runęła za nimi, ale z wysiłkiem zatrzymała się po kilku krokach.

Było ich czworo, pewnie o troje za dużo jak na jej możliwości, a poza tym nie mogła zostawić rannych towarzyszy.

– Tom?

– Żyje – powiedziała Moira po krótkim, acz dokładnym badaniu na odległość, bo zbliżyła się do swojego towarzysza tylko na dwa kroki. – Będzie potrzebował chwili, żeby rozpoznać, że nie jesteśmy wrogami – wyjaśniła.

Anna uklękła przy wiedźmie.

– Co z tobą?

– Wszystko, do cholery, w porządku.

Anna czuła, że Moira krwawi, ale nie mocno. Widziała rany cięte na jej kolanach i łokciach, nie było to jednak nic strasznego. Straszna rzecz nie miała nic wspólnego z atakiem wampirów.

Podczas walki Moira straciła okulary – leżały na chodniku – a Anna ujrzała, co wiedźma za nimi ukrywała. Jedno oko było jedną wielką blizną, jakby ktoś je wyłupił, a drugie – wysuszone jak rodzyńka, ohydna żółtawo-biała rodzyńka.

Anna bez słowa podniosła okulary, które cudem ocalały, i włożyła je Moirze do ręki. Dłonie wiedźmy drżały, kiedy je zakładała na nos. Dopiero potem się uspokoiła.

Anna rozumiała, czym jest zasłona, i wiedziała, że czasem przyjmuje dziwną postać.

– Dojdzie do siebie – powiedziała pocieszająco, zadowolona, że Moira nie widzi, w jakim stanie jest wilk. W ten sposób łatwiej było przekonać ją, że Tom się z tego wygrzebie. Wilkołaki są twarde. – Możesz nas osłonić? Tak jak wampiry...



Czy ktoś, kto był z nimi. – Zaklęcie przypominało magię watahy. – Kiedy uciekły, przestało działać. – Nie wiedziała na tyle dużo o magii stada, by próbować zrobić to samej. Zresztą coś takiego i tak wymagało bliskości watahy, a nowa wataha Anny znajdowała się w Aspen Creek, dwa stany stąd.

– Mogę spróbować, ale nie będzie silne i musisz powiedzieć mi, czy działa – powiedziała Moira. Znów brzmiała bardziej jak ta pewna siebie kobieta, z którą Anna spędziła większość dnia, a mniej jak przerażająca wiedźma.

Anna rozejrzała się. Bezgłowe trupy wampirów obróciły się w proch. Nie знаła się na tyle na wampirach, żeby wiedzieć, czy sprawiła to ostateczna śmierć, czy może światło Moiry.

– Zadziała – odezwał się Tom, choć nie ruszył się z miejsca. Nadal mówił warkliwie, a jego oczy złościły się jasno w mroku. – Anno, moja komórka jest w kawałkach, a Moira nie nosi przy sobie telefonu, musisz wezwać pomoc. Przez parę dni pewnie nie będę mógł chodzić.

Dominujące wilki nie znosiły dobrze urazów, które ograniczały ich zdolności do obrony. Wataha Angusa była prawdopodobnie zorganizowana tak jak większość stad. Na szczycie Angus, dwa, trzy wilki tuż pod nim, reszta gotowa, by wkroczyć w razie konieczności. A Tom z pewnością miał złamaną rękę oraz inne obrażenia, niewidoczne gołym okiem.

– Macie uzdrowiciela, prawda? – zapytała Anna.

– Tak, nazywa się Alan Choo. Ale zadzwoń do Charlesa, niech przyśle...

Uznawszy, że Tom będzie się upierał, Anna zwróciła się do Moiry, która idąc za głosem towarzysza, w końcu znalazła się przy nim. Sądząc z jej miny, wampiry miały szczęście, że nie żyły albo uciekły.

– Moira, jaki jest ten Alan Choo? Bardzo dominujący?

– Wcale – denerwował się Tom. – Nie zapewni ci bezpieczeństwa.

Sekundę wcześniej Anna była odrętwiała i trzęsła się od wywołanego wydarzeniami szoku, kiedy jednak dotarły do niej słowa Toma, poczuła, jak narasta w niej gniew, że był gotów ryzykować dla niej własne zdrowie. A został ranny przez nią, bo to na nią polowały wampiry.

Przyzwała do siebie moc i powiedziała:

– Sama o siebie zadbam. – A kiedy Tom zmilczał, zwróciła się do Moiry: – Masz numer do Choo?

– Daj telefon, sama do niego zadzwonię – odrzekła Moira dziwnie zduszonym głosem.

Anna wręczyła jej komórkę, a sama odwróciła się do towarzysza wiedźmy, który, jak ze zdziwieniem odkryła, uśmiechał się do niej.

– Kurczę, kobieto, nikt nie usadził mnie tak w miejscu, odkąd zrobił to Charles. Lepiej do niego zadzwoń, bo będzie się zastanawiał, czemu tyle od niego tego zaczerpnęłaś.

Tego? Czego? Nie miała bladego pojęcia, o czym mówi, nie mogła jednak o to pytać. Nauczyła się, że nie wolno odsłaniać swoich słabości. Nawet przed tymi, których darzy się sympatią.

– Będzie musiał poczekać na swoją kolejkę. Moiro, powiedz, proszę, panu Choo, żeby spotkał się z nami w hotelu.

– A jak zamierzasz się tam dostać bez niczyjej pomocy? – zapytał Tom. Spróbował usiąść, ale nie zdołał. – Szlag! Sam na pewno się nigdzie stąd nie ruszę.

Anna odczekała, aż Moira skończy rozmawiać z medykiem, a potem wzięła od niej telefon. Dopiero potem odpowiedziała na jego pytanie:

– Zaniosę cię, a Moira dopilnuje, żeby nikt tego nie widział. – Widząc zdumienie na twarzy wiedźmy, wywróciła oczami, całkiem zapominając, że kobieta tego nie widzi. – Hej, jestem wilkołakiem. Może nie wyglądam jak krzepki samiec, ale bez trudu dam radę go ponieść.

Tom uspokoił się nieco.

– Nie mamy w watasze żadnej wilczycy – wyjaśnił. – Ty jesteś dość szczupła, więc wiesz, zapomniałem. – Uśmiechnął się przeproszająco, kiedy zbeształa go spojrzeniem. – Wybacz.

Znajdowali się niedaleko hotelu, lecz wydawało się, że idą całymi kilometrami. Tom swoje ważył, jako że wilkołaki są cięższe od ludzi, a do tego Anna denerwowała się odgłosami, jakie wydawał, bez względu na to, jak starała się go nie urazić. Potem znów przestał wydawać jakiegokolwiek dźwięki, co było jeszcze gorsze. A uprzedzanie Moiry o krawężnikach i dziurach w chodniku okazało się trudniejsze, niż wyglądało, kiedy robił to Tom.

Już miała się poddać, kiedy podniosła wzrok i zobaczyła hotel.

W jej kieszeni rozdzwoniła się komórka. Jacyś ludzie wychodzący z restauracji przy hotelu zaczęli się ze zdziwieniem klepać po ubraniach, więc Anna pomyślała, że może magia Moiry przestaje działać.

Ponieważ miała zajęte ręce, to wiedźma wyjęła telefon i wyciszyła go. Tom stracił przytomność chwilę wcześniej, a Anna martwiła się, że zostawiają ślady krwi na chodniku, ale nic nie mogła na to poradzić.

Po drodze obmyśliła plan działania. Zadzwoni do Charlesa i wszystko wyjaśni. Jeśli dobrze rozumiała działanie watahy i konsekwencje stanu Toma, Charles z pewnością również tak postąpiłby w tej sytuacji.

– Drzwi – szepnęła do Moiry, która zsunęła jej rękę z ramienia i przytrzymała szklane skrzydło, umożliwiając Annie wejście do środka.

– Wietrznie dzisiaj – skwitował ktoś na widok otwierających się i zamykających drzwi.

Mieli szczęście, że nikt nie czekał na windy, ani w lobby, ani na piętrze, gdzie wysiadali. Anna musiała położyć Toma na podłodze, żeby znaleźć i wyjąć kartę do pokoju. Moira została

z towarzyszem, mamrocąc coś pod nosem i czekając, aż Anna rozłoży na łóżku ręczniki, które miały wchłonąć krew.

Ponowne dźwignięcie Toma zajęło chwilę, a już ścigali się z czasem. Był półprzytomny i coraz bardziej pobudzony. Anna też drżała cała w nerwach. W końcu udało się jej go podnieść. Nawet gdyby ją teraz ugryzł, zdążyłaby wciągnąć go do środka i zamknąć za nimi. Zresztą w tym stanie i tak nie zdołałby wyrzucić jej poważnej krzywdy. Poza tym gotowa była zaryzykować.

Jednak skończyło się bez gryzienia. Anna wtargała swe ranne brzemię do pokoju i ułożyła Toma na łóżku. Moira zamknęła drzwi i obie odetchnęły z ulgą. Kiedy telefon rozdzwonił się znowu, wiedźma wepchnęła go w zakrwawione dłonie Anny.

To Charles tak się dobijał.

– Anna? – rzucił nisko, zdenerwowany. Wywnioskowała, że biegnie, natychmiast poczuła jego panikę i gniew, narastającą w nim mroczną falę agresji.

– Nic mi nie jest – powiedziała, ale zmitygowała się w duchu, że wcale nie jest tego taka pewna. W ferworze walki nie czuła bólu, jednak oberwała parę razy, sama również uderzyła przeciwniczkę. Wtedy tego nie zarejestrowała, ale teraz miała obolałe knykcie i bark. Żołądek też jej dokuczał. Na szczęście wątpliwości opadły ją dopiero po tym zapewnieniu.

– Dzwonił uzdrowiciel Angusa, mówił, że został wezwany do naszego pokoju hotelowego. A potem poczułem, że zaczerpnęłaś mocy.

Anna przypomniała sobie ten moment, kiedy zebrała moc, by uciszyć Toma, oraz to, jak mówił, że Charles to poczuje. Leah, towarzyszka Marroka, czasem posługiwała się autorytetem Brana, nawet gdy ten był daleko. Widać Anna również potrafiła skorzystać z charyzmy Charlesa.

– No tak... – Anna rozejrzała się i zaczerpnęła tchu.

Ta magia sekretu, ta, którą posłużyły się wampiry, wywoływała również pewne efekty u osób znajdujących się w jej zasięgu, prowokując potrzebę zachowania tajemnicy. Przecież od razu powinna zadzwonić do Charlesa.

– Chciałabym, żebyś tu przyszedł. – Bardzo, bardzo tego chciała. – I może też Angus? Ale nikt poza wami. Tom jest dość poważnie ranny.

– Na tyle poważnie, żeby trzymać watahę z dala od niego – doprecyzował Charles chłodno. Wyrazistość, z jaką czuła ukochanego, słabła wraz z wygasaniem jego zdenerwowania, traciła możliwość wyczuwania go, ale nie była pewna, czy może ufać temu spokojowi. Zbyt szybko gwałtowność ta ostygła.

– Tak – potwierdziła, choć nie było to w zasadzie pytanie. – Przytransportowałyśmy go tu z Moirą, ale nie przypuszczałam, że straci tyle krwi. Możliwe, że zostawiliśmy za sobą ślad...

– Nie – wtrąciła Moira stanowczo, choć była biała jak prześcieradło, na którym siedziała. W każdym razie na tyle biała, na ile mogła, cała zakrwawiona. – Tym się zajęłam.

Anna wiedziała o czarach tyle, że nie chciała wiedzieć więcej. Czujna bestia w środku uznała, że są, tymczasowo, bezpieczne.

– Słyszałeś?

– Tak.

– No więc jesteśmy bezpieczne w hotelu. Tom nie jest śmiertelnie ranny, tak sądzę... – W pokoju nagle rozszedł się specyficzny zapach. – Przemienia się.

– To najlepsze, co teraz może zrobić, jeśli jest w stanie. Trzymaj się od niego z daleka. Moira zdoła go uspokoić na tyle, że będziesz mogła przebywać w pobliżu. Jestem w drodze. Dam znać Angusowi, że jeśli ceni swego Drugiego, powinien odwołać watahę. Dotrę do was za dwie minuty, wtedy opowiesz mi wszystko po kolei. – Telefon w jej ręce zamilkł, uznała więc, że zakończył połączenie.

– Byłaś już kiedyś obecna przy przemianie Toma? – zapytała Moirę.

– Tak.

– W porządku. – Anna opadła na krzesło po drugiej stronie łóżka. – Siedź i się nie ruszaj. Tym razem potrwa to dłużej. Ranny wilkołak przechodzi przemianę boleśniej niż normalnie, więc zaraz po pewnie będzie drażliwy. Może nawet przez jakiś czas nie będzie sobą. Daj mu trochę czasu, zanim go dotkniesz. Prawdopodobnie da ci znać, kiedy będzie na to gotowy.

– Mało brakowało, żeby nas zabili. Gdybym ich widziała...

– Ta eksplozja światła była niesamowita – zapewniła ją Anna. – Następnym razem, kiedy zaatakują nas wampiry, ukryję się za twoimi plecami i będę wrzeszczeć do ucha, że to wampiry. – Na moment zawiesiła głos. – Dobrze, że byłaś z nami. Sami nie dalibyśmy rady. Ktoś sporo wiedział o Tomie. – Przypomniała sobie, jak opadły go, próbując zabić, w zasadzie ignorując ją i Moirę. – Ale nie doceniły ciebie.

– Po co w ogóle miałyby się na nas rzucać? – zastanawiała się wiedźma. – Oczywiście wiem, że są wrogo nastawione, ale są również pragmatyczne. A pragmatyzm i atak na towarzyszkę Charlesa nie idą w parze.

– Pewnie ktoś im zapłacił – westchnęła Anna ze znużeniem. – Ktoś, kto był prawie pewien, że uda mu się utrzymać Charlesa z dala od nich. Ktoś, kto wiedział o naszym wypadzie na zakupy. – Spojrzała na swoje dłonie, podczas gdy Tom stękał i powarkiwał w trakcie trudnej przemiany. Ostatnie słowa wypowiedziała bardzo powoli: – Ktoś, kto mógł zapewnić im magię stada, żeby zamaskować hałas i kotłowanie, dopóki nie skończą.

– Myślisz, że stoi za tym któryś z wilkołaków?

– Nie wiem. – Obawiała się jednak, że tak to mogło wyglądać.

Przemiana Toma dobiegła końca. Dyszał ciężko, charcząc i warcząc. Był prawie tak wielki jak Charles w wilczej formie –

a Charles był naprawdę ogromnym wilkiem – a jego sierść miała barwę czekoladowego brązu, z wyjątkiem srebrzystej blizny na pysku.

Moira położyła mu dłoń na karku, a wilk poderwał się gwałtownie. Anna skoczyła na równe nogi, ale zanim zrobiła coś głupiego, uspokoił się i złożył łeb na kolanach towarzyszki.

Ktoś zapukał do drzwi. I nie był to Charles.



## 6

Charles z wysiłkiem powściągał się, żeby nie biec. Nie musiał się już spieszyć. W innych okolicznościach Tom mógłby stanowić problem, ale obecność Anny wszystko zmieniała. Potrafiła go uspokoić, a Tom, nawet oszalały z bólu, nie skrzywdziłby Omegi.

Natomiast Charles to właśnie z jej powodu był całkiem rozstrojony. Nie przywykł do panikowania, wytrącało go to z równowagi.

Na palcach jednej ręki mógłby policzyć osoby, na których zależało mu tak bardzo, że obawa o nie wpędzała go w panikę. Większość dawno już nie żyła, nie wymagała więc jego opieki. Jeśli chodzi o ojca i brata, wierzył, że zazwyczaj sami są w stanie o siebie zadbać.

Z lękiem o Annę nie radził sobie zupełnie.

Powiedziała, że nic jej nie jest, i mówiła prawdę. Słyszał, że jest zdenerwowana niedawnymi wydarzeniami, ale już nic jej nie groziło. A Tom, żeby zdrowieć, potrzebował teraz spokoju, a nie wilka na adrenalinowym haju, w dodatku z obcego stada.



Jednak mimo że udało mu się zwolnić kroku, brat wilk szalał i nie wyglądało na to, że się uspokoi.

Zresztą człowiek nie pozostawał za nim daleko w tyle. Ktoś chciał skrzywdzić Annę, a ich przy niej nie było, nie mogli jej bronić.

Idący z naprzeciwka młody mężczyzna raptownie podniósł wzrok na Charlesa i napotkawszy spojrzenie wilkołaka, tak samo szybko go opuścił. Dopiero wtedy Charles zdał sobie sprawę, że powarkuje pod nosem.

Zatrzymał się, głęboko wciągnął do płuc powietrze i to, co poczuł, wyrwało go z ponurych myśli. Albo raczej to, czego nie poczuł. Czegoś tu brakowało. Brakowało normalnego stężenia zapachów miasta.

Stał na fragmencie chodnika czystego jak w dniu, gdy go wylano. Brak śmieci nie wydawał się dziwny – w Seattle zmywał je często deszcz. Ale brak śmieci, zabrudzeń, zapachu? Wszystkiego? To dziwne. Na tyle dziwne, że paląca potrzeba dotarcia do Anny i upewnienia się, że nic jej nie jest, zbladła do poziomu, że mógł trzeźwo pomyśleć.

Anna powiedziała, że wiedźma Toma zajęła się śladami krwi, i prawdopodobnie właśnie patrzył na rezultat jej działań – nierówną ścieżkę, jaśniejszą o parę tonów od otaczającego ją betonu. Nadal mogło to stanowić trop, jeśli ktoś chciałby za nimi podążyć, ale ślepa kobieta nie mogła tego przewidzieć. Poza tym lepsze to niż ślady krwi, które zaalarmowałyby policję i sprowadziły stróżów prawa do hotelu.

Mógł kontynuować wędrówkę do hotelu albo udać się na łowy. Stał nieruchomo, konsultując się z bratem wilkiem. Potem odwrócił się i ruszył w przeciwnym kierunku.

*Tak!* – sapnął brat wilk, a ludzka część zgodziła się z nim.

Przydałyby się przemoc i krew. Anna poczeka. Angus był już w drodze do hotelu. Lada moment dotrze do niej i będzie z nim bezpieczna.

A więc mieli czas, żeby się wzmocnić. Uwolnić obu od gniewu, który pozbawiał ich równowagi.

Kawałek dalej, za ledwie kilka przecznic, nienaturalnie czysta ścieżka na chodniku urywała się, a pomimo padającego deszczu w okolicy unosił się zapach Anny.

Było całkiem ciemno, choć dość wcześnie, nieco po osiemnastej. Minęło dwadzieścia minut, odkąd Anna zaczerpnęła od niego mocy, i kolejne piętnaście od ich rozmowy telefonicznej. Te pół godziny temu zmrok nie był pewnie aż tak gęsty, lecz wystarczający, żeby dać osłonę groźnym drapieżnikom na polowaniu.

Wyszedł na otwartą przestrzeń i rozejrzał się. Poczerniały strzęp tkaniny, mokry, brudny, siatka, z której wysypały się dwa pudełka z butami, i pojedynczy, wściekle różowy, odrapany, nieco dalej, na granicy zakłęcia. Wyczuł też wampiry.

Wampiry z Seattle napadają na wilkołaki? Charles zastanowił się nad tym i zacisnął pięści na myśl, z czym musiała się mierzyć Anna.

Obwąchał strzęp – nic. Za to różowy but, który zakłęcie czyszczące objęło tylko częściowo, nadal nosił woń wampira i spalenizny.

Pozostałe cztery buty – para czółenek na niskim obcasie oraz czerwone szpilki, takie, jakie kobiety zakładają dla mężczyzn – pachniały nowością, skórą, barwnikiem i odrobinę Anną.

Charles nie zwracał uwagi na obuwie i podejrzewał, że nie jest w tym osamotniony wśród mężczyzn. W butach, bosy – było mu to obojętne. Najbardziej lubił swoją kobietę nago, choć ostatnio był skłonny uznać, że jego kobieta w jego ubraniach to druga najlepsza rzecz po nagości.

Nawet miłe wspomnienie Anny w wielkim brązowym swetrze, które wywołało uśmiech, nie osłabiło jego ochoty na polowanie. Obszedł granicę zakłęcia wiedźmy, aż pochwycił trop wampirów, co nie było trudne, bo przynajmniej jeden

z nich odniósł poważne obrażenia. Zaprzął nos do pracy, a potem zabrakło mu miejsca na uśmiechy.

Wampir, może dwa. Prawdopodobnie więcej. Rozróżnił aż sześć woni. Sześć wampirów napadło jego Annę.

Przyszło mu do głowy, czy mówiła szczerze, że nic jej nie jest. Różowy but pękł w jego dłoniach. Znów warcząc, doszedł za tropem na kryty parking – miejsce numer czterdzieści sześć.

Cztery minuty i nieco zastraszania później – nic trudnego w jego obecnym stanie – dowiedział się, że miejsce parkingowe opłacono na pół roku, ale korzystano z niego tylko od czasu do czasu.

Trudno stwierdzić, czy wampiry łączyło coś z wynajmującym, czy, co bardziej prawdopodobne, zaparkowały samochód na pierwszym pustym miejscu. Nie planowały widać dłuższego postoju, bo parking sprawdzano co dwie godziny.

– No – przytaknął mężczyzna, a w zasadzie chłopak. Nie patrzył na Charlesa, dzięki czemu mógł trochę ochłonąć. – Ktoś śmignął stąd, rycząc i paląc gumy, jakby go piekło goniło. Pamiętam, bo to był minivan, niebieski dodge, a nie jakaś sportowa bryka. Nie widziałem, jak wjeżdżał, ale na początku zmiany zrobiłem obchód i nie było tu żadnego minivana, prócz tego, który pani Sullivan parkowała wtedy na swoim miejscu.

Charles wziął poprawkę na słowa chłopaka – umiejętność manipulowała ludzkimi umysłami była dość powszechnym darem wśród krwiopijców. Jeśli powiedzieliby parkingowemu, że ich nie widzi, nie zauważyłby, kiedy wjeżdżali.

– A coś więcej o tym minivanie? – naciskał Charles.

– Trzech facetów i babka. Wyglądali jak agenci FBI, wie pan, drogie ciuchy, ale nijakie, tradycyjne. – Popatrzył na Charlesa. – A pan co, glina czy coś? Nie powinien pan pokazać jakiejś legitymacji?

– Raczej czy coś – mruknął Charles, a parkingowy pobladł i uciekł spojrzeniem w dół. Charles łagodnie podziękował chłopakowi za informacje i odszedł.

Mógł wydostać od niego nagrania z monitoringu, żeby zobaczyć twarze, ale nie było potrzeby bardziej straszyć młodzieńca – miał ich zapach, a świat nie był niezmierny dla nieśmiertelnego. Wiedział, że prędzej czy później ich znajdzie, a wtedy wypomni im tę noc.

Wróciwszy na miejsce bójki, przystanął, zebrał nowe obuwie Anny do siatki i zabrał ze sobą. Niestety, polowanie nie zakończyło się walką i krwią, więc brat wilk nie był zadowolony.

Jednak gdy Charles docierał już do hotelu, udało mu się odzyskać pozory panowania nad sobą. To musiało wystarczyć.



Angus siedział na podłodze w hotelowym korytarzu, czytając gazetę. Nie wyglądał jak strażnik, ale niewiele wilków na tym świecie Charles uznałby za bardziej godnych strzeżenia drzwi do pokoju, gdzie znajdowała się jego towarzyszka. Niewielu zdołałoby przejść obok starego wilka, który rządził Seattle.

– Co tam, panie, w polityce? – zagaił uprzejmie.

– Nic ciekawego. – Angus złożył równiutko gazetę i wstał, nie podnosząc wzroku na Charlesa.

Alfa watahy Szmaragdowego Miasta był bystry. Charles mógł mieć niewzruszoną minę, lecz każdy szanujący się wilk już z odległości dobrych paru metrów zdołałby wyczuć frustrację nieudanym polowaniem.

– Twoja towarzyszka nie chciała mnie wpuścić do pokoju przed twoim przyjściem – wyjaśnił. – Tom jest na wpół żywy, a Moira...

– ...ma tyle mocy, że nawet świece by nie zapaliła – dokończyła Anna, otwierając drzwi. – I przepraszam, ale nie odróżniam Angusa od Adama. Wiem, że rano zostaliśmy sobie przedstawieni, ale poznałam w tym czasie tylu ludzi... Poza tym podejrzewam, że atak na nas zlecił ktoś z naszych. Wydawało mi się, że to głupio otworzyć komuś, kto twierdzi, że jest Angusem.

Charles przyjrzał się uważnie – na miejscu napadu wyczuł jedynie wampiry. Czyżby brał w tym udział również wilkołak? Znów musiał powściągnąć swoją bestię.

Potrzebował wyjaśnień. Musiał się przy tym pilnować, żeby Anna nie wyczuła, jak trudno mu udawać spokojnego i opanowanego. Dobrze, że nadal uczyła się polegać na węchu.

– Nie groziło jej bezpośrednio żadne niebezpieczeństwo, uznałem więc, że lepiej poczekam, aż przyjdiesz – dokończył Angus, najwyraźniej pochwalając decyzję Anny.

– Anno. – Charles stłumił chęć dokładniejszego obejrzenia jej pod kątem obrażeń. – To Angus, Alfa watahy Szmaragdowego Miasta. Człowiek, który za żadne skarby świata nie naraziłby Toma na walkę z bandą wampirów.

Angus spojrział na niego uważnie, podczas gdy Anna przyglądała mu się tak badawczo, że Charles musiał poskromić budzącą się w nim zaborczość. Anna tylko taksowała Angusa. Alfa watahy Szmaragdowego Miasta był od niej kilka centymetrów wyższy, ale nie ważył dużo więcej. Raczej szczupły, żyłasty, miał piaskowe włosy, ciemne oczy, regularne rysy i wyglądał dość przeciętnie, co bezwzględnie wykorzystywał. Ci, którzy go nie znali, mieli tendencję do lekceważenia go i pewnie dlatego Anna zdobyła uznanie Angusa swoją ostrożnością. Do tego wzięła na siebie ciężar obrony jednego z jego wilków.

Tyle że Anna знаła Brana, który jeszcze lepiej niż Angus potrafił wykorzystać swoją niepozorność, jaka skłaniała nieostrożnych do lekceważenia go.

– Wybacz, jeśli cię uraziłam. – Przeprosiny Anny były szczere.

– Och, daj spokój. – Angus machnął ręką. – Czy ja wyglądam na urażonego? Wejźmy do środka, opowiesz nam, co się wydarzyło, i wtedy postanowimy, co z tym zrobić. Wampiry? Hm...

Anna cofnęła się, przepuszczając ich w drzwiach. W pokoju wisiała ciężka woń jej zdenerwowania i strachu. Nozdrza Anny zafalowały, jakby ten zapach dotarł również do niej.

– Przepraszam – powiedziała. Miała zakrwawioną koszulkę, a w powietrzu unosiła się żelazista nuta woni otwartych ran.

Nie jej, podpowiedział Charlesowi podminowany brat wilk. Ale mogły być jej. Nie wiedział, kto pomyślał to ostatecznie, on czy bestia – może obaj. Nie uspokoiło go to – panowanie nad sobą kosztowało go wiele wysiłku.

Musiał trzymać się na dystans, dopóki nie zdoła wziąć się w garść i odzyskać równowagi. Przepuścił Angusa, pozwalając mu przejść pomiędzy sobą i Anną, a ponieważ nie wywołało to ataku szału brata wilka, odetchnął z ulgą i wreszcie pozwolił sobie na baczniejsze przyjrzenie się Annie.

Piegi zdawały się ciemniejsze przez nienaturalną błądź twarzy, lecz zapach strachu nie był świeży. Angus jej nie przeraził, po prostu wykazała się rozsądną ostrożnością. Brat wilk się uspokoił. Ale tylko odrobinę.

– Proszę. – Charles wręczył Annie siatkę z butami.

Przez moment spoglądała na nią tępo, ale zaraz rozpromieniła się w uśmiechu.

– Dziękuję! Jesteś fantastyczny, Charles. Absolutnie fantastyczny.

Otworzyła szafę i wrzuciła siatkę na stertę toreb, których jeszcze rano tam nie było. Charles dostrzegł też, że obok

hotelowych szlafroków na drążku wiszą dwie sukienki w pokrowcach. Musiała przynieść część sprawunków wcześniej, zanim doszło do napadu. Wampiry mogły obserwować hotel i śledzić ich.

Niski warkot przywrócił jego uwagę do bieżącego zadania. Mała wiedźma leżała zwinięta w kłębek na wielkiej poduszce u wezłowania. Jeśli Anna była blada, twarz Moiry zdawała się wręcz biała pod krótką czupryną kruczoczarnych włosów. Wiedźma wyglądała na zabiedzoną, jakby od rana schudła pięć kilogramów.

Po wgłębieniu w pościeli dało się poznać, że brązowy wilk jeszcze niedawno leżał przy niej, ale ich wejście poderwało go na równe łapy. Jedna z nich, przednia, była wyraźnie wykrzywiona i musiała boleć, ale to go nie powstrzymało.

Charles położył Annie ręce na barkach, zanim weszła pomiędzy Toma i Angusa, i przyciągnął do siebie.

– Nie – powstrzymał ją. – Wszystko w porządku. Angus sobie poradzi.

Znał Alfę, w których możliwości nie wierzył aż tak, lecz Angus był Alfą od bardzo dawna i wiedział, co widzi – wilka usiłującego chronić towarzyszkę przed nieznanym niebezpieczeństwem, nie próbę buntu czy wyzwanie.

– Tom. – W głosie Angusa brzmiały wyraźne nuty rozkazu. – Tom, nie zrobię jej krzywdy. Nie skrzywdzę jej. – Angus nie był może potężny, potrafił jednak nasycić głos mocą zdolną obudzić umarłego.

Wilk cofnął wargi, odsłaniając imponujące kły, a z jego gardzieli dobył się niski warkot.

– Leż – powiedział Angus z naciskiem.

Wilk natychmiast przywarł brzuchem do materaca, sapiąc chrapliwie, jakby niechęć dopuszczenia obcych do towarzyszki, podczas gdy on jest ranny, ścierała się w nim z wezwaniem Alfę do posłuszeństwa.

– Tom? – Wiedźma zdawała się zagubiona, najwyraźniej nie wiedziała, co się dzieje. Ślepotą to przekleństwo, które czyni bezradnym w świecie potworów.

– Wszystko w porządku – uspokoiła ją Anna. – Próbuje cię tylko bronić. Wie, że teraz nie możesz tego zrobić sama, a nie zdążył jeszcze dojść do siebie po trudnej przemianie. Przez ból nie myśli jasno. Na chwilę zostawimy go wszyscy w spokoju, żeby ochłonął.

Sprytnie, Charles uśmiechnął się w duchu. Przemyciła dla Angusa informację w słowach kierowanych do Moiry, żeby nie odebrał tego, jakby pouczała go, co robić. Tyle że zaraz to zepsuła, każąc wszystkim, łącznie z Charlesem, zostawić Toma w spokoju. Błysk zębów Angusa potwierdził jego wnioski. Alfa również to wyłapał, na szczęście uznał, że poprzestanie na rozbawieniu.

– Możemy poczekać – zgodził się, sadowiąc na podłokietniku fotela przy oknie. – Alan dzwonił, kiedy czekałem pod drzwiami, uprzedzając, że dotrze za pięć minut. Skoro więc czekamy na niego... i na Toma, może ktoś oświeci mnie, co uszkodziło mi wilka?

– Wampiry – odrzekła Anna. – Było ich sześć i... polowały jak wataha. – Zerknęła na Charlesa.

– Tak jakby już wcześniej robiły to razem? – doprecyzował Charles, a kiedy Anna przytaknęła swobodnym skinieniem, ucieszył się, że przekonująco udaje spokój.

– Właśnie. Nie przeszkadzały sobie nawzajem, nawet gdy w piątkę rzuciły się na Toma, po tym jak przewróciły Moirę. Zaczaiły się w zejściu do sutereny, ukryte zaklęciem cienia. Pachniało jak wilkołacza magia, no chyba że wampiry również mają do niej dostęp. Byłoby po nas, gdyby Moira nie przywołała słonecznego blasku.

Pięciu na jednego... Ktoś dobrze wiedział, że niełatwo będzie pokonać tak starego, przebiegłego wilka jak Tom, który potrafił



umiejętnie wykorzystać słabości przeciwników. I na dodatek to zakłęcie cienia... Anna miała rację, to wyglądało jak atak watahy, tyle że zamiast wilków mieli do czynienia z wampirami.

– Istnieją zakłęcia wampiryczne, dzięki którym mogą podszyć się pod jedno z naszych – rzekł Angus. – Tom jest na tyle stary, że potrafiłby wyczuć różnicę. Zapytamy go, kiedy znów będzie trzeźwo myślał. To stąd pomysł, że zostały nasłane przez wilkołaka?

Anna przytaknęła, ale wtrąciła się Moira.

– Wampiry nie napadają na wilkołaki ot tak sobie, w każdym razie nie w tym mieście. A te próbowały porwać Annę. Po co miałyby przetrzymywać towarzyszkę Charlesa?

Angus uśmiechnął się zimno. Tu, w Seattle, wilkołaki od dawna miały przewagę nad wampirami.

– Gdyby jakimś cudem Anna znalazła się w siedzibie chmary, tutejsze wampiry odstawiłyby ją do mnie ze zbrojną eskortą, a wcześniej wypolerowały Annie pazurki i pilnowały, żeby jej włos z głowy nie spadł. Oczywiście skontaktuję się z ich Panem, ale podejrzewam, że to obcy element. W sumie powinien o nich wiedzieć, a jeśli ma jakieś informacje, może poda mi imiona.

– Jedna z nich to kobieta, nosi buty rozmiaru trzydzieści sześć – stwierdził Charles. – Z tym że ona prawdopodobnie nie stanowi już problemu.

Niepokoił go udział Moiry w tej historii. To prawda, ocaliła Annę, ale...

– Wiedzmo. – Spojrzał na nią spod zmarszczonych brwi. – Nigdy nie słyszałem, żeby biała czarownica potrafiła przywołać blask słońca. To w sumie w ogóle nie jest magia czarownic. Przecież wy jesteście specjalistkami od umysłów i ciała, a nie żywiołów.

– Nie przyzwałam promieni słońca – odwarknęła Moira, raczej w reakcji na ton Charlesa niż słowa. – Po prostu

nakłoniłam ciała wampirów do uwierzenia, że to blask słońca. Nawet te martwe ciała. – Pstryknęła palcami. – Psss i obróciły się w proch albo uciekły.

– To wymaga silnej magii. Wampiry są dość odporne na manipulację. A tobie wystarczyło jeszcze mocy, żeby ukryć ślady krwi przez prawie kilometr.

– To biała czarownica. – Angus stanął w jej obronie.

– Tak, tak, jestem mutantem – wyszczerzyła się Moira krewko. – Biedna ślepa biała czarowniczką...

– Ofiara – rzekł Charles wolno. – To z niej czerpią moc czarownice. Głównie z upuszczania krwi ludziom i okaleczania ich, ale plotki głoszą, że wiedźmy po to mają chowańce, żeby móc złożyć je w najwyższej ofierze. Źródłem mocy jest w tym wypadku nie tylko śmierć zwierzęcia, ale i to, że było bliskie wiedźmie.

– Podejrzewasz, że dręczę kocięta, żeby doładować się mocą?  
– syknęła Moira wściekle i pomimo dręczącego przeczucia, że coś tu nie gra, brat wilk uznał jej szczerłość.

Nie mógł tak tego zostawić, skoro na szali leżało bezpieczeństwo Anny, lecz aprobata brata wilka skłoniła Charlesa do chwilowego odstąpienia. Może istniało inne wyjaśnienie?

– Zawsze słyszałem, że samopoświęcenie, kiedy czarownica używa własnej krwi do zasilenia zaklęcia, zapewnia moc, jednak trudno się nią posługiwać.

Moira zdjęła okulary na dowód, że jego przypuszczenia są trafne. Jedno oko miała wypalone magią. Widział już podobne blizny, a nie było to coś, o czym dało się szybko zapomnieć. Jej oko było białe i pomarszczone, jakby coś wysssało z niego wilgoć. Okaleczenie musiało powstać dawno temu, bo cały związany z nim zapach zdążył ulecieć, a musiała wtedy przez jakiś czas dosłownie cuchnąć magią. Drugie oko straciła

w mniej nadprzyrodzonych okolicznościach, choć nie mniej bolesnych – i pewnie równie dawno.

Interesujące okazały się reakcje Angusa i Anny. Ten pierwszy zeszywniał, jakby o tym nie wiedział. Na Annie zaś widok twarzy wiedźmy nie zrobił wrażenia, za to wyraźnie nie podobało się jej, że Charles w ten sposób przesłuchuje Moirę.

Uznawszy, że dość się napatrzył, Moira założyła z powrotem okulary. Tom wpatrywał się w Charlesa inteligentnymi, żółtymi ślepiami, które obiecywały odwet, a Anna nie wyglądała ani odrobinę łagodniej.

– Nie wiem nic o Moirze – zwrócił się Charles do wilka, bo to on mógł najlepiej zrozumieć jego pobudki. – Wiem za to, że nie słyszałem nigdy o białej czarownicy, która potrafiłaby zrobić to, co Moira. A jeśli czarna wiedźma udawałaby białą... mogłoby to świadczyć, że po pierwsze, jest naszym wrogiem. A po drugie – uśmiechnął się lekko do wilka – cóż, nigdy nie spotkałem wiedźmy, która zdołałaby ukryć przede mną swoją prawdziwą naturę.

– Kilka tygodni temu omal nie zabiła nas czarna wiedźma – wyjaśniła Anna, choć było widać, że nadal jest zła na towarzysza. – Przez to jesteśmy przewrażliwieni.

Moira pogładziła Toma po boku aż po ogon, którym zaczęła się bawić pieszcotliwie.

– Spokojnie, Tom. To dobrzy ludzie... Nawet jeśli on jest nieuprzejmy. – Zwróciła się do Charlesa. – W porządku, rozumiem. Ja też nie słyszałam o białej czarownicy, która potrafiłaby to, co ja. W zasadzie sama nie jestem do końca pewna, jak to się stało. Rozumiem twoją nieufność.

– Przepraszam, że tak naciskałem – powiedział Charles ze szczerym żalem.

– Och, z pewnością znajdę sposób, żeby ci się odplacić. – Wyszczерzyła białe zęby w uśmiechu. – Doceniam, że

przynajmniej nie skrzywiłeś się z obrzydzenia i nie uciekłeś z krzykiem.

Gorący gniew, który zakotwiczył w sercu Charlesa, wrzał nadal. Pozwolił, by wsączył się w jego głos.

– Mam nadzieję, że tego, kto to zrobił, zamieniłaś w świnie.

Moira zamarła, zaskoczona jego słowami.

– Tchórze nie zasługują na nic lepszego – poparł go Angus.

Czarownica najwyraźniej nie spodziewała się poparcia również i tej strony. Czy aż tak wielu reagowało odrazą na jej blizny?

Jeśli jednak miała coś do powiedzenia, przyszło jej z tym poczekać, ponieważ w tej chwili ktoś zapukał cicho do drzwi.

– To ja, Alan – powiedział ich gość. – Czy ktoś może mi otworzyć?

W chwili gdy uległy wilk z watahy Szmaragdowego Miasta wszedł do pokoju, Charles poczuł się pewniej. Alan Choo był Chińczykiem czystej krwi i tak też wyglądał – delikatnie, a jednocześnie drzemała w nim siła, przypominał w tym klingę najwyższej jakości.

Z wyjątkiem chwil spędzanych przy Annie brat wilk był nieustannie pobudzony – krążył nerwowo i warczał na pułapki cywilizacji, z którymi musieli się zmagać. To właśnie oznaczało bycie dominantem, tę ciągłą gotowość do zabicia wszystkiego, co grozi tym znajdującym się pod ochroną. Zabijanie na zawołanie.

Dzisiaj było jeszcze gorzej niż zwykle. Brat wilk szalał tak, że jedyne, co mógł zrobić Charles, to dopilnować, aby nikt nie domyślił się, z jakim trudem nad sobą panuje. Przy tym wszystkim obecność dwóch innych dominantów, w dodatku z obcej watahy, w jednym pomieszczeniu z nim i jego towarzyszką, uznawał za drobną niedogodność.

Tak było, dopóki do pokoju nie wszedł Alan Choo. Choć nie był Omegą, jak Anna, jako uległy osobnik potrafił obchodzić się

ze wzburzonymi wilkołakami. W pewnym sensie jego przyście przechyliło równowagę. Ich dwoje – on i Anna – zdołało wyciszyć resztę, nawet jego, Charlesa.

Charles usiadł przy małym stoliku naprzeciwko Angusa. Zrobił to bardziej po to, żeby dać więcej miejsca uzdrowicielowi, niż dlatego, że miał ochotę spocząć, ale już to, że w ogóle zdołał usiąść w obecności innych wilków, stanowiło dużą poprawę.

Anna obrzuciła wszystkich uważnym spojrzeniem, z czego Charles wywnioskował, że zauważyła zmianę nastrojów w pomieszczeniu. Podchwyciła wzrok ukochanego i z uśmiechem przysiadła na podłokietniku jego fotela.

– Został ranny przeze mnie – wyznała Choo.

Charles potrząsnął głową i przedstawił swoją wersję:

– Nie możesz obwiniać się o to, że ktoś chciał cię porwać. Tom zrobił to, co do niego należało, nie żałuj go.

– Hej, Tom, chłopie, cóżeś ty ze sobą zrobił? – Ton Alana mógł być swobodny, ale z najwyższą ostrożnością badał rannego wilka.

Tom pozwolił mu wyprostować swoją łapę i nawet nie pisnął przy tym z bólu – mała czarownica dobrze się spisała.

– Szlag by to – mamrotała pod nosem, podczas gdy Alan robił swoje. – Gdybym miała odrobinę więcej mocy, mogłoby całkiem nie boleć. Wybacz, kochany, wybacz.

– Przestań, Moiro – przerwał jej Angus. Angus, który nie miał wiele szacunku dla niebędących wilkami. – To niewielki ból. Zaraz przejdzie, nie warto się tak certolić. Byłoby znacznie gorzej, gdyby cię z nimi nie było. Sześć wampirów to aż nadto na dwa wilkołaki i każdą inną wiedźmę. Gdybyś nie użyła swojej magii, nikt nie przejmowałby się teraz takim drobiazgiem jak złamana kończyna. Wystarczy tego biadolenia.

Ostra nuta w jego głosie sprawiła, że czarownica zamilkła, a Tom łypnął na niego niezadowolony. Alfa tylko uniósł brew

i ranny wilkołak natychmiast opuścił łeb.

– Boże, chroń mnie od zakochanych – westchnął Angus, wywracając oczyma, i przeniósł spojrzenie na Annę i Charlesa.

Nie mizdrzyli się do siebie. Anna nie była z tych, co się mizdrzą. Jednak Charles odnosił wrażenie, że gdyby życie nie obeszło się z nią tak brutalnie, potrafiłaby się delectować bliskością, i miał nadzieję, że może za parę lat znów będzie mógł cieszyć się nią z pełną swobodą. Na razie zachwycał się, że nie wzdygała się za każdym razem, kiedy jej dotykał.

Mimo to siedzieli na tyle blisko siebie, że stary Alfa się uśmiechnął.

– Wszystkich zakochanych gołąbeczków – dodał. – Zakochanie to tylko problemy dla mnie, a nie jestem wybitnie cierpliwy. Ty. – Wskazał palcem Annę, a Charles w ułamku sekundy zerwał się i stanął przed nią, zasłaniając przed Angusem, który choć opuścił rękę, dokończył: – Opowiedz mi, co się wydarzyło. Dokładnie i ze szczegółami.

– Indianie nie lubią, gdy wskazuje się na nich palcem – zauważył łagodnie Choo, bandażując żebra Toma, żeby lepiej się zrosły. – Indiańskie wiedźmy, zmiennoskórzy i tym podobni tutejsi magiczni w ten sposób rzucają klątwy i sprowadzają choroby.

Angus zamachał rękoma.

– Och, na litość boską. Nie jestem żadną wiedźmą. Nie rzucam klątw. Po prostu chcę się wreszcie dowiedzieć, co się dzisiaj wydarzyło.

Mówił, jakby był sfrustrowany i zniecierpliwiony, ale wszystkie wilki w pokoju znały prawdę: bał się Charlesa. Zaczął się go bać dopiero teraz, kiedy spojrzał w oczy brata wilka i pojął, jak blisko jest śmierć. Angus był Alfą, bardzo starym i potężnym, lecz nikt nie miał wątpliwości, kto tu dominuje.

Charles wiedział, że Angus nie stanowi zagrożenia, mimo to ponowne zajęcie miejsca w fotelu przyszło mu z większym

trudem niż poprzednio. A gdyby błyskawiczny odwrót Angusa nie usatysfakcjonował brata wilka, połałaby się krew.

Charles opuścił się na siedzisko i położył rękę na kolanie Anny. Kontakt fizyczny z nią go wyciszał.

– Cóż – skwitowała lekko. – To było interesujące. – Położyła Charlesowi dłoń na ramieniu, jakby potrzebowała podparcia, żeby nie zsunąć się z podłokietnika. Tylko oni wiedzieli, że ten dotyk ma pomóc jemu, słowa zaś miały odwrócić uwagę pozostałych. – Wracając do tego, co się wydarzyło... – Zaczerpnęła powietrza. – Tom i Moira zabrali mnie na Pike Street, skąd obładowani do granic możliwości wróciliśmy do hotelu, żeby zostawić zakupy. Miałam już wszystko poza butami, więc Moira postanowiła pokazać mi swój ulubiony sklep z obuwem, który jest jakieś trzy kilometry stąd. Wracaliśmy stamtąd, kiedy na nas napadły. Bez ostrzeżenia, żadnego odgłosu czy zapachu, po prostu opadły na nas. – Zimna dłoń przykryła rękę Charlesa.

Jednak Anna nie była taka spokojna, jak mogłoby się wydawać po głosie. Odwrócił rękę i splótł ich palce, żeby ją ogrzać.

– Cztery zaatakowały Toma, jeden uderzył Moirę, a mnie złapała kobieta. Zabiłam ją... – Pod napięciem w jej głosie dał się słyszeć pomruk zadowolenia. Charles zacieśnił uścisk. Jego towarzyszka była twardą wilczycą. – W tym czasie Tom zabił jednego ze swoich napastników, a ten, który przewrócił Moirę, uznał, że jego ofiara nie stanowi zagrożenia, więc zostawił ją, żeby pomóc innym z Tomem. Kiedy chciałam rzucić się w wir walki, mój mózg zaczął działać i dotarło do mnie, że Moira usiłuje się dowiedzieć, czym są nasi napastnicy. – Anna uśmiechnęła się szeroko do wiedźmy. – Pamiętam, jak pomyślałam: „Biedactwo, nawet nie wie, co nas napadło. Pewnie przez to boi się jeszcze bardziej”. Więc jej powiedziałam. A w następnej chwili oślepiło nas słońce.

Martwe wampiry się spopielili, a reszta uciekła. Zadzwoniliśmy po Alana, potem ja niosłam Toma i prowadziłam Moirę do hotelu, a ona po drodze czyściła ślad krwi i osłaniała nas przed oczami ludzi.

Czarownica, pieśczośliwie gładząca Toma, zrobiła niewinną minkę.

– Biedactwo, no jasne – parsknęła Anna. – Biedna, ślepa czarowniczka. Ta kobieta to cała banda-demolka. Nawet się nie zorientowali, co ich dopadło.

– I uważasz, że stoi za tym wilkołak – rzekł Charles.

Anna popatrzyła na niego. Najwyraźniej teraz, kiedy opowiedziała to na chłodno, opadły ją wątpliwości.

– Instykt przeważnie się nie myli – zauważył.

Odprężyła się.

– Tak. Myślę, że to wilkołak. – Zamknęła oczy, analizując wszystko. – Bardzo przypominało to atak watahy. Ukryć się na widoku, mieć ze sobą grupę, która łatwo wykona zadanie. Nie wiedzieli o Moirze albo może jej nie docenili. – Otworzyła oczy i posłała ukochanemu skromny uśmiech. – Mnie chyba też. Skupili się na najsilniejszym osobniku. To wilcza taktyka. I chcieli mnie porwać. Czego mogłyby chcieć ode mnie wampiry?

– Wilki – powtórzył Charles, próbując coś wyczuć, ale duchy milczały, jak zazwyczaj w mieście. Albo gdy naprawdę mogły się przydać. – Co o tym sądzisz, Angusie? Może to Chastel? Mieliśmy wczoraj poważne spięcie, był na tyle wściekły, żeby kogoś zabić.

Angus powoli i celowo rozparł się w fotelu, chcąc pokazać, jak swobodnie czuje się w obecności Charlesa.

– Francuz to bestia. Potężna bestia, ale jest też uzależniony od zabijania. Nie posłużyłby się innymi. Nie życzyłby sobie, żeby ktoś inny upuszczał krew, na której sam mógłby się pożywić.

– Więc kto?



Angus skrzywił się z irytacją.

– Większości z nich nie znam zbyt dobrze. Moglibyśmy ich przesłuchać... o ile jesteśmy gotowi wszcząć wojnę. Europejczycy mają hyzja na punkcie swego honoru. Gdyby chcieli po prostu Omegę, zadzwoniłbym do Włochów i ostrzegł, żeby pilnowali swojego.

Charles uniósł brwi, zaskoczony.

– Wiedziałem, że mają Omegę, ale nie, że zabrali go ze sobą tutaj. – Spojrzał na Annę. – Gdyby mógł ci pomóc, natychmiast bym ci o nim powiedział, ale jest wilkiem dopiero od roku, więc nawet o wilkołakach wie mniej niż ty, a co dopiero o Omegach. Asil, który żył tyle lat ze swoją towarzyszką Omegą, jest znacznie lepszym nauczycielem. Tylko nie mów mu, że to powiedziałem.

Angus również zwrócił się do Anny.

– To właściwie młody Niemiec, który pojechał we włoskie Alpy na narty i uległ nieszczęśliwemu wypadkowi. Ratownik, wilkołak, poczuł się w obowiązku uratować go za wszelką cenę.

– I zmienił go w wilkołaka – dokończyła Anna.

Charles przytaknął.

– Niemcy się zagotowali, kiedy Włosi ogłosili, że należy do nich.

– To była regularna walka o opiekę – potwierdził Angus. – Pewnie dlatego Włosi przywieźli go ze sobą, żeby podrażnić Niemców, bo chłopak wybrał ich.

Charles z zainteresowaniem obserwował Annę. Tak, pomyślał, nie jesteś sama. Sam powinien o tym pamiętać. Obiecał sobie, że dopilnuje, by mogła spotkać się z młodym niemieckim Omegą.

– Może właśnie o to chodzi? – zastanawiała się Moira. – Cała wataha mówiła tylko o tym. Wybacz, Anno, ale większość bardziej ciekawił twój przyjazd niż przyjazd wilków ze Starego Świata. Może to ktoś, kto chce Omegę?

– Raz już zetknęłam się z kimś takim – oświadczyła Anna chłodno. – Pamiętajcie, żeby ostrzec Włochów.

– Oczywiście – potwierdził Angus, zerkając na Charlesa, lekko rozbawiony, że towarzyszka wydaje mu kolejne polecenie.

– Nie zapominajcie, że idziecie na kolację – wtrąciła Moira. – Musicie się przygotować.

Charles spojrzął na wiedźmę zaskoczony – i nie tylko on.

– Przecież nie wiemy, o co im chodzi – wyjaśniła z uśmiechem. – Prawdopodobnie zamierzali porwać Annę, owszem, ale istnieje niewielka możliwość, że usiłowali powstrzymać was przed nawiązaniem bliższych kontaktów z Arturem.

– Poza tym – dodał Angus – po co dawać im moc wpływania na wasze plany, skoro nie została wyrządzona żadna ostateczna krzywda.

Charles zdał sobie sprawę, że Angus ma rację. Ten tok rozumowania przemawiał do niego. W normalnej sytuacji nie miewał ochoty na spotkania towarzyskie, a w takiej jak ta myślał tylko o tym, żeby zamknąć gdzieś Annę i pilnować, by nic jej się nie stało.

– Pójdę do recepcji załatwić drugi pokój. Tom i Moira mogą zostać tutaj, dopóki twój wilk się nie uleczy. I zamówię posiłek do pokoju.

– Zostanę z nimi – zaznaczył Angus. – Dopóki Tom nie będzie w stanie właściwie o siebie zadbać.

Charles spojrzął na Alfę i zdał sobie sprawę, że nie on jedyny tutaj ma potrzebę zaopiekowania się swoimi.

– Dobrze – rzucił i wyszedł, żeby wszystko załatwić.



Po jego wyjściu wszyscy odetchnęli z ulgą, ale milczeli, dopóki nie usłyszeli dźwięku zamykających się drzwi windy.

Anna zdawała sobie sprawę, jak Charles działa na ludzi, jednak w ciągu ostatnich kilku godzin nie zauważyła żadnych oznak kłopotów – poza tym incydentem z palcem.

– Cóż – odezwał się Angus, a Tom zaskomlął. – Nie bez powodu Bran wykorzystuje go do zastraszania wariatów o kryminalnych zapędach. Chyba wszyscy widzieliśmy dlaczego.

– Co widzieliście? – dopytywała czarownica.

– To fakt – potwierdził Alan Choo, pakując torbę lekarską. – Angus podniósł palec, a ja nawet nie widziałem, jak Charles się poruszył. W jednej chwili siedział na fotelu, a w następnej stał pomiędzy nim a Anną. – Potem powiedział kilka zdań po chińsku.

Anna odkryła, że nie podoba jej się ten ich lęk przed Charlesem. Bolało go to, choć to akceptował. Nawet jeśli zwiększało to bezpieczeństwo, w ostatecznym rozrachunku nie było dla niego dobre.

– Widzieliście miny niektórych wilków, kiedy dzisiaj przemawiał? – Angus potrząsnął głową. – Pewnie nie spodziewali się, że w ogóle potrafi mówić, a co dopiero z takim sensem. Zupełnie jakby rekin przemówił do nich czystą oksfordzką angielszczyzną.

Tom podniósł łeb i popatrzył na swojego Alfę, a Choo aż przestał mamrotać po chińsku i również wbił zdumione spojrzenie w Angusa.

– Z Charlesem jest wszystko w porządku – powiedziała Anna ostrzej, niż zamierzała.

– W oczach Boga na pewno – zgodził się Angus. – Dzisiaj tak sobie pomyślałem: no proszę, prowadzi spotkanie tak sprawnie jak inni. Może pogłoski na inny temat też są przesadzone? Ale

nie. Nie są, ani na jotę. W życiu nie chciałbym mieć do czynienia z kłami i pazurami tego faceta.

– Możesz nie mieć na to szansy, jeśli się nie zamkniesz – fuknęła Anna.

I Angus odchylił się na oparcie z uśmiechem satysfakcji.

– Hm, no może i nie – powiedział zupełnie innym tonem.

Nie załapała. Spojrzała na Toma i Alana. Wzięła zaskoczenie Toma za poparcie dla słów Alfy. A on ją podpuszczał.

– Po to to było? – zapytała.

– Znam Charlesa od bardzo dawna. – Angus wzruszył ramionami. – Obserwowałem, jak z cichego chłopca zmienia się w broń, której potrzebował jego ojciec, której my wszyscy potrzebowaliśmy. Ale to, że rozumiem tę potrzebę, nie oznacza, że mi go nie żal. Chciałem sprawdzić, czy potrafisz przejrzeć tę fasadę zimnego zabójcy i zobaczyć jego prawdziwe oblicze.

– A więc celowo go rozdrażniłeś?

Angus uśmiechnął się szerzej.

– Tym palcem? W momencie, kiedy i tak płonął żądzą świeżej krwi, bo cię napadnięto, a jego polowanie się nie udało? Czy ja wyglądam na idiotę? Nie, to akurat był wypadek.

Anna wbiła wzrok w podłokietnik i potarła palcem jakąś niewidoczną plamę. Teraz gdy przyszło jej do głowy, że może jednak warto użyć nosa, czuła szczerą Angusa. Dobro Charlesa leżało mu na sercu, martwił się, czy ona go nie skrzywdzi.

– Wiedziałam, że ludzie się go boją – wyznała. – Myślisz, że coś jest z nim nie tak?

Angus przekrzywił głowę, ale to Alan odpowiedział.

– Jest w nim coś dziwnego. Nie w sensie szaleństwa, raczej inności. Jest tylko bezdusznym zabójcą na usługach ojca, lojalnym wobec Marroka i nikogo innego. Każde słowo, które wychodzi z jego ust, włożył tam Marrok. Jest jak lalka brzuchomówcy, tylko straszniejszy.

Anna pomyślała o kłótni, którą Charles stoczył z ojcem i którą wygrał. Już otwierała usta, żeby coś powiedzieć, ale ugryzła się w język. Skoro tak postrzegali to ludzie, widocznie Charles tego właśnie chciał.

– Charles celowo się tak zachowuje – powiedział Angus, przyglądając się jej uważnie. Miała nadzieję, że z niczym się nie zdradziła, ale słowa starego Alfego były tak bliskie tego, co pomyślała, że chyba jednak się jej nie udało. Angus ze zniecierpliwieniem zabębnił palcami w podłokietnik. – Wystarczająco zastraszone wilki mu nie podskoczą, a on nie będzie musiał ich zabić. I dobrze robią, bez względu na to, co nimi kieruje. Ale jest z nim coś nie tak, nie zauważyłaś? Jego wilk znajduje się całkiem poza kontrolą. Powinien go już zmienić w bezmyślnego zabójcę, ale tak się nie stało.

Brat wilk, pomyślała Anna.

– Co to może być? – zastanawiał się Alan Choo.

Angus uniósł brew, patrząc na Annę, jakby to od niej spodziewał się odpowiedzi.

Za dzisiejszym napadem stał wilkołak. Nie wierzyła jednak, że to Angus jest wrogiem. Jeśli wierzyć nosowi, może nawet jest przyjacielem. Mimo to nie zamierzała dzielić się swoimi przemyśleniami, nawet jeśli je miała, z Alfą watahy Szmaragdowego Miasta.

Popatrzyła na niego znacząco, poprawiła się na swojej grzędzie i postanowiła spokojnie czekać na powrót Charlesa.



GNIIEW.

Był taki wściekły.

Charles czuł się dobrze przez całą drogę aż do recepcji. Skupił się na zadaniu, które miał wykonać, zapłacił za drugi pokój

i wszystko było w porządku, póki nie wsiadł z powrotem do windy i nie zaczął analizować ataku na Annę. Liczył, że uda mu się wyciągnąć jakieś wnioski z jej opowieści, znaleźć jakiś szczegół, wskazówkę, kto i dlaczego to zrobił.

Opanowanie, które zawsze było na wyciągnięcie ręki, zdawało się topnieć. Obserwował, jak na ekranie zmieniają się cyfry. Wydawało się, że winda jak na złość przyspieszyła teraz, kiedy miał tyle do przemyślenia.

Drugie.

Tom omal nie zginął. Gdyby Charles wysłał z Anną innego Angusowego wilka, prawdopodobnie by ją stracił.

Trzecie.

Sześć wampirów.

Czwarte.

Gdyby czarownica Toma była tym, na kogo wyglądała, Anna zostałaby porwana.

Piąte.

Jeśli przyspawa Annę do siebie, straci ją tak czy inaczej. Anna nie była uległą wilczycą, to nie tak, że nie mogła się obejść bez jego ciągłej opieki. Potrzebowała, żeby stał z boku i pozwalał jej latać.

Szóste.

A jeśli ma to zrobić, musi odzyskać panowanie nad tym gniewem. Nad gniewem brata wilka. Nie tylko teraz, ale na zawsze. Ukrócić jego potrzebę chronienia jej, żeby mogła być przy nim szczęśliwa.

Siódme.

Dziś jednak nie spuści jej już z oka.

Drzwi windy rozsunęły się.



Artur Madden z przejęciem dopracowywał szczegóły, przesuwając nakrycia to bliżej krawędzi, to je oddalając.

– Co ty wyprawiasz, kochanie? – zapytała jego towarzyszka, rozbawiona. – Może i jest synem Marroka, ale ty jesteś Panem Wysp. Twoja pozycja jest wyższa, nie ma powodu, żebyś się tak denerwował.

Nie rozumiała. Przywykł do tego. Była człowiekiem i wielu rzeczy nie rozumiała. Ale nie miał jej tego za złe. Nie potrafiłby wyjaśnić jej tego, że Charles był niezwykle dominujący i mimo że miał pod sobą wszystkie wilki Wielkiej Brytanii z ich całą mocą, wystarczyło jedno spojrzenie Charlesa, żeby się wycofał. To oznaczało, że potrzebuje wszystkich swoich mechanizmów obronnych. Oznaczało, że kolacja musi być doskonała.

Ufał, że jego towarzyszka zrobi wszystko doskonale.

– Masz rację, naturalnie. Za bardzo się tym przejmuję.

Wśliznęła mu się pod ramię, tak samo szczupła jak dziewczyna, którą poślubił czterdzieści lat wcześniej. Kochał ją wciąż tak samo jak wtedy, ale jej starzenie się napawało go smutkiem. Kiedy teraz szli do restauracji, ludzie brali ich za współpracowników lub matkę i syna. Wtedy gdy była młoda i piękna, w ogóle o tym nie myślał. Ona również.

Pachniała różami.

– Wszystko będzie dobrze – zapewniała go. – Będę zabawiała rozmową jego towarzyszkę, a ty jego swoimi opowieściami.

Pocałował jej jasne, rozświetlone słońcem włosy, które farbowała dyskretnie, by zachowały odcień z czasów, kiedy się poznali.

– A jak to zrobisz?

– Pokażę jej moje robótki i poplotkujemy o dziewczynskich sprawach.

Odwrócił się i dostrzegł ich odbicie w wiszącym w przedpokoju tremo w złoconych ramach. On miał na sobie złotą jedwabną koszulę, która pogłębiała odcień jego rudych

włosów, kontrastujących z błękitem oczu. Czarne spodnie, które założył, mogły być równie dobrze tymi samymi, które miał na sobie w dniu ślubu.

Ciemnoniebieska bluzka Sunny miała długie, lejące się rękawy, uwydatniające siłę ramion i ukrywające skórę, która zdradzała jej wiek. Zarysy jej twarzy odrobinę już zmiękły, a wokół oczu rozchodziła się siateczka zmarszczek. Sunny kochała się śmiać.

Pewnego dnia umrze, ale jeszcze nie teraz. Miała przed sobą kilka dekad życia, a przez ten czas jej skóra zwiędnie, a mięśnie zwiotczeją. A on będzie tego świadkiem.

Podchwycił spojrzenie jej odbicia.

– Wyglądasz wspaniale, jak zawsze – skomplementowała go, przytulając ramię, którym ją obejmował pod szyją.

– Kocham cię – szepnął jej do ucha, burząc idealnie ułożone pasma włosów. Zamknął oczy i zaciągnął się najdroższym dla siebie zapachem.

Poczekala, aż uniesie powieki i będzie mogła spojrzeć mu w oczy w lustrze. Rozpromieniła się w uśmiechu, dzięki któremu nazywał ją pieszczotliwie Sunny.





## 7

**S** późniali się. Sunny zaprzestała prób uspokajania męża, usiadła na jednej z bliźniaczych sof, i zaczęła mu się przyglądać.

Był wspaniały.

Zjeżyłby się na to porównanie, jednak zawsze widziała w nim bardziej lwa niż wilka, kiedy był w ludzkiej formie. Zresztą nawet w zwierzęcej był płowo-złoty.

Wyglądał przez okno z rękami splecionymi za plecami, dając jej doskonały widok na swój tyłek. Nigdy mu tego nie powiedziała, bo nie doceniłby tego, ale uwielbiała jego pośladki.

Mimo upływu tylu lat wciąż nie mogła uwierzyć, że udało się jej go złowić. Był wcieleniem marzeń – bogaty, potężny, honorowy i dobrze urodzony. Nie mógł się teraz do tego przyznać, bo już dawno powinien nie żyć, ale był synem barona. Bystry i uroczy, nadal wręczał jej kwiaty bez okazji, powodowany jedynie pragnieniem, by je miała. Kochała podróże, on jednak nie mógł sobie na to pozwolić ze względu na to, kim był. Za to dawał jej swobodę pod tym względem.

Ach, uwielbiała jego tyłeczek.

Kiedy się odwrócił, ukryła uśmiech, usiłując przywołać na twarz powagę. Spojrzał na nią spod zmarszczonych brwi, więc niewinnie zatrzepotała rzęsami. Dawno już nauczyła się, że nie może dzielić się z nim pewnymi żartami, i przestała próbować.

W końcu odezwał się burkliwie.

– Idę na górę popracować. Kiedy przyjdą, powiedz im, że jestem zajęty – oświadczył i majestatycznie ruszył po schodach na piętro.

Sunny zerknęła na delikatny złoty zegarek na przegubie i pokręciła głową. Spóźniali się dopiero pięć minut. Cierpliwość nie była cnotą Artura. Wzięła do ręki książkę, którą odłożyła – kryminał dziejący się na Barbados, jej ulubionym miejscu wypraw – i spokojnie zaczęła czytać.

Pukanie do drzwi było ciche, lecz nie na tyle, żeby Artur go nie usłyszał. Kiedy jednak nie zszedł, Sunny wstała. Wiedziała, że irytacja szybko mu przejdzie. Znała swojego męża, nie potrafił długo obejść się bez widowni. A do tej pory to ona musiała powitać i zabawiać gości.

Nerwowo obciągnęła bluzkę. Słyszała opowieści o Charlesie Cornicku, cynglu Marroka, ale nigdy nie poznała go osobiście. Miała nadzieję, że jego towarzyszka jest miła.

Kiedy pukanie zabrzmiało po raz drugi, otworzyła... i uśmiech zamarł jej na ustach.

Mężczyzna stojący na progu był wielki. Nie tylko wysoki, ale też masywny. Śniada skóra i ciemne oczy wskazywały na Indianina. Twarz miał jak wykutą z kamienia, nie potrafiła go rozczytać, ale aura posepności okrywała go niczym czarny płaszcz.

Nic, czego nie spodziewałaby się po opisach Artura – i jego nerwowości – nic, poza tym, że Charles Cornick był... piękny. Może nie wedle kanonów zachodnich, nie z tymi szerokimi, płaskimi rysami twarzy i kolczykami w uszach – jak, u diabła, wilkołak zdołał przebić uszy?!

Mężczyzna mógłby nie docenić atrakcyjności tej umięśnionej sylwetki i ciepłego brązu skóry, mogła się jednak założyć, że nie zdołał nigdy przejść przez pokój, nie przyciągając wzroku każdej obecnej tam kobiety.

Oszołomiona, oderwała wreszcie od niego wzrok i spojrzała w oczy jego towarzyski.

Anna Cornick była odrobinę wyższa od niej, ale i tak dość niska. Szczupła, wręcz chuda, choć każdy gram jej ciała stanowiły mięśnie. Jasnobrązowe włosy opadały lokami na ramiona. Była piegowata i miała złotobrązowe oczy. Ubrała się w białą bluzkę i jedwabną spódnicę, sięgającą jej przed kostkę. Nie była klasycznie piękna, ale też nie nieatrakcyjna.

Anna wyglądała na zmęczoną i nienaknęła przy swoim towarzyszu, potem jednak uśmiechnęła się szeroko, acz smutno, a uśmiech ten objął krępująco silny, niechętny zachwyty Sunny Charlesem i wyraził współczucie dla innej kobiety, która uległa jego urokowi.

Od Anny biło takie ciepło, że Sunny poczuła, że napięcie, jakie wzbudził w niej Charles Cornick, opuszcza ją i robi miejsce na podjęcie znajomej roli gospodyni.

– Witajcie – powitała ich z promiennym uśmiechem, który tym razem przywołała z łatwością. – Wejdźcie, proszę. – Odsunęła się, robiąc im przejście. – Mam na imię Eleonora, jestem towarzyszką Artura, możecie się zwracać do mnie Sunny, wszyscy tak do mnie mówią.

– Anna – przedstawiła się żona Charlesa. – Miło cię poznać, Sunny. – Krzepko uścisnęła jej rękę. Kiedy jej towarzysz się nie odezwał, trąciła go łokciem.

Spojrzał na nią, a ona znacząco uniosła brwi – Sunny rozpoznała tę minę z własnego repertuaru reakcji, jaki stworzyła, żeby radzić sobie z zachowaniem dominujących mężczyzn, którzy nie zawsze przestrzegali zasad kurtuazji.

– Nie jest źle – oceniła – ale uniesienie jednej brwi jest skuteczniejsze. Jeśli to nie zadziała, lepiej odpuścić i poczekać, aż się oswoją z sytuacją. Wchodźcie, wchodźcie, przyniosę coś do picia. Artur zaraz zejdzie. Czego się napijecie? Szkocka? Brandy? Mam też bardzo dobre białe wino.

Anna podążyła na nią z uśmiechem, podczas gdy jej towarzysz zamknął, bardzo delikatnie, drzwi.

– Dajesz radę tak odpuszczać? Ja zygam, dopóki nie pęknie. Masz może wodę? Nie piję dzisiaj, prowadzę. Wiem, że alkohol już na mnie nie działa, ale nie chcę, żeby policja go ode mnie wyczuła w razie kontroli.

– Pozwala ci prowadzić? – zapytała Sunny autentycznie zaskoczona i bardziej niż trochę zazdrosna. – Ostatnio siedziałam za kierownicą w dniu, kiedy poznałam Artura. Odwoziłam ojca do Devon, a jego samochód stał przy drodze z dwoma kapciami.

– Nie lubię prowadzić – odezwał się Charles. – Brandy, jeśli można, dziękuję.

Jego głos był głęboki, tak samo cudowny, jak cała reszta. Mówił niespiesznie ze szczątkowym walijskim akcentem i czymś jeszcze, co zmieniało typową amerykańską wymowę.

Poruszona dziwnym uczuciem, które wzbudzał w niej Charles, zupełnie odmiennym niż to, co czuła w towarzystwie wilkołaków zapraszanych dotąd do domu przez Artura, skorzystała z wymówki i oddaliła się do barku w rogu pokoju, żeby przygotować napoje dla gości.

Nie chodziło o to, że nigdy nie zwróciła uwagi na innego mężczyznę, po prostu... przy nikim nie czuła się tak bezpiecznie. Ta całkiem nieoczekiwana reakcja na – z tego, co wiedziała – niezwykle niebezpiecznego mężczyznę całkiem wytrąciła ją z roli.

Sięgnęła po karafkę z rżniętego szkła, którą kupiła kilka lat wcześniej w Wenecji... A Anna na szczęście znalazła się

w odpowiedniej chwili, żeby ją od niej wziąć i odstawić na barek.

– Wiem, jak to jest – powiedziała empatycznie. – Rozumiem. Powinnaś zobaczyć, co się dzieje, kiedy Marrok wchodzi do pokoju pełnego obcych wilków. Ale to minie, za chwilę się wyciszy, i już nie będzie na ciebie to tak wpływało. – Zerknęła na towarzysza, a potem wyciągnęła zatyczkę. Z szyjki uniosła się woń dobrej brandy. – Miał kiepski dzień, to pogarsza sprawy.

Sunny wyciągnęła z barku kieliszek i podała Annie.

– Co się stało?

Anna uśmiechnęła się i wzruszyła ramionami, nalewając alkohol.

– To samo co zwykle. – Zabrzmiało to jak unik. – Nie przepada za miastami bardziej niż za prowadzeniem samochodu, komórkami, samolotami czy...

– Ludźmi, którzy mówią o nim tak, jakby go przy tym nie było – warknął wilk, jakby wywołany do odpowiedzi.

Kiedy Artur tak mówił, Sunny wiedziała, że należy go zostawić w spokoju. A Anna tylko uśmiechnęła się do towarzysza.

– Chodź do nas i weź sobie kieliszek. Jak w ogóle możesz to pić? Nigdy nie mogłam się zmusić, nawet jeśli chodziło tylko o wypicie czegokolwiek z alkoholem. Przestań straszyć naszą gospodynię.

Odetchnął głęboko i... nagle zmienił się w zwyczajnego rozdrażnionego faceta stojącego pośrodku jej salonu. Podszedł i wziął od Anny kieliszek, po czym zwrócił się do Sunny.

– Wybacz, proszę – powiedział i tym razem jego głos nie przyprawił jej serca o galopadę. – Jak wspominała Anna, jestem dzisiaj nie w sosie. Ale nie ma powodu, żeby odbijało się to na tobie.

Zbycie jego przeprosin wydawało się nie na miejscu, sięgnęła więc po następną najlepszą odpowiedź:

– Wybaczam.

Anna rozglądała się po pokoju.

– To miejsce wygląda bardziej domowo niż wynajmowana na parę tygodni baza. Masz talent.

Sunny wręczyła jej butelkę wody, którą wyjęła z barkowej lodówki.

– Och, Artur ma kilka takich miejsc rozsianych po całym świecie. Tutaj bywa rzadko, kupił mi to miejsce na naszą trzydziestą rocznicę. Zwykle spędzam tutaj miesiąc w lecie. Artur nie lubi podróżować, ale wie, że ja to uwielbiam.

Z trudem powstrzymała się, żeby nie powiedzieć więcej. Ukrywając zaniepokojenie za przyjaznym uśmiechem, wyjęła schłodzoną butelkę ulubionego białego wina. Nigdy tak nie paplała. Przywykła do powściągliwości. Nie żeby jej zamiłowanie do podróży czy dom stanowiły sekret, ale nie zamierzała o tym wszystkim mówić.

Ocaliło ją skrzywienie schodów. Artur schodził do nich z nonszalanckim pośpiechem.



Anna patrzyła, jak brytyjski król-wilk zstępuje po stopniach.

– Spóźniliście się – rzekł tytułem powitania. – Obawiałem się, że coś się stało.

– Ach nie – odparła Anna pogodnie. Wcześniej ustalili z Charlesem, że najlepiej będzie ostrzec niemieckiego Omegę, ale innych nie powiadamiać o napaści. Atak nie dotyczył innych, a Charles powiedział, że lepiej nie zachęcać naśladowców. Dlatego Anna wzięła na siebie winę za spóźnienie. I tak nikt nie uwierzyłby, że to Charles ponosi odpowiedzialność. – Przygotowanie się zajęło mi troszkę więcej czasu, niż przewidywałam.

Sunny nalala brandy do drugiego kieliszka i podała go Arturowi – kolejny wilkołak pijący alkohol, mimo że ten nie wywierał spodziewanych efektów. Sobie wzięła białe wino.

– Kolacja będzie gotowa za pół godziny – poinformował ich Artur. – Tymczasem mogę pokazać wam moją kolekcję, jeśli jesteście zainteresowani.

– Kolekcję? – zaciekawiła się Anna.

– Zbiory, które mam tutaj, nie są szczególnie cenne – wyjaśnił. – Ani też wyjątkowe pod względem historycznym. Rzadko tu bywamy, a nawet mając ochronę... – Wzruszył ramionami. – Ale jest kilka ciekawych artefaktów.

– Przywiozłeś Ekskalibur? – zapytał Charles.

Artur elegancko uniósł brew i uśmiechnął się lekko.

– Nigdzie się bez niego nie ruszam.

– Czy to nie kłopotliwe? – zapytała Anna. – Latanie liniami lotniczymi z mieczem?

– Mam prywatny samolot.

– Oczywiście – mruknęła Anna, z autoironią myśląc o swoim nagłym awansie do bogatych sfer. – Jak każdy przecież.

– Biedny plebs – odmruknął Charles, ale chyba tylko ona wychwyciła żartobliwą nutę w jego głosie, bo Artur i Sunny wyglądali na zmieszanych.

– Artur ma problemy z lotami liniowcami – pospieszyła z wyjaśnieniem Sunny.

– Przepraszam – wycofała się Anna, błagając wzrokiem Charlesa o wybawienie. Nie przychodziło jej do głowy nic, co jeszcze bardziej nie pogorszyłoby sytuacji.

Charles przybył na ratunek.

– Pierwsza wataha Anny była... borykała się z pewnymi problemami, w tym finansowymi. Jesteśmy małżeństwem niecały miesiąc, Anna musi przywyknąć do wielu rzeczy.

– Długowieczność nie oznacza automatycznie bogactwa – stwierdził Artur wyrozumiale. – Ale pieniądze nie są takie złe.

– Długoterminowe inwestycje nadają nowy wymiar określeniu „procent składany” – dodała Sunny.

– Opowiedz mi o swojej kolekcji – poprosiła Anna z odrobiną desperacji w oczach. – O Ekskaliburze – dodała, bo nie mogła powstrzymać ciekawości.

– Kiedyś byłem archeologiem – wyjaśnił Artur. – Amatorem oczywiście, bo tylko w tym wymiarze zajęcie to akceptował mój ojciec. Wykopaliska nie podlegały wtedy jeszcze regulacjom, więc prowadziłem poszukiwania na własną rękę w obrębie starej osady kornwalijskiej, leżącej dogodnie w obrębie posiadłości należącej do kolegów ze szkoły. Tam go znalazłem, po prostu wykopałem.

Nie wydawał się szalony ani pytanie nie zbiło go z tropu. Gdyby nie rozmawiali o – na litość boską! – Ekskaliburze, historia wciągnęłaby ją bez reszty.

– Skąd wiedziałeś, że to Ekskalibur?

Uśmiechnął się.

– Powiedz mi, moja droga, wierzysz w reinkarnację?

Nie. Nie była to jednak uprzejma odpowiedź.

– Nigdy nie natknęłam się na przekonujący dowód tej teorii.

– Chyba wystarczy, jeśli powiem, że ja owszem, natknąłem się na takowy. Wierzę również, że jestem Niedysiejszym i Przyszłym Królem, który powróci w czasach największej potrzeby. – Uśmiechnął się szerzej i mrugnął. – Nie upieram się, żeby inni przyjmowali moje dziwactwa za własne.

Gdyby ludzie przypominali sobie, że w poprzednim życiu byli zwyczajnymi pokojówkami czy rolnikami, którzy zmarli całkiem zwyczajną śmiercią, może byłaby bardziej skłonna uwierzyć w reinkarnację. Zapamiętała, jak ojciec skwitował to kiedyś kwaśno: „Czy jeśli czternaście osób twierdzi, że było Kleopatrami, oznacza to, że cierpiała na osobowość mnogą?”.

A potem Artur powiódł ich do swojej sali skarbów – pomieszczenia, które miało służyć za gabinet albo dodatkową



sypialnię. Na ścianach wisiały trzy gobeliny sprasowane za szybą bądź pleksi, a pod nimi stały gabloty wystawiennicze.

– Nie jest to właściwa wystawa – zaznaczył. – Ekspozycje są tu przez większość roku bez opieki, więc nie mogę ryzykować i zostawiać tu czegoś bardzo wartościowego. Cenniejsze artefakty znajdują się w moim domu w Kornwalii. Te tutaj nabyłem w Stanach Zjednoczonych. To piętnastowieczny gobelin, podobnie jak większość z tamtych czasów, o tematyce religijnej. Przedstawia ukrzyżowanie Świętego Stefana, który zgodnie z legendą został powieszony głową w dół.

Anna obejrzała wizerunek wysztywnionej postaci wiszącej do góry nogami, aureolę pod jej głową i strugi krwi spływające z rąk.

– Wesolutkie – podsumowała.

– Ja też za nim nie przepadam – uśmiechnął się Artur.

Drugi ukazywał kobietę siedzącą na ławce pod drzewem z robótką oraz wielkiego ptaka na gałęzi nad jej głową. Kolory były wyblakłe, nieco intensywniejsze w miejscach, gdzie nici zagłębiały się pod spód. Anna pomyślała, że pewnie barwy były kiedyś żywsze niż teraz.

– Ta pochodzi ze Szkocji – oświadczył Artur z niechęcią. – Około trzynastego wieku.

– Barbarzyńcy, ci Szkoci – stwierdził Charles z rozbawieniem.

– Mój ojciec, Walijczyk, uważa tak samo.

– Ha, ha, złapałeś mnie – zaśmiał się Artur. – Pewnie bez względu na upływ lat zawsze pozostanę człowiekiem swoich czasów. Tak jak ty, przyjacielu. Ten jest w niezwykle dobrym stanie, ponieważ przez ostatnie dwieście lat należał do muzeów, a i wcześniej o niego dbano. – Poszedł dalej i zaprezentował finezyjnym gestem ostatni z gobelinów, najmniejszy. – To mój ulubiony. Najprawdopodobniej piętnasty wiek. Kupiłem go od prywatnego kolekcjonera z Kalifornii. Jest w kiepskim stanie, został podszyty bezkwasowym muślinem, żeby zapobiec

dalszemu niszczeniu. Wszystkie są zabezpieczone w hermetycznych pojemnikach, chronione przed wpływem atmosfery.

Rzeczywiście, tkanina była w złym stanie. Ocalał kawałek wielkości dwóch dłoni. Rycerz na koniu w galopie – kopyta wierzchowca nie dotykały ziemi, a pysk był otwarty na wędzidle. Rycerz unosił miecz nad głową.

Artur musnął palcami gładką, przezroczystą taflę.

– Jak widzicie, przedstawia Artura walczącego Ekskaliburem.

Anna nie rozumiała, skąd ta pewność co do bohatera gobelinu, dopóki nie przyjrzała się bliżej mieczowi. Z wyszytych niegdyś liter na głównej zostały jedynie trzy, „x”, „c” oraz „u”. Trzeba przyznać, że niewiele wyrazów zawierających te litery mogło zostać umieszczonych na mieczu.

– Ma smutną minę – zauważyła. – Ciekawe, z kim walczy.

– Przeciwników miał wielu. Był najznamienitszym rycerzem Anglii i walczył ze smokami i innymi bestiami, jak również bronił kraju przed Saksończykami.

Pierwsza gablota zawierała przedmioty pochodzenia romańskiego. Anna podejrzewała, że pochodziły z czarnego rynku. Choć może kamień z Muru Hadriana można było sobie zabrać w czasach, gdy Artur go zdobył.

W drugiej szafce znajdowała się kolczuga oraz jasnoniebieski tabard z wyszytymi trzema srebrnymi koronami.

– To replika – zaznaczyła Sunny. – Choć i tak jest warta kilka tysięcy. Płótno utkano ręcznie przy wykorzystaniu tradycyjnej techniki i zafarbowano barwnikiem roślinnym. Srebrna nitka jest naprawdę ze srebra, a kolczugę wykonano ręcznie. – Dotknęła gabloty. – To herb Artura, a przynajmniej to, co nosił na tarczy.

– Herb Artura... – powtórzyła Anna. Wątpiła, by prawdziwy Artur nosił w ogóle kolczugę. Może Król Wysp za dużo się naczytał „Le Morte d’Arthur”.

– Króla Artura, nie mojego Artura – doprecyzowała Sunny. – Mój Artur nie chce się posługiwać własnym herbem rodowym...

– Bo to świnia – rzekł Artur ponad jej ramieniem.

– Odyniec – sprostowała Sunny niewzruszona. – Nadal żyje paru krewnych mogących go rozpoznać, młodszy kuzyn i najmłodsza siostra.

– Która w maju kończy osiemdziesiąt cztery lata. – Artur powiedział to z wyraźnym rozczuleniem. – Chciałbym ją odwiedzić, ale umysł ma nadal sprawny i strzela do rzutek bez okularów. Dlatego wybrałem herb Króla.

Słowo „król” powiedział wielką literą, jakby nie było innego króla w historii.

– W czasach arturiańskich nie było jeszcze herbów – zauważył Charles. – Zaczęto się nimi posługiwać chyba około szóstego wieku?

– Albo pod koniec piątego – zgodził się Artur. – Posługiwał się takim bohater bitwy pod Badon Hill, czyli około pięćset osiemnastego roku. Cała heraldyka z jej skomplikowanymi oznaczeniami pojawiła się znacznie później. Ale istnieje tradycja... Zresztą to i tak wszystko zmyślane. – W oczach miał marzycielski wyraz. Anna była ciekawa, czy kiedy nikt nie widzi, ubiera się w kolczugę i bawi mieczem.

Jej starszy brat przemykał się na dół nocą, zdejmował znad kominka szablę kawaleryjską z czasów wojny secesyjnej i udawał, że walczy z niewidzialnym wrogiem. A raz – coś, czego nie da się zapomnieć – ze swoją młodszą siostrą, którą uzbroił w kij od miotły. Skończyło się to szesnastoma szwami dla niej i złamanym nosem dla niego. Anna pomyślała z zadumą, że mężczyźni mają słabość do długich, ostrych, szpiczastych przedmiotów. Uśmiechnęła się w duchu.

– A teraz pièce de résistance. – Artur teatralnie zawiesił głos. – Zwykle ludzie są rozczarowani widokiem Ekskalibura. To

chyba przez te filmy. To nie żaden rekwizyt, tylko broń stworzona do zabijania.

Ukląkł, odsunął dywan i wyjął jedną z desek podłogowych. Pod spodem znajdował się sejf. Przyłożył dłoń do widocznego panelu, po chwili bipnęło i schowek powoli się otworzył. W środku leżała metrowej długości wąska skrzynka.

Wyjął ją i położył na gablocie. Już sama skrzynka była piękna, rzeźbiona z ciemnego i jasnego drewna.

Odpiął klamry wieka i zdjął je.

W tym momencie Anna zrozumiała, dlaczego Artur uważał, że jego miecz to Ekskalibur.

Miecz łączyło z szablą jej ojca podobieństwo takie, jakie łączy lwa i jaguara – oba są skutecznymi drapieżnikami.

Klinga Ekskalibura była krótsza, szersza niż ostrze ojca i obusieczna. Wzdłuż głównej biegnęło ciemniejsze wgłębienie zbrocza, a stal pokrywał wzór jak w przypadku stali damasceńskiej – może właśnie w tej technologii został wykonany. Rękojeść zrobiono również ze stali, a cały miecz, w przeciwieństwie do tych filmowych, był bardzo prosty i dość krótki, przeznaczony do walki jedną ręką, do zabijania.

– W szóstym wieku znali już technologię stali? – zapytała zdziwiona.

– W niektórych rejonach mieli stalowe miecze nawet tysiąc lat wcześniej. O stali z Toledo wspominali już Rzymianie w pierwszym stuleciu przed naszą erą.

– Jest... – Miała powiedzieć „piękny”, jednak określenie to nie pasowało. Szabla ojca miała długie, eleganckie ostrze, była stworzona z myślą o funkcji użytkowej, ale i piękna. Ta broń była inna. – Potężny.

– Żadnych klejnotów, złota i innych świecidełek – powiedział Artur zachwycony.

– Nie są mu potrzebne. – Opanowała chęć dotknięcia broni, trzymała ręce za plecami.

– Nie tylko ten miecz należał do Artura – powiedział z ekscytacją zapaleńca. – Ten tylko jest najbardziej znany. Był też Miecz z Kamienia, który rozpoznał w Arturze prawowitego władcę. Prawdopodobnie to ten znany jako Clarent, atrybut władzy królewskiej. Niektóre z najwcześniejszych podań walijskich wspominają o sztylcie Carnwennen, którym zabił Najczarniejszą Wiedźmę.

Zapikał minutnik. Sunny pisnęła, sprawdziła zegarek i wybiegła z pokoju, mamrocąc coś o minutnikach i ofiarach całopalnych.

– Masz uroczą towarzyszkę – powiedział Charles.

– Jest cudowna – zgodził się Artur. – To światło mojego życia. – Dotknął rękojeści miecza. – Ekskalibur ma półtora tysiąca lat i będzie ze mną przez kolejne półtora tysiąca. Ale Sunny... – Przełknął ślinę. – Moja Sunny umiera po trochu każdego dnia.



Wyszli późno. Ku uldze Anny wieczór minął bez większych incydentów. Martwiła się, że początkowy nastrój Charlesa będzie trwał, jednak podczas kolacji zachowywał się doskonale.

Nie mówił wiele, ale kiedy Arturowi wyczerpały się legendy o Królu Arturze, skierował rozmowę na temat monitoringu w Wielkiej Brytanii – kamery instalowano wszędzie, by mieć oko na obywateli – i problemów, jakie wiążą się z tym dla wilkołaków.

– Cóż – zaczęła, kiedy podchodzili do poobijanej toyoty – to była nieomal uprzejma...

Mężczyzna, który siedział za krzewami, podniósł się nieco zeszywniały. Natychmiast rozpoznała zapach i zdławiła okrzyk, jaki już miała wydać.

– Michel – powiedział Charles.

Poznała go poprzedniego dnia w restauracji, ale teraz kiedy był sam, mogła mu się przyjrzeć lepiej. Alfa, lecz niezbyt dominujący, w jej dawnej watasze w Chicago mógłby znajdować się najwyżej w połowie drabiny hierarchicznej. Twarz miał poranioną, a czarne obwódki wokół oczu świadczyły o złamanym nosie. Zdrowiał, jednak u niektórych trwało to dłużej niż u innych. Nie wyprostował się do końca i trzymał się za brzuch.

– Charles – zaczął cicho – Bestia wziął mój telefon, a nie wiedziałem, jak inaczej się z tobą skontaktować.

– O co chodzi?

Francuz pokręcił głową.

– Przyszedłem, żeby cię ostrzec. On chce twojej towarzyszki. Rozumiesz? To morderca, zabija kobiety, niewinnych... A upatrzył ją sobie na ofiarę. Pragnie jej. Musisz ją trzymać z dala od niego.

– Dziękuję. Chodź, podrzucimy cię, gdzie chcesz.

Michel cofnął się gwałtownie.

– Nie. Jeśli wyczuje na mnie twój zapach, zabije mnie.

– Ale nie, jeśli to będzie mój zapach – rzekł Artur.

Anna nie usłyszała, jak podchodzi, pozostałe wilki nie wydawały się zaskoczone.

– Znalazłem cię na poboczu rannego – ciągnął Artur, zerkając na ulicę biegnącą prostopadle do podjazdu. Syknął cicho przez zęby. – Szkoda, że Jean nie troszczy się bardziej o swoje wilki. – Popatrzył na Charlesa. – Kiedy skończę z Jeanem, będzie tak wściekły na mnie, że zapomni o Michelu.

– Ciebie też nienawidzi – uprzedził Artura Francuz, choć po minie widać było, że akceptuje plan.

– Nic nowego. Nie boję się go – oświadczył Artur i nikt nie podważył jego słów, choć wszyscy wiedzieli, że to nieprawda. Nawet Anna to wyczuła.

Popatrzył na Charlesa.

– Wracajcie do hotelu, a ja dam mu coś krwistego, żeby szybciej się wyleczył. Potem odwiozę go całego do jego jaskini.

Charles skinął oszczędnie i obszedł samochód, żeby zająć miejsce pasażera. Anna otworzyła drzwiczki i wsiadła.

– Podobno król Artur też był odważnym człowiekiem.

Mimo strachu zatroszczył się o słabszego, mniej dominującego wilka – chociaż ten sam był Alfą.

– Dobry człowiek z tego naszego Artura – przyznał Charles miękko, kiedy wycofywała z podjazdu. – Nawet jeśli jest szalony przy wietrze północno-zachodnim. Na szczęście wieje głównie z południa.

Szekspir.

– Zwykle odróżnia jastrzębia od czapli? – odpowiedziała, żeby wiedział, że załapała aluzję. – Nie wierzysz, że jest Arturem?

Uśmiechnął się lekko.

– Większość starych wilków ma obsesję na jakimś punkcie. Dla naszego brytyjskiego monarchy to król Artur. Relatywnie łagodne szaleństwo. Lepsze niż to Chastela.

– Artur przecież nawet nie jest tak stary jak ty.

– Nie. Ale wystarczająco.



Nie dąsała się. Przygryzła dolną wargę, skrzyżowała nogi i poruszała palcami u stóp. Zgodziła się pozostać w bezpiecznym miejscu w trakcie kolejnej rundy rozmów. Charles nie chciał ryzykować odsyłania jej gdzieś samopas, a ona z kolei nie chciała narażać nikogo innego. Tom czuł się coraz lepiej, ale wciąż strzykało go gdzieniegdzie, a Moira, wykończona czuwaniem, nadal spała, kiedy Anna do nich zajrzała.

Próbowała jak poprzedniego dnia siedzieć przy Charlesie, ale na sali było tyle obcych wilków, które się na nią gapiły...

W końcu przywołała Angusa, który zaprowadził ją do swojego gabinetu, znajdującego się piętro nad salą konferencyjną. Wpuścił Annę do swojego sanktuarium, zamknął za nią drzwi i polecił przekręcić klucz w zamku. Stalowe drzwi ze zwykłym zamkiem prawdopodobnie nie powstrzymałyby zdeterminowanego wilkołaka, ale dałyby jej czas na wezwanie pomocy przez telefon.

Gabinetowi Angusa daleko było do czyścica. Oprócz biurka i absurdalnie kosztownego, luksusowego fotela stał w nim telewizor i kanapa. Poza tym miała gazety i przyniosła ze sobą książkę.

Czemu więc siedziała w skórzanym fotelu Angusa i się nie dąsała?

Całkiem bez powodu.

Rozległo się pukanie.

– Kto tam? – zawołała.

– Angus. Przyprowadziłem ci towarzystwo. Jest ze mną Ric, Omega z Włoch.

Otworzyła zamek i ostrożnie uchyliła drzwi. Przez szczelinę wśliznął się do środka blondyn z krótką rudą bródką.

– *Presto*. Otwieraj. Tu ja, twoja rozrywka. – Wcisnął się do pokoju i zamknął za sobą drzwi. – Oswojona, niegroźna. – Mówił z akcentem i brytyjskim, i niemieckim.

– Szczerze mówiąc, powitałabym z radością i bandę złoczyńców, których mogłabym rozszarpać, żeby rozproszyć tę nudę.

– Niestety, nie jestem złoczyńcą – oświadczył dostojnie i świsnął garść orzeszków z miski na biurku Angusa. – Ale mogę się postarać, jeśli sobie życzysz. – Poruszał brwiami. – Twój towarzysz uznał, że moim drogim Włochom i Niemcom będzie beze mnie lepiej. Choć nie ujął tego w ten sposób. – Uśmiechnął



się szeroko. – Generalnie: Omega. Sio. A Angus wywnioskował, że odsyła mnie tutaj. – Przekrzywił głowę, jakby chciał przyjrzeć się Annie z innej perspektywy. – Jesteś pierwszą Omegą, jaką spotykam.

– I wzajemnie – zrewanżowała się. – Myślałam, że jesteś Niemcem.

Pokręcił głową i podszedł do okna.

– Austriakiem.

Teraz jego wybór Włochów zamiast Niemców zaczął mieć dla niej sens. Pewnie wyczytał to z jej twarzy, bo zareagował śmiechem.

– Tak, Włosi są znacznie bardziej żywiołowi i weselsi od Niemców, nawet wilkołaki. – Zastanowił się przez moment i dodał: – A może zwłaszcza wilkołaki.

– A czemu nie Austriacy? – zapytała.

Spoważniał.

– W Austrii nie ma już żadnej watahy. Były tylko dwie, a cztery lata temu Chastel się nudził i zabił obie Alfy... – Wciągnął głośno powietrze. – Ale to nie rozmowa na dzisiaj. Tak więc zostały mi Włochy albo Niemcy. Wybrałem Włochów. Mój Alfa mówi, że gdyby wiedzieli, jak paplam, Niemcy byliby wdzięczni, że los ich oszczędził.

– Świetnie mówisz po angielsku. – Anna siadła z powrotem w fotelu Angusa. Obracał się, więc mogła obserwować wędrowkę Rica po gabinecie, nie chodząc za nim.

Odwrócił się znów przodem do Anny, żeby na nią popatrzeć – albo żeby ona mogła widzieć jego. Położył dłonie na piersi teatralnym gestem, który wydał się jej bardzo włoski – nie żeby znała wielu Włochów.

– Uczony – powiedział. – To właśnie ja. Przed Przeistoczeniem prawie dokończyłem doktorat z psychologii. Znam angielski i coraz lepiej radzę sobie z włoskim. Mój przyjaciel Francuz twierdzi, że pewnego dnia, jeśli się postaram, nie będę sobie

nawet bardzo pochlebiał, mówiąc, że znam odrobinę francuski.  
– Usiadł na parapecie, który był na tyle szeroki, że stanowił całkiem wygodne siedzisko. – Mój Alfa mówił, że nie jesteś długo wilkołakiem.

– Trzy lata.

– To dwa lata i sześć miesięcy dłużej ode mnie. A więc możesz mi powiedzieć, jak to działa z tą Omegą, bo moi ludzie nie byli mi w stanie udzielić satysfakcjonującej odpowiedzi. Chciałbym usłyszeć coś więcej niż „jesteśmy przy tobie szczęśliwi”, a tyle na razie uzyskałem. Kochanki mi tak mówiły, to chyba dobrze, no nie? Bo wiesz, ludzie z watahy mi tak mówią, a to głównie faceci, a ja nie mam skłonności tego rodzaju i nie brzmi to dla mnie szczególnie dobrze. „Dajesz nam radość”, to jeszcze gorsze. Dlatego przestałem wypytywać. Ale powinienem wiedzieć więcej, prawda?

Jego żałosna mina była tak przejęskrawiona, że Anna nie dała rady powstrzymać śmiechu.

– Rzeczywiście, niepokojące. – Usiłowała wyobrazić sobie, co Charles zrobiłby, gdyby jakiś mężczyzna podszedł do niego i oświadczył: „Dajesz mi radość”. – Sama nie wiem zbyt wiele – wyznała. – Mój mentor to mężczyzna, który był żonaty z Omegą przez dwieście lat. Problem w tym, że jest nas bardzo mało. Nie jest nas tak znów mało, jeśli chodzi o ludzi, ale rzadko przechodzimy Przeistoczenie. – Przyszło jej do głowy, że może Sunny jest ludzką Omegą albo jest bardzo uległa. – Nawet rozwścieczone wilkołaki rzadko atakują Omegi, a wyobrażam sobie, że nawet gdy Omega zapragnie Przeistoczenia, to pewnie trudno znaleźć wilka, który to robi.

– Tak, to też wywnioskowałem – przytaknął. – Miałem wypadek na nartach, ale na szczęście człowiek, który mnie znalazł, znajomy i jednocześnie ratownik, był wilkołakiem. Ukrywał to przez cały czas, odkąd się znaliśmy. Umierałem, więc przemienił mnie, żeby ocalić mi życie. – Ric uśmiechnął się

niewesoło. – Osobiście uważam, że zrobił to ze względu na naszą przyjaźń, ale Alfie powiedział, że wiedział, że jestem Omega i że będę cennym nabytkiem dla watahy. A Alfa nie kwestionował tego wyjaśnienia i nie ukarał go za przemianę bez zgody.

– Ten przyjaciel, nadal się przyjaźnicie?

Westchnął i zakołysał się, uderzając delikatnie potylicą w okno.

– Tak.

– Więc może powiedział Alfie tę prawdę, którą tamten musiał usłyszeć. Ludzie zazwyczaj mają więcej niż jeden powód do działania, szczególnie jeśli to coś tak... wielkiego, jak Przeistoczenie śmiertelnego człowieka w nieśmiertelnego wilkołaka.

Jego twarz złagodniała, skinął potakująco.

– Fakt. Nie myślałem o tym w ten sposób. – Zerknął na nią spod opuszczonych rzęs. – Właściwie nie zdawałem sobie sprawy, że mnie to dręczy, dopóki nie powiedziałem tego na głos tobie. W jakich okolicznościach doszło do twojego Przeistoczenia?

Odwróciła wzrok.

– Przepraszam – wyszeptał i nagle znalazł się dużo bliżej. Opuścił swoją grzędę i przysiadł na skraju biurka. Z szybkości, z jaką to zrobił, wynikało, że musiał przeskoczyć z miejsca na miejsce. – Dla ciebie było to coś złego? – powiedział łagodnie. – Nie musimy o tym rozmawiać. – Zmienił pozycję, zakładając nogę na nogę tak, że opierał się teraz na biodrze. – Niewielu chce o tym opowiadać.

– Oszalały wilk atakuje wszystko – powiedziała chrapliwie. Wiedziała, że wystarczy zamknąć oczy, żeby zobaczyła twarz Justina, dlatego trzymała je otwarte. – Towarzyszka Alfy zaczynała popadać w szaleństwo, więc uznał, że Omega może poprawić jej stan, pomóc zachować kontrolę. Znalazł mnie. Nie

potrafił się zmusić do skrzywdzenia mnie, więc kazał to zrobić wilkowi opanowanemu żądzą krwi, szaleństwem księżycy. – A Justin dopadł ją i zrobił to niespiesznie i z brutalnością, która nie jest konieczna do Przeistoczenia. – Sądzę, że próbował wcześniej z innymi, ale reszta widocznie nie przetrwała Przeistoczenia.

Ric patrzył jej w oczy przejęty.

– Koszmar.

Wzruszyła ramiona z nonszalancją, ale nie oczekiwała nawet, że w nią uwierzy. Nie chciała jednak wypłakiwać mu się w rękaw. Choć przypuszczała, że nie miałby nic przeciwko. Za to Charles owszem.

Uśmiechnęła się całkiem szczerze.

– Już jest lepiej. Charles uratował mnie niczym rycerz w lśniącej zbroi.

– Spotkałem go. – Ric również się uśmiechnął. – Bardzo straszny rycerz.

– Tak. Ale dokładnie tego potrzebowałam. A więc chcesz się dowiedzieć więcej o Omegach?

– Tak, *bitte*, wiem już, że znajduję się na samym dole hierarchii, ale czym się różnię od uległych wilków?

– Powiedzieli ci, że jesteś na samym dole?

– Nie do końca... – Podciągnął nogę i oparł podbródek na kolanie.

– To dobrze. Bo nie jesteś. Znajdujesz się poza hierarchią stadną. Jako jedyny możesz się sprzeciwić Alfie. – Zawahała się.

– To nie oznacza, że ujdzie ci to na sucho... Po prostu uległemu wilkowi, ale też temu dominującemu, tylko mniej od Alfy, nie przyjdzie to tak łatwo. Większość wilkołaków ma... – Zastanawiała się, jak to ująć, ale po chwili przestała się przejmować doborem słów. W końcu Ric był wilkołakiem, zrozumie. – Wbudowany miernik, który mówi im, czy osobnik

jest bardziej od nich dominujący, czy mniej. A jeśli nie powie im od razu, to... cóż, wtedy ustalają to w walce.

– Tak, widziałem to – przyznał.

– W porządku. Bo to jest coś, czego my nie mamy. To znaczy oczywiście, wiem, kto jest silniejszy, nawet w przypadku ludzi. Ale nie ma to odniesienia do ich relacji ze mną.

– *Ja!* – Podniósł gwałtownie głowę i klepnął biurko. – A już myślałem, że ze mną jest coś nie tak, skoro tego nie wyczuwam. I że nie czuję przymusu opuszczenia wzroku czy głowy.

– Pewnie nawet nie przyszło im do głowy, żeby ci to powiedzieć. Ale... i tak bezpieczniej jest trzymać głowę nisko pośród dominujących wilków.

Ric wciągnął powietrze i pochylił się ku niej.

– A myślałem, że mają problem z krzywdzeniem takich jak my.

Anna odsunęła się.

– To prawda, ale zawsze znajdzie się jakiś wariat.

– Isaac, mój Alfa, mówił, że wczoraj był jakiś problem. Sam widziałem, że coś się dzieje, ale nie umiałem tego rozwikłać. Isaac mówił, że coś cię przestraszyło i każdy wilk na sali chciał cię bronić, i że jeden patrzył na drugiego, zastanawiając się, czy ten drugi jest powodem twojego zdenerwowania. To też przez to, że jesteś Omegą?

– To przez pierwszą watahę, tę, która mnie przemieniła – westchnęła Anna. – Mam przez nich pewne problemy. W towarzystwie dominujących wilków zmieniam się w tchórza. Co wiesz na temat różnicy pomiędzy dominantami i uległymi wilkami?

– Nic mi nie mówią. – Ric wzruszył ramionami. – Te wilki, powiem ci, to straszne milczki. Nie to co ja, ja mówię bez przerwy. Ha, ha, pewnie zauważyłaś. Jak rozwiązywać problemy, jeśli nikt z nikim nie rozmawia? Komunikacja to podstawa. Ale mam też oczy, obserwuję. Dominujące walczą

pomiędzy sobą i troszczą się o te uległe. Te uległe nie są groźne. Trzeba o nie dbać poprzez... głaskanie po główkach. Pokrzepiający dotyk jest dla nich ważny.

– Mnie wyjaśniono to w prostych słowach – rzekła Anna. – Dominujące wilki – obniżyła głos do barytonu, choć nie udało się jej uzyskać akcentu Asila – instynkt każe im chronić poprzez przemocowe działania, a także kontrolować otoczenie. Są w wiecznej gotowości do zabijania. Im bardziej dominujący, tym bardziej skłonny do zabijania. Te mniej dominujące cedują siłę na te stojące najwyżej, żeby ich chronić. Alfa stoi na szczycie piramidy obsesji kontroli i jest gotów zamordować wszystko, co zagraża watasze. Chroni słabych przed silnymi i nie znosi sprzeciwu. Są też kwestie magii, ale to jest esencja.

– Uhm, widziałem to.

– Uległe wilki są łagodniejsze, spokojniejsze. Brakuje im instynktu zabójcy. Co nie oznacza, że w pewnych okolicznościach nie zabijają, tylko nie jest to ich pierwsza odpowiedź na każdy problem. Nie mają przymusu kontrolowania wszystkiego i wszystkich. Przy uległym dominant może się odprężyć, bo nie czuje zagrożenia.

– No tak, rozumiem.

– Omega to taki Alfa, tylko absolutnie zen.

Ric milczał, absorbując to, co powiedziała. W tym czasie Anna wzięła z miski garść orzechów. Okazało się, że w ręku ma brazylijskie i jeden arachidowy. Najwyraźniej Angus nie przepadał za tymi pierwszymi.

– Ale Alfa to ten najbardziej dominujący, najbardziej podatny na agresję – powiedział Ric wreszcie powoli.

– Tak, nikt mu nie podskakuje, a jego zadaniem jest chronienie watahy. Omedze też nikt nie podskakuje i naszym zadaniem również jest ochrona watahy, nawet przed nami samymi. A zen dlatego, że aby osiągnąć nasz cel, nie musimy zabijać.

– Alfa – powtórzył Ric, smakując to słowo na języku. Zabrzmiała w tym jakaś szczególna nuta. Może nawet gniew.

– Alfa – potwierdziła Anna, przeżuwając orzechy. Nie miała nic przeciwko brazylijskim, choć wolała migdały. – Minus agresja. I nasza magia działa inaczej. Sprawia, że nasze wilki są szczęśliwe.

Uśmiechnął się szeroko.

– Podczas gdy Alfa czerpie siłę, a nawet magię z watahy, Marrok, i to najmilejszy szczegół, który czyni go tak strasznym, Marrok czerpie siłę od wszystkich Alf, które ma pod sobą. My chyba nie mamy odpowiednika czegoś takiego. Ale summa summarum nie musisz słuchać, kiedy wielki zły wilk usiłuje rozstawić cię po kątach. Omega nie znaczy słabeusz.

Ric najwyraźniej potrafił również milczeć, bo zadarł głowę i zagapił się w sufit na kilka minut, na tyle długo, że Anna zdążyła przeanalizować wszystko, co mu powiedziała. Ona sama nie zachowywała się jak Alfa-zen, zachowywała się jak uległy wilk... Nie, bo przecież nawet uległy nie podwija pod siebie ogona na widok dominanta, a ona właśnie to robi. Zabiła wampira. Zabiła wiedźmę tak groźną, że była w stanie wygnać Asila z jego własnego domu i zmusić do uciekania przed nią przez dwieście lat. Asila, Maura, którego imię na całym świecie szeptano z bojaźliwym respektem, a czasem wywarkiwano.

Niezadowolona z siebie wzięła do ręki książkę i zapatrzyła się na stronę.

– Anno? – odezwał się Ric.

– Tak?

– Chciałbym pokazać moim to, co mi powiedziałaś. Że nie jestem dzieckiem ani zabawką, która jest przydatna. Ani megauległym wilkiem, tak? Muszą zobaczyć we mnie wilka-zen, którym jestem.

Wilk-zen. To miało silniejszy przekaz niż „Omega”.

– I jak zamierzasz to zrobić?

Uśmiechnął się, a w jego oczach błysnęły psotne iskry.

– Mam plan. Dzisiaj jest przyjęcie, prawda? A potem polowanie. Może się do niego przyłączyć każdy wilk, który nie jest uległy. Weźmie w nim udział cała banda dominantów, więc wyłączyli je z zabawy dla ich własnego bezpieczeństwa. Poza tym każdy jest zaproszony. Każdy. Wydaje mi się, że powinienem zapolować.





## 8

**C**harles czuł się najlepiej we własnym towarzystwie, a jeśli to było niemożliwe – ze swoją watahą w dziczy. Rozmowy w zatłoczonej sali konferencyjnej nie znajdowały się na żadnej z list jego ulubionych rzeczy ani też na żadnej liście rzeczy mistrzowsko opanowanych. Tyle dobrze, że nikt nie zginął. Na razie.

Niemcy uspokoili się natychmiast po tym, jak włoski Omega z urażoną godnością wymaszerował z sali. Włosi ze swej strony świetnie zagrali brak ulgi i skupili się na przedmiocie rozmów. Ugody zostały dograne.

Do drugiej skomplikowany taniec Charlesa z delegacją fińską, utrudniany dodatkowo problemami translacyjnymi, wreszcie dobiegł końca. Finowie twierdzili, że żaden z nich nie mówi po angielsku, Charles nie znał fińskiego. Wobec tego porozumiewali się za pośrednictwem Norwega, który mówił po fińsku i hiszpańsku, oraz Hiszpana, który z kolei mówił po angielsku. Podejrzewał w tym podstęp Finów, mający dać im każdorazowo więcej czasu na zastanowienie, ale już machnął ręką.

Zgodził się na nieoprocentowaną pożyczkę dla Finów, która miała zostać spożytkowana na wypracowanie korzystnego wizerunku publicznego, a której udzielić miała charytatywna fundacja przedsiębiorstwa Marroka. Choć Charles zdecydował się osobiście zająć dystrybucją środków i rozliczaniem, to i tak był niezły interes.

Nie tylko Finowie mieli zadowolone miny po zakończeniu negocjacji. Wszyscy uważnie śledzili ich przebieg, niektórzy nawet robili notatki, i w końcu uwierzyli, że Marrok nie zamierza zostawić ich na lodzie i gotów jest podpisywać umowy notarialne, z którymi w razie czego można iść do sądu – o czym do tej pory nawet nikt nie myślał. Stopniowo, wraz z upływem dnia, w wilkach zaczął kiełkować duch ostrożnego optymizmu.

– To co, ustalone? – zapytał Charles mężczyzny, który przewodził Finom.

Kiedy tłumaczenia przedostały się przez wszystkie bariery językowe i Fin zaczął kiwać potakująco głową, wstał Jean Chastel.

– Nie – oświadczył.

Bestia zaczekał, aż Fin, który wstał krzesła w trakcie negocjacji, usiądzie z powrotem. Dopiero wtedy podjął.

– Nie weźmiemy pieniędzy, którymi Marrok usiłuje wymazać swoją zdradę wobec nas, zerwanie wszystkich zawartych dotychczas układów, w których zobowiązuje się nie wsadzać nosa w nasze sprawy.

I otworzył aktówkę, z której zaczął wyjmować dokumenty, niektóre papierowe, inne chyba starsze od niego samego i spisane na pergaminach tak dawno, że zatarła się już w nich woń owcza.

– Nie potrzebujemy pieniędzy Marroka. Nie korzystamy z jego „ochrony” i nie ma on żadnej władzy na naszych terytoriach.

Na twarzy Chastela odbił się ponury tryumf. Francuskie wilki, łącznie z posiniaczonym Michelelem, stały za nim murem. Nie miały innego wyjścia.

W sali zapadła ciężka, nieprzyjemna cisza, a oczy wszystkich zwróciły się na Chastela. Bestia nie mógł powstrzymać Marroka przed ujawnieniem istnienia wilkołaków, ale mógł zapobiec udzieleniu przez niego pomocy europejskim wilkom, a to w ostatecznym rozrachunku mogło skończyć się katastrofą dla wszystkich.

Chastel władał terytorium europejskim, kiedy było mu z tym wygodnie, i właśnie oznaczył swoje granice, pozostawiając Charlesowi wybór: albo mu na to pozwolić, albo sprzeciwić się z miejsca, co oznaczało rzucenie Bestii wyzwania.

– Tak – odezwała się Dana matczynym tonem. – Dziękujemy za zabranie głosu, *monsieur*. Został pan wysłuchany. – Pradawna uśmiechnęła się sympatycznie do Chastela, a potem przesunęła wzrokiem po sali. – W imieniu watahy Szmaragdowego Miasta zapraszam wszystkich uczestników zjazdu w Seattle na zorganizowane dzisiaj polowanie na terenie łowieckim stada. Bezkrwawe, Marrok prosił, abym przekazała wam jego przeprosiny. Jednak ponieważ w polowaniu bierze udział kilka watah, uznaliśmy, że w ten sposób ograniczymy ewentualne incydenty przemocowe...

Charles mógł nie czuć się swobodnie, przemawiając, ale Dana była do tego stworzona. Gdy Bran poprosił ją o moderowanie zjazdu, Charles miał wątpliwości, czy się sprawdzi, ponieważ nie znała wilków. Wtedy ojciec zbył jego obawy uśmiechem. „Za to zna mężczyzn” – odpowiedział. I miał rację.

Teraz każdy już wiedział o polowaniu. Obdarła w ten sposób Chastela z jego chwili blasku oraz władzy i wszyscy zdawali sobie z tego sprawę. Bez tego Chastel mógłby przejąć pierwsze skrzypce na spotkaniu, zmuszając Charlesa – i może, ale tylko

może, również Artura – do stawienia mu czoła albo wycofania się i pozostawienia mu kontroli.

A jeśli przemieniliby się i zabili Bestię, Dana byłaby zobowiązana do uhonorowania umowy i zabicia z kolei ich. Charles nie był przekonany, czy dałaby radę im dwóm naraz, ale nie miał też pewności, czy Artur stanąłby w ogóle u jego boku – z Arturem nigdy nic nie wiadomo.

Jednak to wszystko nie zadziałałoby, gdyby wcześniej Dana wszem wobec nie udowodniła, że jest potężniejsza od Chastela. Bestia pozwolił jej odebrać sobie prowadzenie, bo bał się rzucić jej wyzwanie. A ona zagrała ogłoszeniem czegoś, o czym wszyscy wiedzieli już od tygodnia z emaila, w którym Charles podał im szczegóły polowania. Dlatego każdy wilk na sali wiedział, co zrobiła prądawna.

Chastel wstał i z hukiem pomaszerował w stronę wyjścia, zostawiając swoje dokumenty. Angus zastąpił mu drogę.

Nierozsądny gest. Chastel mógł chwilowo zapomnieć, że Alfa Seattle znajduje się pod protektoratem Marroka. Angus mógł stracić życie. Ale może liczył, że Chastel go zaatakuje? Gdyby Francuz posunął się do rozlewu krwi... Bestia jednak pohamował się. Choć ledwo, ledwo.

– Pani? – zwrócił się Angus do prądawnej.

Chastel spojrział na Danę.

– Chcę zaczerpnąć świeżego powietrza. Coś tu śmierdzi.

Uśmiechy Dany były jej bronią, nawet jeśli wydawały się łagodne.

– Ależ oczywiście – powiedziała. – Możesz wyjść.

Angus odsunął się i otworzył Chastelowi drzwi.

Bestia opuścił plac boju. Ale jako zwycięzca. Żaden z europejskich wilków nie zebrałby się na odwagę, żeby podważyć prawo Chastela do decydowania w ich imieniu. A w chwili ogłoszenia światu przez Marroka, że wilkołaki istnieją, sprawa objęłaby kręgiem również Europę, podobnie

jak porażka w przekonaniu Europejczyków o dobrych zamiarach wilkołaków odbiła się na terytorium Marroka.

Charles nie mógł przestać się zastanawiać, czy sprawy potoczyłyby się inaczej, gdyby spotkanie prowadził Marrok.



Angus miał sto kanałów w telewizji, sport, wiadomości, komedie, kreskówki, naukowe, przyrodnicze i jakieś pięćdziesiąt zakupowych. Jedyne, co Anna i Ric byli w stanie znieść, to maraton „South Park”.

Dzieciaki uciekały właśnie przed Nazgulem z szóstej, kiedy serial został przerwany przez reklamę męskich specyfików powiększających.

– Jak więc planujesz wykorzystać polowanie? – zapytała Anna, nie chcąc gapić się na przygłupiasty uśmiech aktora.

Aktor, tudzież jego uśmiech, musiał również drażnić Rica, bo chłopak zeskoczył z kanapy i wyłączył odbiornik, po czym znów usadowił się na biurku.

– Myślę, że mój Alfa nie rozumie różnicy pomiędzy wilkiem uległym a Omegą. Teraz kiedy ja ją znam, chciałbym mu ją wyjaśnić. Polowanie to okazja, żebym mógł bez konsekwencji zmierzyć się z dominującymi osobnikami.

– Jesteś pewien, że to zadziała? Bo mnie Charles po prostu by udusił, żeby skrócić sobie męki.

Odchylił się, machając rękami.

– Hej, tu doktor psychologii. W każdym razie prawie. Oczywiście, że nie jestem pewien. Uważam, że może mi to pomóc. Uważam, że udział w polowaniu może pomóc również tobie pozbyć się lęku przed dominującymi wilkami.

– Aha, na zasadzie wrzucenia dziecka na głęboką wodę, żeby nauczyło się pływać? Albo utonęło...

– E, no, nie aż tak brutalnie. Myślę, że jeśli twoja uwaga będzie na czymś skupiona, na przykład na odnalezieniu tego, co Angus i ta pradawna ukryli na terenie łowów, to lęk nie będzie taki silny. Zanim zdążysz się przejąć wilkami – pstryknął palcami – będziesz biegać razem z nimi, polując na skarb, i banie się ich wyda ci się głupie.

Popatrzyła na Rica uważnie. Charles kiedyś sugerował coś podobnego. Choć raczej nie brał pod uwagę udziału Anny w polowaniu.

– Aha, tyle że nie do basenu, tylko do oceanu. To jak wrzucenie dwulatka do oceanu. Pełnego rekinów.

Roześmiał się.

– Słuchaj, może i nie mam dużego doświadczenia w wilkołactwie, ale jestem dobrym obserwatorem. A mój promotor na uniwerku, czyli na uniwersytecie, twierdzi, że jestem geniuszem. Możesz do niego zadzwonić, potwierdzi. – Uśmiechnął się skromnie. – Oczywiście powie ci też, że zginąłem w tragicznym wypadku na nartach. Ale nieważne. Ważne, że powinnaś mnie posłuchać. My, wilki, jesteśmy odporniejsze psychicznie, niż gdy byliśmy ludźmi. Wilk żyje zawsze teraźniejszością, nie przejmując się przyszłością czy przeszłością. Twoja wilczyca pomoże ci opanować panikę, a polowanie pomoże jej pomóc tobie. Ostatecznie ty poczujesz się lepiej dzięki jej wsparciu.

– Uhm, o ile mnie nie zabiją – stwierdziła Anna.

– Przecież to bezkrwawe polowanie, takie są zasady. A widziałaś, jak wczoraj ta elfka ukróciła jęzor temu Francuzowi, czy to było już po twoim wyjściu?

– Widziałam. I to jest pradawna. Elfy to tylko rodzaj magicznych istot i Dana z całą pewnością do nich nie należy.

– Ale to ona ma pilnować, żeby wszyscy trzymali się zasad, więc będą grzeczni.

Wiedziała, że Charles nie będzie zachwycony jej pomysłem wzięcia udziału w polowaniu. Wypadki się zdarzają. A te celowe całkiem często. Charles ma wrogów, a co jej z tego, że z pewnością pomści jej śmierć? Nie chciała przysparzać Charlesowi dodatkowych nerwów.

– Słuchaj. – Ric spoważniał. – Isaac, mój Alfa, również bierze udział w polowaniu. Myślę, że zgodzi się nas pilnować. Nikt poza nami nie będzie współpracował, bo wyobrażasz sobie, żeby Alfy działały razem? Nasza trójka zyska większe szanse na zwycięstwo. I z nami będziesz bezpieczna.

– Wczoraj dwie osoby zostały ranne, bo mnie broniły – powiedziała Anna. – A poszłam tylko na zakupy.

– Ktoś chciał ci zrobić krzywdę?

Wiedziała, że Charles dzwonił wieczorem do Isaaca z ostrzeżeniem, że wampiry wzięły ją na cel raczej ze względu na to, że jest Omegą, a nie że jest towarzyszką Charlesa. Najwyraźniej Isaac postanowił zachować tę informację dla siebie.

– Powinien ci powiedzieć – oświadczyła i zajęła się tym niedopatrzaniem.

– Postrzegają nas jako słabeuszy – mruknął Ric ponuro, kiedy skończyła. Zdziesiątkowali orzechy, zjedli lunch dostarczony im do gabinetu przez wilki Angusa, a potem znaleźli tajny zapas mieszanki studenckiej. Ric wybrał kilka suszonych brzoskwiń i zajadał je, podrzucając każdą i łapiąc w powietrzu prosto do ust. – Może nie tylko moim wilkom należy uświadomić prawdę, ale wszystkim? W naszym świecie łąka bezbronności to zagrożenie samo w sobie. Czyni z nas zwierzynę.

– Hm, jeśli twój Alfa nie postrzegałby cię jako superuległego wilka, pewnie powiedziałaby ci o zagrożeniu ze strony wampirów, a ty byłbyś bardziej czujny – zgodziła się Anna.

Rzucił w jej stronę kilka chipsów bananowych i ona również złapała je bez użycia rąk.

Zasalutował jej.

– Ale muszę stwierdzić, że w sumie to do du... beznadziejny sposób chronienia nawet uległych wilków. Przecież to nie dzieci, tylko wilkołaki.

Zamknął oczy, podrzucił zurawinkę, kłapnął zębami i połknął owoc.

– Mówisz, że jesteśmy jak uległe wilki, tylko nie musimy słuchać. Ciekawe, czy istnieją też dominujące wilki, które nie mają instynktu opiekuńczego.

– Istnieją.

Anna podniosła wzrok, ale Ric musiał się cały odwrócić, żeby zobaczyć stojącego w drzwiach Chastela.

– Nazywają nas bestiami. – Francuz uśmiechnął się, spoglądając na Annę wygłodniałym wzrokiem. – Boisz się mnie, dziewczyneczko?

Rica mogłoby w ogóle nie być w gabinecie, bo Chastel całą uwagę skupił na Annie i tylko ją pożerał wielkimi, złotymi oczyma. Lekki rumieniec na policzkach oznaczał, że jest podniecony, i przywiódł Annie na wspomnienie Justina, wilkołaka, który ją Przeistoczył. Tak właśnie wyglądał tamten, zanim...

Przełknęła z trudem ślinę przez ściśnięte gardło. Ten wilk wypatrzył właśnie swoją ofiarę. Ale ona nie zamierzała nią być. Ani dla niego, ani dla nikogo innego. Już nigdy więcej.

Przyzwała swoją wilczycę, nie na tyle, by się przemienić, ale żeby zaczerpnąć od niej odwagi i osadzić się w sobie. Kiedy nogi przestały się jej trząść, wstała, a wszystko to w ciszy nabrzmiałej jak przed burzą. Nie spieszyła się z odpowiedzią – on wykazywał się cierpliwością dobrego łowcy.

– To ty powinienes się bać – oświadczyła rzeczowym tonem, starając się dać do zrozumienia, że się go nie boi. Ponieważ bała się Chastela i nie mogła zaprzeczyć wprost temu uczuciu. Jednakże mogła kłamać, nie mówiąc nieprawdy. – Tknij mnie,



a Charles złapie cię i żywcem wyssie szpik z twoich kości, rozkoszując się twoimi wrzaskami. – Przywołała nauki z dwóch lekcji aktorstwa, jakie wzięła, i uniosła kąciki warg. – A ja chętnie na to popatrzę. – Oblizwała usta.

Uśmiech zszedł mu z twarzy. Warknął.

Nie była bezbronna. Nie tak jak w Chicago, gdy Justin ją złapał, czy później, gdy wataha pomagała naginać ją do jego woli. W tym pokoju znajdowała się poza nimi tylko jedna osoba, Ric, a on pomoże jej, nie Chastelowi. Chastel z całą pewnością pokonałby ją, a nawet ją i Rica, ale Anna nie pozwoliłaby mu wyjść z tego cało. A resztę załatwi Charles. Wilczycy spodobał się ten plan i lęk odpłynął. Anna stanęła stabilnie na lekko rozstawionych nogach, gotowa na walkę i śmierć.

Istniało tylko tu i teraz, pomiędzy jednym oddechem a drugim, a to nie pozostawiało przestrzeni na strach.

– Twoja wampirka była urocza. Zginęła zdecydowanie zbyt szybko. – Anna zamarkowała ruch, jakim złamała krwio pijczyńki kark. – Liczę, że ty zapewnisz mi więcej rozrywki.

– Moja wampirzyca? – Machnął ręką ze zniecierpliwieniem. – Jesteś głupia, a twój towarzysz to bezmyślny kark bez grama mózgu. Tępe narzędzie w rękach tatuśka, kundel, który aportuje i zabija na jego rozkaz.

– Naprawdę tak uważasz? – Rozpromieniła się. – Och, to dopiero głupota.

Ric ręką poza polem widzenia Francuza dawał Annie gorączkowe znaki, żeby przestała drażnić Bestię. Miała świadomość, że to, co robi, jest głupie, ale Ric nie wiedział, że jej alternatywą było jedynie skulenie się w kącie. Więc prowokowała Chastela.

– *Salope* – warknął Chastel.

Na tyle to znała francuski.

– Dziękuję.

I nagle – bo ani nie widziała, jak nadchodzi, ani nie słyszała – ujrzała stojącego za Chastelem Charlesa.

– Uważaj, kogo nazywasz suką, *mon cher* Jean – powiedział głosem zbyt spokojnym, żeby kogokolwiek zmylić. – Ktoś mógłby uznać to za obelgę.

Chastel odwrócił się do Anny plecami, żeby stawić czoła groźniejszemu przeciwnikowi.

– O, o wilku mowa. Twoja kobieta mówi, że dopadniesz mnie i żywcem wyssiesz mi szpik z kości.

– Naprawdę? – Charles spojrział na nią z uznaniem, którego nie dostrzegłby na jego kamiennym obliczu nikt poza nią. Jego głos zabrzmiał pieszczotliwie i był skierowany tylko do niej. – Chciałabyś tego, kochanie?

Klasnęła rękami pod podbródkiem jak gwiazda filmu niemego.

– Och tak, tylko pod warunkiem, że będę mogła popatrzeć.

Charles zaśmiał się i w ostatniej nucie dźwięku okrążył Chastela, wślizgując się pomiędzy niego i Annę. Już się nie śmiał.

– Wynoś się – rzucił.

Nie widziała twarzy Charlesa, ale Chastel drgnął i spuścił wzrok. Zacisnął pięści, lecz to nie pomogło. Cofnął się machinalnie. Z cichym warknięciem odwrócił się na pięcie i odmaszerował.

Charles przekrzywił głowę, wsłuchując się w oddalające się kroki.

– Żywcem? – powtórzył pytająco.

– Kobiety to krwiożercza płeć – ogłosił smutno Ric. – Łatka przykleja się do nas, ale to tylko dlatego, że one stoją za nami i szepczą do ucha: „Zabij. Zmiażdż”.

Anna uznała, że czas najwyższy na prezentację.

– Charles, to Ric... Wybacz, nie zapamiętałam twojego nazwiska.

Ric zeskokczył z biurka, gdzie przyczał się, gotowy w razie potrzeby runąć na przeciwnika, i wyciągnął rękę.

– Postinger. Heinrich Postinger.

Charles uściśnął mu dłoń.

– Charles Cornick.

Ric spojrział na Annę.

– Twoja buntowniczość jest godna podziwu, ale nie było to najmądrzejsze zagranie. Teraz weźmie cię na cel i nie odpuści. Nie ma innego wyjścia.

– Ric jest psychologiem – wyjaśniła Anna.

– I tak wziął ją na cel, niezależnie od jej zachowania – powiedział Charles.

– Ha, ale teraz mam przynajmniej satysfakcję, że aktywnie się do tego przyczyniłam. Lepsze to niż świadomość, że ściga mnie tylko dlatego, że uciekam jak tchórz.

– To prawda – zgodził się Charles i pocałował ją. – Tak jest lepiej. Muszę wracać, wszyscy nadal siedzą w sali i czekają na mnie. Czy możesz, proszę, tym razem nie zapomnieć o zamknięciu drzwi? Nie zdadzą się na nic niezamknięte, O Kobieto, Która Nie Jest Tchorzem.

– Oczywiście – oświadczyła Anna i w nagłym przypływie pewności siebie wspięła się na palce i pocałowała Charlesa w podbródek, bo tylko tam dosięgnęła. Nie pomógł jej, ale oczy mu się śmiały, kiedy opadła na pięty.

– Świetnie – powiedział, nie wiadomo, czy odnosząc się do pocałunku, czy zgody za zamknięcie drzwi, które zostawił za sobą otwarte.

Sięgał do klamki, kiedy coś sobie przypomniała.

– Nie wiedział nic o wampirach. – A gdy Charles odwrócił się do niej, dodała: – Powiedziałam, że zabiłam jednego z jego wampirów, ale on nie miał bladego pojęcia, o czym mówię.

– Nie podejrzewałam raczej Chastela o posługiwanie się wampirami, ale dobrze wiedzieć – skomentował Charles,

uśmiechnął się do niej na pożegnanie, skinął Ricowi głową i zamknął za sobą drzwi z drugiej strony.

Odczekała chwilę.

– Anno. – Głos Charlesa dobiegł z drugiej strony metalowej płyty doprawiony zniecierpliwieniem.

Anna wyszczerzyła się do Rica i przekręciła klucz w zamku. Charles stuknął dłonią w drzwi i odszedł. Nie słyszała, jak idzie, ale czuła zwiększający się między nimi dystans.

Postawienie się Chastelowi poprawiło jej nastrój, nawet jeśli wystąpiła przeciwko niemu tylko słownie. Miała już dość bania się własnego cienia, a tu proszę, przez całą chwilę nie bała się wcale. Podobało się jej to uczucie.

Pomyślała, że skoro pradawna ma nadzorować polowanie, a Charles będzie tam jako obserwator – on i Angus w roli gospodarzy mieli nie brać w nim udziału – to będzie na tyle bezpieczna, na ile się da w otoczeniu tyłu Alf.

Odwróciła się do Rica.

– Jeśli twój Alfa się zgodzi pełnić rolę naszego stróża, z przyjemnością włączę się do polowania.

– Zapytam go – obiecał.



Sunny skrzywiła się, spoglądając na paznokiec, z którego odprysnął lakier, kiedy przyzywała windę, by zjechać do podziemnego parkingu. Artur był tego wieczoru zajęty sprawami wilków, wobec czego postanowiła zjeść kolację ze znajomymi.

Nie miała bardzo bliskich przyjaciółek, bo trudno wyjaśnić takiej, że mąż nie starzeje się, ponieważ jest wilkołakiem. A długoletni przyjaciele raczej zauważają tego rodzaju drobiazgi. Dlatego miała nieruchomości w różnych miastach

i po upływie jakichś dziesięciu lat przeprowadzała się gdzieś, gdzie nikt jej nie znał. Do poprzednich znajomych przez jakiś czas pisała listy czy maile, a potem pozwałała, by znajomość się urywała.

Kobiety, z którymi się umówiła, znała od dwóch lat. Wszystkie lubiły od czasu do czasu wyrwać się z domu bez mężów i partnerów i urządzić sobie babski wieczór. Poznała je w siłowni, nie miały wielu wspólnych zainteresowań, ale były zabawne, inteligentne i świetnie rozmawiało się z nimi na powierzchowne tematy. Pozwalały Sunny poczuć wspólnotę i odpędzić samotność.

Wyszła jednak przed deserem, bo nie ufała sobie – obawiała się, że nie powstrzyma się przed zamówieniem tego niesamowitego sernika, z którego słynęła restauracja. Nie utrzymałaby figury, gdyby sobie pozwalała na próbowanie czegoś, co mogło jej zbyt zasmakować. Poza tym zauważyła, że zapadał zmrok. Artur nie lubił, kiedy wracała za późno, bał się o nią.

Drzwi windy otworzyły się na poziomie, na którym zostawiła samochód. Światło przy windzie nie działało, więc pospiesznie ruszyła w stronę następnej lampy. Potem poczuła się głupio z powodu tego irracjonalnego niepokoju.

Po drugiej stronie parkingu jakaś para prowadziła rozmowę podwyższonymi głosami. Ani on, ani ona nie byli jednak zdenerwowani. Widocznie taka ich gra wstępna, pomyślała. Ona i Artur też się w ten sposób spierali dla przyjemności, rozpoznała ten ton.

Spojrzała w stronę głosów, lecz parę zasłaniał duży samochód, a zanim podeszła bliżej, trzasnęły drzwiczki i rozmowa umilkła. Zamruczał silnik i przejechało obok niej srebrne porsche. Reflektory oślepiły ją na ułamek sekundy. Zaskoczona, upuściła klucze.

Schyliła się, żeby je podnieść, ale ktoś ją uprzedził.

– Proszę pozwolić. – Mężczyzna był wyższy od Artura, choć nie tak szeroki w barkach. Wystraszyła się, jak każda kobieta sama w ustronnym miejscu z obcym mężczyzną. Zaraz jednak zobaczyła płaszcz nieznajomego – rzeźmieszki nie nosiły ubrań z drogiej wełny i białych lnianych koszul.

– Dziękuję. – Wzięła klucze z wyciągniętej dłoni w skórzanej rękawiczce.

– Ależ nie ma za co. Proszę wybaczyć wścibstwo, ale co taka piękna kobieta robi tutaj sama?

Jakaś część Sunny pojaśniała pod tym niekłamany podziwem. Wiedziała, że Artura martwi jej starzenie się, a to uznanie w ustach przystojnego mężczyzny było niczym balsam na jej ranę. Mężczyzna wyglądał na starszego od niej o parę lat i miał nienaganne maniery.

– Jadłam kolację z koleżankami. Mąż czeka na mnie w domu.

– Ach...! – Otworzył dłoń, jakby wypuszczał z niej coś niezwykle cennego. Zrobił to z takim wdziękiem, że przyszło jej do głowy, że pewnie jest aktorem albo tancerzem. – Powinienem wiedzieć, że taka kobieta nie może być wolna, ale cóż, nadzieja umiera ostatnia. Ma pani urzekający akcent, jest pani Brytyjką?

– Tak. Podobnie jak mój mąż. Dziękuję za klucze i komplement. – Uśmiechnęła się na odchodne i zdecydowanym krokiem ruszyła w stronę swojego samochodu, dając mężczyźnie jasno znać, że choć docenia jego podziw, nie jest zainteresowana. Uśmiech stał się cieplejszy, kiedy odwróciła się do nieznajomego tyłem, żeby otworzyć zamek.

Nacisnęła guzik w pilocie, otworzyły się drzwiczki i... urękawiczona dłoń zamknęła jej usta.

– Wybacz mi ten nieszkodliwy flircik – szepnął jej do ucha. – Uznałem, że zasługujesz na tę grzeczność. Żałuję, że nie mogę ci jej wyświadczyć, zapewniając łagodną śmierć. Zleceniodawca mnie zawiódł, więc nie obowiązują mnie już te jego, jakże

precyzyjne, wytyczne. Moi przyjaciele toną w smutku, a trochę zabawy poprawi im humory.

Krzyknęła, ale stłumiony przez dłoń dźwięk nie poniósł się daleko.

Wolną ręką pogładził Sunny po policzku. Kiedy znów zaczął jej szeptać do ucha, poczuła zapach mięty.

– Dopilnuję, żeby twój mąż dowiedział się, że ze mną nie flirtowałaś. Że byłaś mu wierna do samego końca. Myślisz, że to go pocieszy?

Był silny. Mimo że się wyrywała, przytrzymał ją bez wysiłku, a przecież codziennie ćwiczyła na siłowni. Wilkołak. Musiał być jednym z nich.

– Chodźcie, moje dzieci – powiedział, a Sunny zdała sobie sprawę, że nie jest tu sam. Słyszała innych, ale zobaczyła jedynie kobietę, która wskoczyła na dach jej samochodu. Piękną kobietę z włosami koloru miodu, zebranymi w koński ogon.

– Możemy pobawić się kolacją? – zapytała, a pod Sunny aż ugięły się nogi. Kobieta miała kły.

Nie wilkołaki. Wampiry.

– Zaraz się przekonamy, Hannah, czy jest jego towarzyszką, czy tylko żoną – powiedział jej porywacz.

– Czyli że tak. – Głos dobiegał z boku, ale Sunny nie widziała, do kogo należy. Poczuła za to, jak ktoś prostuje jej ramię i wbija kły w zagłębienie łokcia.

Bolało.



Teren łowiecki watahy Szmaragdowego Miasta znajdował się w dzielnicy magazynowej, która miała lepsze czasy za sobą. Hale na samym brzegu rzeki były jasno oświetlone i nawet jeśli

nie buzowały ruchem, z pewnością pracowały w nich pełne obsady. Im dalej od wody, tym magazyny wyglądały gorzej.

Kierując się wskazówkami Charlesa, Anna pokonała nierówną asfaltową drogę i dotarła do dwóch gigantycznych magazynów otoczonych wysokim ogrodzeniem z siatki, zwieńczonym gościnnie drutem kolczastym.

Okolica wyglądała, jakby przynajmniej od półwiecza nikt nie zajmował się tu działalnością przemysłową. Wszystkie sąsiadujące budynki robiły wrażenie opuszczonych. Jakby dla podkreślenia nędzy tego miejsca, w dachu jednego z budynków brakowało kilku arkuszy blachy.

Strażnicy przy bramie musieli rozpoznać jej samochód, bo od razu otworzyli, przepuszczając Annę. W miarę zbliżania się budynki rosły i rosły, a kiedy wjechała pomiędzy nie, zasłoniły prawie całkiem niebo, zostawiając wąski pasek granatu ze srebrzystym skrawkiem Księżycy Łowcy.

Na parkingu zdolnym pomieścić setkę samochodów stało ich trzydzieści, może czterdzieści, większość przy większej z hal. Anna również zaparkowała właśnie tam.

– Jesteś dzisiaj bardzo cicha – zauważył Charles.

Wbiła wzrok w dłonie, rozprostowała palce i zacisnęła je. Rozluźniła chwyt, kiedy kierownica zatrzeszczała.

Zamierzała zachować w tajemnicy swój plan przyłączenie się do polowania, ale w miarę, jak zbliżał się jego czas, wyskoczenie z tym przy wszystkich wydawało się jej coraz głępszym pomysłem.

– Coś mi chodzi po głowie... co prawdopodobnie ci się nie spodoba.

Popatrzył na nią przeciągle, długo, na tyle długo, że w końcu spojrziała na niego.

– Jestem dominantem – powiedział, jakby nie wiedziała. – To oznacza silną potrzebę chronienia moich bliskich.



Skrzyżowali spojrzenia. Nie odwróciła wzroku i uzmysłowiła sobie, że Charles cieszy się, że potrafi patrzeć mu prosto w oczy. Ją też to uradowało.

– Chcesz wziąć udział w polowaniu.

– Tak.

Spodziewała się, że natychmiast jej tego zabroni. Odkryła, że jakaś jej część pragnęła tego, pragnęła wykorzystać to jako wymówkę.

A on zapytał tylko:

– Dlaczego?

– Bo Ric uważa, że to może pomóc z... – Spuściła oczy, lecz podniosła je szybko i kontynuowała pewniej: – Z tym irracjonalnym lękiem, który ogarnął mnie wczoraj w sali konferencyjnej pełnej Alf gotowych pozabijać się nawzajem w mojej obronie. Czułam się przez to głupia i słaba. Już mniej się bałam, kiedy Chastel wszedł do gabinetu Angusa, a przecież miałam dużo więcej powodów do strachu.

Oczy Charlesa zapłonęły złotem, a kiedy się odezwał, jego głos był niższy i bardziej chrapliwy niż zwykle.

– To dlatego, że walczyłaś raz z Justinem, a wataha złapała cię i przytrzymała.

Anna przytaknęła nerwowo. Nie chodziło tylko o Justina i nie o jeden raz... Nie zamierzała mu jednak tego wyjawiać w chwili, gdy z jego oczu wyzierał brat wilk.

– Jak według Rica to ma pomóc?

– Będę skupiona na polowaniu. Ric uważa, że moja wilczyca pomoże, że powstrzyma mnie od panikowania.

– I jest psychologiem, tak?

Nie potrafiła powstrzymać uśmiechu.

– Prawie doktorem, jak mówi. Ale nie martw się, jego promotor twierdził, że jest geniuszem.

– Nie mogę wziąć udziału w polowaniu – stwierdził Charles ponuro. – Gdybym wygrał, to byłaby polityczna katastrofa.

Gdybym przegrał, jeszcze gorsza. Jeśli ty weźmiesz udział, niektórzy zapolują na ciebie zamiast na nagrodę. Dlatego że jesteś moją towarzyszką i dlatego że jesteś Omega.

– Mówisz o Chastelu.

– Nie tylko on tu jest wrogiem ojca. Sam też mam paru.

– Wiesz, myślałam o tym trochę. Ric też przyłączy się do polowania. Obiecał, że będzie miał na mnie oko, i uważa, że jego Alfa, jakiś Isaac, również zgodzi się mnie pilnować.

Charles skinął głową i otworzył drzwi.

– Charles?

Schylił się i zajrzał do samochodu.

– Mogę zapolować?

Uniósł brwi zdziwiony.

– Przecież to nie zależy ode mnie. Oceniłaś korzyści i możliwe problemy. To twoja decyzja. – Zamknął drzwiczki.

Anna odpięła pasy i wysiadła.

– A co z „jestem dominantem i mam silną potrzebę chronienia bliskich”?

Przysiadł bokiem na masce.

– Jeśli mogłoby ci to pomóc, zabiłbym każdego wilka, który tu jest. Ale są rzeczy, które musisz zrobić sama, a wtrącanie się to nie chronienie, nie według mnie. Najlepiej mogę cię chronić, zachęcając, abyś uczyła się radzić sobie sama. – Uśmiechnął się żałośnie. – Nie powiem, żeby mi się to podobało. Ale będziemy z Daną nadzorować polowanie, a na dole przypilnuje cię Ric i jego Alfa, więc będziesz tak bezpieczna, jak możesz być na polowaniu z bandą Alf. Zabiłaś wampira, zabiłaś wiedźmę, nie jesteś bezbronnym dziewczątkiem.

Wyprostowała się. Jego wiara w nią dodała jej odwagi. Podeszła więc do Charlesa, objęła go i wtuliła twarz w ciepłą pachnącą pierś. Miał dziś na sobie jedną ze swoich ulubionych flanelowych koszul i czerwony T-shirt. Jedno i drugie miękkie i miłe.

– Jesteś niesamowitym mężczyzną, Charlesie Cornicku.

Otoczył Annę ramionami i wsparł podbródek na czubku jej głowy.

– Wiem – rzucił lekko. – I zwykle niedocenianym przez tych, którzy mnie mało znają.

Dźgnęła go palcem i uniosła twarz.

– I zabawnym. Choć moim zdaniem i ta cecha twojego charakteru jest niedoceniana, nawet częściej niż twoja niesamowitość.

– Niektórzy w ogóle jej nie zauważają – mruknął z udanym rozżaleniem.



Główne pomieszczenie większego magazynu miało ponad sześć metrów wysokości i pomieściłoby trzy razy tyle wilkołaków, ile postanowiło wziąć udział w polowaniu, i jeszcze zostałyby miejsce. Reszta wilków, zdecydowana większość, stała na platformie trzy metry nad nimi. Wszyscy jeszcze w ludzkiej formie. Jedną ścianę pomieszczenia zajmowały rzędy płaskich ekranów, na razie wyłączonych.

– Podczas polowania obowiązuje zasada „bez rozlewu krwi” i zasadę tę będę egzekwowała – ogłosiła Dana, stojąca pośrodku platformy. – Wszelkie powierzchnie tutaj, ściany, podłogi, a także ziemia pod nami, powiedzą mi, jeśli pojawi się krew. Zaczynacie jako ludzie, zmieniać się, gdy zabrzmie sygnał. Kilka dni temu zostały tu ukryte trzy skórzane torby pełne kiełbasek wieprzowych, a w jednej z nich znajduje się także pierścionek z dwukaratowym rubinem gwiazdzistym, którą to nagrodę zapewnił Marrok.

Kiedy mówiła, na monitorach pojawił się obraz kobiecej dłoni z pierścionkiem na palcu. Oprawa była na tyle prosta, że

mógł nosić go również mężczyzna. Najpiękniejszy element stanowił kamień, rubin o głębokiej barwie i prawie białym asteryzmie.

Klejnot był piękny i z pewnością bardzo wartościowy, ale Anna przypuszczała, że żadna z osób stojących wraz z nią na drewnianej podłodze nie przyszła tu dla nagrody. Liczyło się polowanie. Jak często Alfamy mają okazję rywalizować z innymi Alfami, nie narażając przy tym tych, których muszą chronić?

Angus zaczął mówić, gdy pierścionek był nadal widoczny na ekranie.

– Nasz teren łowiecki obejmuje dwa magazyny połączone ze sobą siecią podziemnych tunelów. W tym budynku znajduje się sześciopoziomowy labirynt nadziemny, w drugim czteropoziomowy, do tego każdy posiada trzy kondygnacje oryginalnych piwnic plus dwie, które zbudowaliśmy już my. Trzy torby zostały ukryte na tym terenie, w jednej znajduje się pierścionek.

Anna zerknęła na stojących wokół niej ludzi. Przyszedł Chastel, Michel i kilka hiszpańskich wilków, które poznała w restauracji. Artur jednak stał za Daną, pośród tych, którzy nie brali udziału w polowaniu.

– Po znalezieniu torby – kontynuował Angus – przynosicie ją tutaj. Kto znajdzie torbę, zachowuje ją, nie wolno mu jej ukraść. Jest nietykalny. Mamy monitory, mamy ukrytych obserwatorów, a Dana nałożyła na torby dodatkowo zaklęcie, żeby zapobiec kradzieży. Każdy, kto spróbuje odebrać znalazcy zdobycz, zostanie wyeliminowany z konkurencji, a torbę odzyska ten, kto ją znalazł. Magia Dany zapobiega również jej otworzeniu. Gdy wszystkie trzy torby dotrą do nas, włączymy sygnał, który będzie słyszalny na każdym poziomie. Wtedy wszyscy wracają tutaj, a Dana otworzy torby i ogłosimy zwyciężcę.

Potem Angus odpowiedział jeszcze na kilka pytań i nadeszła kolej Charlesa. Charles spojrział na Annę, potem na stojących

przy niej Rica i jego Alfę.

– Polowanie rozpoczęte! – ogłosił.

Rozległ się metaliczny dźwięk gaszonych świateł. Anna na wpół zerwała z siebie koszulkę, zanim jeszcze zapadła całkowita ciemność. Monitory zgasły, widoczne były jedynie małe czerwone litery w rogu każdego, które nagle stały się jedynym źródłem światła w pomieszczeniu.

Wokół rozlegały się odgłosy rozdieranej odzieży i stłumione stęknięcia bólu – to kilkadziesiąt wilkołaków rozpoczęło przemianę z ludzi w coś więcej. Śmiejąc się bezgłośnie, Anna zdjęła szybko spodnie, buty, skarpetki i bieliznę, a potem dopiero zaczęła przemianę.

Poczuła rozlewającą się falę bólu, która miała źródło w krzyżu i, wirując, rozprzestrzeniała się aż po czubki palców. Młazujące pyknięcia oznajmiały przekształcanie się stawów i kości, gdy z jej skóry wynurzała się wilczyca. Pojawiały się pazury, kłanice, mięśnie. Czuła strugi sierści spływającej jej po twarzy wraz z wilgocią ze łzawiących oczu. Siła przetoczyła się po niej jak przypływ i w końcu Anna z pomrukiem wysiłku dźwignęła się na cztery łapy.

W pomieszczeniu znajdowało się zbyt wiele wilków, by wyłowić jakiś zapach, i nie widziała jeszcze wyraźnie, na wpół oślepiąca ostatnią falą bólu. Otrząsnęła się, odrzuciła łeb do tyłu i zawyla.

Jako jedyna.

Przemieniła się pierwsza. To musiał być dar brata wilka, korzyść z więzi partnerskiej, bo nigdy wcześniej przemiana nie trwała tak krótko. Mogłaby już rozpocząć polowanie, ale Ric i jego Alfa jeszcze nie skończyli, stanęła więc przy nich, gotowa ich bronić, gdyby zaszła taka potrzeba.

W końcu jeden po drugim wilki zaczęły wstawać. Kiedy podchodziły bliżej, odsłaniała kły i zostawiały ją w spokoju.

Isaac, Alfa Rica, biały, niewiele od Anny większy wilk polarny, wstał i teraz oboje czekali na Rica, który zakończył przemianę parę minut po nich i stanął na drżących łapach, niczym nowo narodzone jagnię. Nie miał jeszcze wiele doświadczenia i nie czekał, aż połączenia mózg-mięśnie ustalą się na nowo. Podparła go barkiem, pomagając zachować równowagę.

W ludzkiej formie Ric był przeciętnego wzrostu i budowy, nawet może szczupły. Ale wilk należał do tych większych, zdecydowanie większych od niej czy Isaaca. W ciemności Anna rozróżniała dobrze kształty, ale nie kolory. Sierść Rica była kilka odcieni ciemniejsza niż Isaaca i jaśniejsza niż jej, ale nie widziała, czy jest szara, brązowa, czy ruda.

W końcu Ric otrząsnął się, jakby wyszedł z wody, a Alfa, potraktowawszy to jako sygnał, skoczył naprzód. Anna i Ric ruszyli za nim. Początkowo biegli przez korytarz i wąską klatkę schodową w dół, a zapach powietrza zmienił się ze świeżego w zatechły.



Po chwili w oczach wyostrzonych wilczą magią nieprzenikniona ciemność zaczęła rozpadać się na czarne i czarniejsze plamy, które nabierały kształtu. Dziura w dachu wpuszczała do środka światło gwiazd, a na monitorach migają pomarańczowe, czerwone i złote sylwetki wilków śledzonych w labiryntach przez kamery na podczerwień, rozjaśniając pomieszczenia ciepłym blaskiem.

Nie widział Anny, ale brat wilk powiedział mu, że dokończyła już przemianę. Jako pierwsza. Spodziewał się, że natychmiast ruszy, jednak czekała.

Na swoich stróżów, podpowiedział brat wilk zadowolony. Choć ogólnie nie był zadowolony ani z tego, że Anna bierze

udział w polowaniu, ani z tego, że sam został z niego wykluczony, szczególnie że gdzieś tam biegał samopas Chastel. Trzymała go w ryzach jedynie świadomość, że Anna jest pod opieką sprzymierzeńców.

Odgłosy bólu przeradzały się w wycie i drapanie pazurów o drewno, aż wreszcie ostatni z wilków dokonał przemiany i w pomieszczeniu zaległa cisza. Charles usłyszał szelest, kliknięcie i stłumione światło rozjaśniło mrok.

– Wszędzie indziej nadal jest ciemno – zastrzegł Angus. – Trochę minie, zanim wróci pierwszy, więc nie musimy siedzieć w egipskich ciemnościach. Chodźcie, moje wilki ustawiają stoły i krzesła w głównym pomieszczeniu, skąd będziemy obserwować przebieg polowania.

Trochę to trwało, ale w końcu widzowie zaczęli rozróżniać przyjaciół i wrogów nawet w podczerwieni. Wybuchali śmiechem, kiedy łowcy uruchamiali pułapki, wpadając do wody, śmieci czy wypełniacza kukurydzianego. Niespodziewanie opadały na nich sieci, w jedną schwytało się aż sześć wilków, choć przeznaczona była dla pojedynczej ofiary. Po chwili nie została z niej nawet jedna dłuższa nitka.

– Oto, jak zabić bezbronną siatkę – skomentował Artur kpiąco, a jego brytyjski akcent wybił się ponad hałas.

Charles stał z tyłu ze splecionymi na piersi ramionami i nie odrywał wzroku od grupki trzech wilków, śledząc ich postęp na kolejnych monitorach.

Nagle Artur poderwał się z krzesła i zachwiał, wywracając stół. Siedzące przy nim wilki obróciły się do niego, warcząc zaskoczone, ale wydawał się ich nie zauważać.

– Sunny? – powiedział głosem łamiącym się jak u chłopca przechodzącego mutację.

Protesty wilkołaków urwały się jak nożem uciął. A kiedy oczy Artura uciekły w tył głowy, a on sam runął, jeden z nich złapał go, powstrzymując przed upadkiem na podłogę.



## 9

**K**tórédy teraz? Którédy? Anna wywiesiła język dla ochłody, pozostawiając decyzję kompanom. Oddech śpiewał jej w gardle, a podniecenie przyprawiało o drżenie.

Polowanie.

Nie miało znaczenia, że zew księżycy był tylko echem w jej sercu ani że nagrodę stanowił worek z psującą się od dwóch dni kiełbasą, który mógł, albo i nie, zawierać pierścionek. Po raz pierwszy tak naprawdę cieszyła się polowaniem, mimo że nawet nie miała przy sobie Charlesa.

*To dlatego, że jesteśmy przy tobie – przekazał jej brat wilk. Na tym polega nasze połączenie. Nigdy nie jesteś sama. Nigdy nie będziesz, dopóki żyjemy.*

*Wspaniale* – odpowiedziała.

Dość długo biegli, kierując się zapachem Angusa, aż dotarli do miejsca, gdzie, podświetlona małym światełkiem awaryjnym, wisiała karteczka z napisem: „To nie ja je ukryłem. Angus”. I sądząc po zapachach, nie oni jedni dali się nabrać.



Zresztą kiedy wracali po swoich śladach, tą samą drogą podążał kolejny wilk.

Ric pochwycił inny trop, prawdopodobnie należący do wilka z watahy Angusa, choć nie rozpoznała, do którego. Trzymała się ogona Rica, kiedy Isaac uderzył ją barkiem w bok, popychając na ścianę. W tej samej chwili brzęknęła sieć i Ric zawisł w uroczym tobołku nad ziemią.

Podroczyli się z bezradnie wiszącym Omega, ale szybko uwolnili go, rozrywając linki zębami. Kawałek dalej natknęli się na innego wiszącego wilka – ten dyndał łbem w dół z kanału, który biegł kilka piętér w górę, zapewniając dopływ świeżego powietrza w piwnicach. Isaac wydobył z gardła dźwięk, który brzmiał współczująco, choć pewnie Alfa nie miał w sobie za grosz współczucia dla nieszczęśnika. Obcy wilk warknął na nich, kiedy przeszli obok, zostawiając go za sobą, a Isaac przez jakiś czas wydawał się wielce zadowolony.

Anna podchwyciła zapach Moiry i poprowadziła ich tunelem na tyle wąskim, żeby dobry humor Isaaca ulotnił się zupełnie, a Ric musiał się w nim wręcz czołgać.

Przejście zaprowadziło ich do małej, dusznej klitki. W czasie gdy ona i Isaac kaszleli, dusząc się, Ric rozwalił drewnianą przegrodę z izolacją przeciwwilgociową, która tamowała dopływ powietrza. Musieli zawlec podduszonego Isaaca za kark w miejsce, gdzie tlenu było więcej, choć smrodek nie zachwycał nawet wilków.



– Czy ktoś z obecnych ma numer telefonu towarzyszki Artura? – warknął Charles. Nikt się nie odezwał, wybrał więc numer Brana, żeby ten mu go podał.

– Co się stało? – zapytał Bran, odebrawszy po pierwszym sygnale.

– Właśnie usiłuję się tego dowiedzieć. Masz tutejszy numer do Sunny... towarzyszkę Artura?

– Tak, zaczekaj sekundę. – I dokładnie za sekundę Marrok wyrecytował ciąg cyfr.

– Dam ci znać, jak coś będę wiedział – rzucił Charles i zakończył połączenie.

Wybrał numer, ale biorąc pod uwagę stan Artura, nie był zaskoczony, że nie odebrała. Zadzwoił więc do kogoś innego.

– Namierz mi numer trzysta sześćdziesiąt, pięć-pięć-pięć, osiemnaście, trzydzieści cztery. Daj mi dokładne współrzędne GPS i adres, jeśli jakiś jest. – Rozłączył się, nie czekając na odpowiedź.

Artur był blady, spocony i chłodny. Drgał, poruszał się, ale pozostawał nieprzytomny.

Charles wiedział, że namierzenie telefonu bez pozostawiania śladu trochę potrwa. Sam również mógłby to zrobić, pod warunkiem że miałby komputer, dostęp do Internetu i kilka dni, wiedział jednak, że jego człowiek zrobi to lepiej. A czas nie był sprzymierzeńcem Sunny.

Minęło dwadzieścia, może dwadzieścia pięć minut, kiedy rozległ się dzwonek telefonu.

– Charles?

– Tak?

– Ten telefon znajduje się niecałe pół kilometra od twojego. Nie rusza się.

Charles zwrócił się do Angusa:

– Muszę to sprawdzić. Popilnujesz dla mnie Anny?

– Ja, moja wataha, Isaac, jego Omega i pradawna, wszyscy będziemy jej pilnować – odrzekł Alfa watahy Szmaragdowego Miasta.



Znaleźli Sunny tuż za ogrodzeniem, jakieś sto metrów od bramy – nagą, zmalretowaną, martwą. Na wypadek gdyby nie zauważyli ciała, kilka kroków dalej zostawiono niebieskiego jaguara, prawdopodobnie należącego do niej. Drzwi od strony kierowcy stały otworem.

Ciało Sunny było jeszcze ciepłe, a uniesione powieki odsłaniały zamglone oczy.

Kłęczał przy niej duszek, jedna z istot leśnych. Rzadko je widywał, choć wyczuwał, gdy znajdowały się w pobliżu. Zjawa szczupłymi, ciemnymi dłońmi gładziła kobietę po policzku i gruchała łagodnie, więc Charles zrozumiał, że Sunny żyła, kiedy ją tu podrzucono. Płochliwa istota umknęła, gdy ludzie, którzy jej nie widzieli, otoczyli zwłoki. Otarła się o Charlesa, który poczuł, jak jego duszę dotyka jej żal.

*Biedactwo – powiedział duszek. Tak się bała, tak bardzo się bała. I czuła się taka opuszczona, taka samotna.*

Rozproszony tym Charles ledwie zdołał powstrzymać innych przed dotknięciem ciała Sunny.

– Poszukam zapachu – wyjaśnił. – Dowiem się, kto jej to zrobił. – Duszka nie było sensu przepytować. I tak mówiły, co chciały, czy pragnął to usłyszeć, czy nie.

Kiedy wilki się cofnęły, przytknął nos w zagłębienie pod uchem, gdzie zapach utrzymywał się najdłużej. Nie był zaskoczony tym, co wyczuł – znajomy wróg. Ile istot mogło grasować nocą, biorąc na cel wilkołaki i ich bliskich?

Nie dotykając ciała, przesuwiał się od jednego punktu płytko leżącej tętnicy do drugiego. Tkanka w miejscach żerowania wampirów była porozrywana, lecz sińce nie zdążyły się jeszcze pojawić. A żerowali na niej wszędzie.

Czuł strach Sunny, jej cierpienie, stał się świadkiem jej krzywdy. Sprawdził wszystko dokładnie, upewniając się, czy nie uzupełnili szeregów swej bandy. Ale tu też nie czekało go żadne zaskoczenie, była to ta sama czwórka, która napadła na Annę.

Brat wilk oszalał na myśl, że to mogła być ona! Że to ich Anna mogła tu leżeć.

Charles zamknął oczy i zmusił się do bezruchu. Długie, chłodne palce gładziły go po twarzy, śpiewając do wilka – co nie pomagało. Co leśny duszek robił w środku miasta? Charles chwycił się tej zagadki jako sposobu na oderwanie myśli od Anny.

Otworzył oczy i rozejrzał się. Wokół stało mnóstwo opuszczonych hal, a jeżyny, niesławny chwast Wybrzeża Północno-Zachodniego, porastały zaniedbane place, tworząc dogodne kryjówki dla kogoś, komu nie przeszkadzały ciernie.

Jedna tajemnica rozwiązana. Charles pozwolił, by jedna z pieśni dziadka omyła mu głowę, oczyszczając i wyciszając myśli. Udało się, mimo że duszek nieustannie go głąskał. Gdyby Charles był sam, odgoniłby zjawę – brat wilk nie znosił być dotykany, no chyba że robiła to Anna. Niestety, nikt poza nim nie widział istoty, a i tak Charles miał już reputację dziwaka. Nie chciał, żeby ludzie wiedzieli, że do tego wszystkiego jeszcze widzi niewidzialne istoty.

Zyskawszy jaką taką pewność, że brat wilk pozwoli mu zachowywać się przyzwoicie, wstał.

– Wampiry – ogłosił. – Zabierzcie ją do magazynu, do Artura.

Niewiele to pomoże Brytyjczykowi, ale liczyła się choćby świadomość, że nie jest już w łapskach krwiopijców.



Anna zadarła głowę i sfrustrowana przyglądała się dyndającej sześć metrów nad ich głowami torbie. Znalezisko wisiało w jednym z kanałów wentylacyjnych doprowadzających powietrze na ten poziom. Po przygodzie w dusznej klitce Anna nabrała przekonania co do niezbędności tych elementów wentylacji.

Kiedy tak się gapiła, jakiś wilk położył łapę na ich nagrodzie.

Ciemność nie pozwalała go zidentyfikować, nawet gdyby rozróżniała pozostałe wilki biorące udział w polowaniu. Wilk dał susa przez otwór znajdujący się piętro nad torbą, złapał zdobycz i zniknął w innym otworze piętro niżej, ale nadal sporo nad głową Anny. Bezradne patrzenie, jak ktoś kradnie nagrodę spod... w porządku, znad nosa było wkurzające.

Isaac parsknął zniesmaczony.

Nagle Annę otoczyła obecność brata wilka, a jego niepokój, strach i miłość były tak gwałtowne, że aż się zatoczyła na Isaaca – co bratu wilkowi wybitnie się nie spodobało.

Coś się stało. Jednak gdy próbowała się dowiedzieć, o co chodzi, brat wilk nie odpowiedział albo też nie potrafił powiedzieć.

Musiała wracać do Charlesa. Natychmiast. Problem w tym, że nie wiedziała za bardzo, jak to zrobić. Och, oczywiście mogła wrócić po własnych śladach, ale łazili po tym miejscu w kółko, a poza tym oznaczałoby to przeciskanie się przez tamten ciasny tunel.

Najlepiej iść w górę.

Pędziła z pełną prędkością, gdy wyprzedził ją biały wilk. Drugi siedział jej na ogonie. Isaac i Ric.

Isaac znalazł schody prowadzące na górę. Wybiegli na powierzchnię mniejszej hali, a kiedy chcieli wyjść przez wrota, drogę zastąpił im wilkołak w ludzkiej formie.

– Jeśli wyjdziecie, to odpadacie z gry – powiedział.

Isaac zmierzył go zimnym spojrzeniem i tamten spuścił wzrok i podniósł ręce w geście poddania.

– Hej, mówię tylko, co mi kazano. Wychodźcie na zewnątrz, odpadacie.

Wyminęli go i wypadli z magazynu. Ric aż kichnął z zadowolenia, że zostawili za sobą duszne pomieszczenia pod ziemią. Anna zaciągnęła się nocnym powietrzem i poczuła wampira.

Przystanęła i uważnie rozejrzała się w poszukiwaniu wroga. W końcu go ujrzała – stał po drugiej stronie ogrodzenia, jakieś sto metrów od nich.

Nie od razu skojarzyła elegancko ubranego, starszego mężczyznę z brutalnym zabójcą, którego widziała ostatnio, gdy usiłował wyssać z Toma krew. Lecz nos zadziałał szybciej niż oczy. Uszła dwa kroki, zanim zderzyła się z białym wilkiem, który skoczył przed Annę, żeby ją powstrzymać. On również był skupiony bez reszty na wampirze.

Martwiak zaśmiał się, czyniąc ręką gest. W tej samej chwili podjechał niebieski van i mężczyzna wsiadł do niego. Wóz ruszył, zanim trzasnęły drzwiczki.

Isaac zawarczał głucho do wtóru Annie. Czyli również wiedział, czym była ta istota. Ric spojrział na nich zdumiony, ale przecież sama Anna dopiero poprzedniego dnia po raz pierwszy zetknęła się z wampirem.

Pozostawanie w tym miejscu było bez sensu, więc Anna odwróciła się i ruszyła do większej hali, z której wydobywało się jasne światło. Przez cały ten czas boleśnie czuła obecność brata wilka.

W środku, w głównym pomieszczeniu, wilkołaki, które pozostały w ludzkiej formie, stały zbite w ciasną grupę, patrząc na coś w jej centrum. Było ich zbyt wielu, żeby była w stanie coś wyczuć.

Ubrania zepchnięto na kupę pod ścianę i chwilę zajęło jej odszukanie własnych. Zanim je wydobyła, pojawił się przy niej Charles. Nie spuszczał oczu z grupy pośrodku magazynu, a dziwna sztywność w jego ruchach wzbudziła niepokój Anny.

Tym razem jej ciało jeszcze boleśniej zaprotestowało przeciwko przemianie niż poprzednio. Anna, podobnie jak wszystkie wilki, nauczyła się nie hałasować za bardzo, przemieniając się, ale, do licha, to naprawdę bolało.

– Au, au, au – szeptała, kiedy jej ręce powoli, opornie przybierały kształt ludzkich dłoni. Zatknęła je pod pachy i przycisnęła ramionami, by złagodzić ból. Każda przemiana była inna, a Anna najbardziej nie znosiła tych, podczas których ręce stawały się ludzkie na samym końcu. W dłoniach jest mnóstwo zakończeń nerwowych, a każde z nich bolało osobno. Aż kręciło się jej w głowie.

Charles warknął, zły z powodu jej cierpienia.

Rozejrzała się, lecz nikt do nich nie podszedł. Ric i jego Alfa nadal przemieniali się po drugiej stronie sterty ubrań. Popatrzyła w żółte oczy Charlesa i znieruchomiała. Kąciki jego ust drgnęły. A potem jeszcze raz. Jakby miał tik nerwowy.

– Charles? – odezwała się jeszcze z chrypką po przemianie.

– Sunny nie żyje – odparł chrapliwie. Wiedziała już, że Charles znajduje się na krawędzi... czegoś.

Zamartwiała się tym całe pół sekundy, zanim dotarły do niej jego słowa.

– Sunny? Żona Artura?

Skinął ledwie dostrzegalnie, nie spuszczać oczu z jej twarzy.

– Wampiry. Znaleźliśmy jej ciało za bramą.

A wampiry to obserwowały, czekały, aż wilkołaki znajdą Sunny. I ten wampir w garniturze dopilnował, żeby Anna go zobaczyła. Patrząc w zdziczałe, złote ślepia Charlesa, uznała, że powie mu o tym za chwilę. Wampiry zdążyły się już oddalić.

Zapamiętała numery rejestracyjne, choć to nie miało znaczenia, bo van pewnie i tak był wynajęty.

Rozległo się wycie, żalodne, smętne, a kilka innych wilków podchwyciło żalobną pieśń, okazując współczucie temu, który stracił towarzyszkę. Wszystkie dźwięki wydały ludzkie gardła.

Charles podał jej rękę i Anna pozwoliła się podciągnąć na nogi. Jeszcze była trochę zeszywniała, a jemu z pewnością przydało się jakieś zajęcie.

Ośłonił ją swoim ciałem od reszty, wiedząc, że nie lubi świecić nagością przed nieznanymi. Większość wilkołaków przywykała do nagości w ciągu roku od Przeistoczenia, ale dla Anny nadal było to trudne. Nie ze względu na wstyd, po prostu warstwa ubrań dawała jej złudzenie osłony przed budzącym strach zainteresowaniem mężczyzn z poprzedniej watahy.

Złapała ciuchy i założyła je najszybciej jak potrafiła. Wsunęła stopy w tenisówki, a skarpety schowała do kieszeni.

– Co z Arturem? – zapytała.

Charles zamknął oczy i przyciągnął ją do siebie, wtulając nos w zagłębienie obojczyka, dysząc jej w szyję jak maratończyk po biegu.

– Niedobrze – mruknął. – I ze mną też.

Annę bolała skóra, bolały ją wszystkie kości i miała teraz ochotę na przytulanie jak ktoś po drzemce w pełnym słońcu na plaży bez kremu z filtrem. Ale Charles tego potrzebował, więc przyłgnęła do niego.

Sunny została zabita przez wampiry.

– Gdyby Sunny została przemieniona, byłaby Omegą – stwierdziła, choć w zasadzie było to pytanie.

– Tak.

Anna zadrżała, a Charles przytulił ją mocniej. Jej drażliwa skóra zaprotestowała, obolałe mięśnie syknęły z bólu, lecz wilczyca pragnęła się w nim pogрузić, dać mu poczucie bezpieczeństwa.





Była tu, żyła, była bezpieczna. Pozwolił, by jej bliskość, jej zapach odepchnęły od niego potrzebę zabicia czegoś.

Wiedział, że tuli ją zbyt mocno. Wiedział, że powinien dać jej czas, żeby doszła do siebie po przemianie, ale nie potrafił sobie odmówić. Odgłosy bólu, które wydawała podczas przemiany, pobudziły znów wilka. Brat wilk pragnął krwi lub seksu, ale nie mógł tego dostać. Ani krwi, ani seksu, dopóki się nie uspokoi. Brat wilk nie zrobiłby Annie krzywdy, lecz mógłby ją wystraszyć.

Przytulanie musiało mu wystarczyć i stopniowo, kiedy Igneła do niego coraz bardziej, brat wilk zaczął się wyciszać. Miało jednak minąć sporo czasu, zanim oddał pełną kontrolę Charlesowi. Widok cierpienia Artura nim wstrząsnął, zbyt łatwo przyszło mu wyobrazić sobie siebie na jego miejscu.

Ataki trąciły czymś dziwnym. Jakby skupiały się nie na tym, co trzeba, nie na właściwych ludziach, aby cokolwiek osiągnąć. Próba porwania Anny mogła mieć na celu żądanie okupu lub zatrzymanie jej jako zakładnika. Ale Sunny? Co można było zyskać na jej śmierci? Nie pojmował, po co brać na cel Omegi, szczególnie że jedna z nich nie była nawet wilkołakiem. Może więc chodziło o towarzyszek? Ofiarami napadów padły kobiety dwóch z trzech najsilniejszych wilków na zjeździe. Tylko co w ten sposób można było osiągnąć? Szczególnie że rozmowy przyniosły spodziewany skutek.

Nie potrafił rozgryźć, do czego dążyły wampiry – czy też ich zleceniodawcy. Nic tu nie pasowało.

Omega.

Anna uważała, że wampiry pracują dla wilkołaka. Jej przecuciu wagi dodawał bezpośredni kontakt z napastnikami.

Poza tym Charles mógł ufać jej instynktowi, skoro robił to brat wilk.

Bez względu na ostateczny cel Charles potrafił wskazać przynajmniej jeden powód, dla którego wilkołak wynajął kogoś do zamordowania Sunny i ataku na Annę. Wilk, szczególnie dominujący, miałby problemy z rozmyślnym skrzywdzeniem Omegi, nawet tej ludzkiej.

Może nawet Chastelowi nie przyszłoby to łatwo.

Charles zmusił się, żeby puścić Annę. Usiłował zignorować ulgę widoczną w jej postawie – przecież nie chodziło o niego. Ślady niedawnej przemiany jeszcze nie ucichły, jej ciało nadal było hiperwrażliwe i nie miała ochoty na kontakt fizyczny.

– Wróciliście jako pierwsi – powiedział. – Czemu przerwaliście polowanie?

Popatrzyła na niego dziwnie.

– Brat wilk mówił, że mnie potrzebujecie.

Nie miał pojęcia, co na to powiedzieć. Powinien przyznać, że nie wiedział, co knuje brat wilk? Czy to by zaniepokoiło Annę? Zanim podjął decyzję, od kręgu wilków wokół Artura oderwała się Dana i skierowała ku nim.

– Niepokoją się stanem Artura – mruknęła przyciszonym głosem.

Mówiła przez to, że nie ma tam wilka, który byłby w stanie opanować Artura, gdyby ten stracił zdrowe zmysły. Charles musiał wrócić i go pilnować.

– Już idę – powiedział.

– Ja też pójdę – zgłosiła się Anna. – Chyba nie zaszkożę?

Nie chciał, aby znalazła się tak blisko innych. Było ich zbyt wielu. Gdyby ją zaatakowały wszystkie naraz, nie dałby rady jej obronić.

Ale Omega by się tam przydała.

– Dziękuję – powiedział, tocząc wewnętrzną walkę z bratem wilkiem. – Twoja obecność z pewnością im pomoże.

Artur siedział na ziemi, tuląc w ramionach nieżywą towarzyszkę i szepcząc jej coś, podczas gdy reszta trzymała się na bezpieczną odległość. Twarz miał zalaną łzami, z nosa mu kapło.

– Sunny, moja kochana Sunny. Moja słoneczna dziewczyno.

Podniósł wzrok i spojrzał na Charlesa.

– Ona nie żyje.

– Tak – przyświadczył Charles.

– To wampiry mi ją zabrały – szepnął. A potem ryknął na cały głos, aż echo poniosło się po wysokim budynku: – Skrzywdziły ją!

– Wiem. Znajdę ich.

– Zabij ich. – Twarz Artura, wykrzywiona żalem, wściekłością i bólem, była prawie nierozpoznawalna.

– Zabiję.

Artur mocniej objął żonę, przyciskając jej głowę do swego ramienia.

– Nienawidziła tego, że się starzeje. – Kołysał ją jak dziecko. – Teraz nie musi się tym martwić. Moja biedna, słoneczna dziewczynka.

– Poradzi sobie – powiedział Angus do Charlesa, choć nie ściszył głosu. – Gdyby szaleństwo miało go zabrać, stałoby się to już do tej pory. A skoro nic mu nie grozi, może to dobry moment, żeby zabrać naszych rannych i przegranych z terenu polowania. – Przez chwilę przyglądał się Arturowi. – Arturze, pozwolisz, żebyśmy zabrali cię do domu? Zaraz zaczną się tu zbierać inni rozgrzani polowaniem.

Trup wydzielający silny zapach strachu i bólu prawdopodobnie nie przyprawiłby wilków o szaleństwo, ale lepiej było nie ryzykować.

– Tak. – Artur wstał, trzymając na rękach Sunny. Charles pomyślał, że Angus może na wyrost ocenił stan Artura.

Brytyjski Alfa chwiał się, a na jego twarzy malował się szok. Ale może lepiej zabrać go z dala od polowania.

Nie można było jednak puścić go samego. Nie przywiózł ze sobą nikogo z własnej watahy, co było, być może, deklaracją siły, a może zaufania. Wskutek tego jednak był teraz w obcym kraju sam ze swoją martwą żoną.

Angus spojrział na Charlesa przelotnie i może zobaczył w jego oczach panikę – Charles nie czuł się dzisiaj na siłach pocieszać Artura. W zasadzie nawet w najlepszych okolicznościach nie za bardzo się do tego nadawał.

Alfa watahy Szmaragdowego Miasta spojrział przez ramię na swoich ludzi.

– Znajdźcie Alana Choo. I sprowadźcie Toma. – Zerknął na Charlesa bardzo krótko, tylko żeby dać znać, że mówi do niego. – Kuzyn Alana prowadzi zakład pogrzebowy. Jego rodzina zajmuje się naszymi zmarłymi, wiedzą, czym jesteśmy, i mogą pomóc Arturowi. A skoro Tom i jego czarownica są w stanie przegonić bandę wampirów, dadzą sobie też radę z Arturem.

– Mówiłeś o mnie, Angusie? Byłem na zewnątrz. – Zwykle zwinne ruchy Toma wydawały się nieco sztywne, ale był to jedyny znak, że nie do końca wrócił do siebie po walce. Objął spojrzeniem Artura z Sunny na rękach. – Rozumiem. Posłałeś kogoś po Alana?

– Tak. Weź jeszcze dwa wilki, swoją czarownicę i Alana, powinien tu być lada moment. Dopilnujcie, żeby Artur został do rana w swoim domu.

Charles wyjął portfel, a z niego jedną z dwóch wizytówek Artura.

– Tu masz jego adres. I niech ktoś zabierze też stąd samochód jego żony. To ten niebieski jaguar, który stoi niedaleko bramy. Nie wiem, czym przyjechał on sam.

– Ale ja wiem. – Tom wziął od niego wizytówkę. – Zajmę się tym.

W parę minut wyprowadził Artura, zabrał ciało i odwołał dwa wilki z ich stanowisk. Wszystko szybko i zgrabnie, niczym chirurg.

Kiedy wrota się za nimi zamknęły, do pomieszczenia wpadł pierwszy zwycięzca. Charles rozejrzał się za Anną. Stała nieopodal i z poważną miną rozmawiała z Rikiem i Isaakiem.

Lepiej, że teraz rozmawiała z nimi niż z nim. Chciał ją od nich odciągnąć, zabrać do domu, do Montany, gdzie ani wampiry, ani ten, kto za nimi stał, nie mogły się dostać. Zamknąć Annę w domu i zabarykadować drzwi.

Tak, zdecydowanie lepiej, żeby chwilowo z nią nie rozmawiał.



Wilk, który wrócił, trzymał w pysku torbę. Anna nawet w ludzkiej formie wyczuła na niej zapach Moiry. Kiedy wilk zatrzymał się przy grupie, również i jego zidentyfikowała po woni. Był to ten sam nieszczęśnik, którego zostawili wiszącego w sieci na początku polowania.

– Tak, Valentinie, mój drogi – powiedział Isaac. – Widzę, że ją zdobyłeś. Gratuluję. – Pod uszczypliwym sarkazmem Anna wychwyciła nuty niechętniej wesołości. – A teraz zabierz ją stąd, cuchnie jak diabli.

Smród rozkładającej się wieprzowiny rzeczywiście był nieco przytłaczający.

Wilk wyszczerzył w uśmiechu zęby zaciśnięte na zdobyczy i oddalił się truchtem w stronę Dany i Angusa. Torba została odebrana i oznaczona markerem.

– Czyli już po rozmowach – stwierdziła Anna, wracając do wątku sprzed pojawienia się zwycięzcy. Charles nie opowiedział

jej o tym, co stało się podczas rozmów, może jeszcze nie zaakceptował porażki, ale Isaac wydawał się pewny.

– Wszystko jest możliwe – wzruszył ramionami – oprócz tego, że ktoś wprost sprzeciwi się Chastelowi. Spodziewam się, że wszyscy pojedą do domów, odrzuciwszy to, co zaproponował im Marrok. – Uśmiechnął się do niej, choć spod uśmiechu wyczierała ponurość. – Potem zadzwonią, żeby zawrzeć ciche umowy. Nie będą tak korzystne jak te, które moglibyśmy zawrzeć tutaj, ale może, może wystarczające, żeby zapewnić nam przetrwanie.

– Dlaczego nikt nie pozbędzie się tego Chastela?

– Bo jest tak dobry, jak twierdzi. Pola Europy pełne są trupów tych, którzy próbowali zabić Bestię. Może Marrok mógłby się z nim mierzyć, ale na terytorium Chastela nie postawiłbym na Marroka. Tutaj? – Znów wzruszył ramionami. – Cóż, Marroka tu nie ma, a wątpię, żeby Charles mu dorównywał.

– Już dwa razy zmusił Chastela do wycofania się – przypomniała.

– Kiedy Chastel poluje, nie dostaje się szansy, żeby stawić mu czoła – rzekł Isaac ponuro. – Nie w ten sposób zdobywa zwierzynę, chyba że są nią dzieci albo kobiety. Przez pierwsze sto lat swojej władzy zabił trzystu ludzi, o tylu wiemy, a pewnie było ich więcej. Wielu zamordował w biały dzień na oczach ich bliskich i przyjaciół. Strzelali do niego, tłukli go i nic. Pod koniec osiemnastego wieku Chastel zabijał we francuskiej miejscowości Gévaudan. Było tak źle, że chłopci przestali wychodzić na pola. Przestraszeni szlachcice organizowali polowania, wynajmowali łowców wilków i wybili wszystkie wilki w okolicy oraz wiele wilkołaków. Nawet sam król Francji włączył się w sprawę. Legenda głosi, że pewien człowiek, Jean Chastel, którego żona została zabita, odlał srebrną kulę z krzyża, który był rodzinną pamiątką. Poświęcił ją trzy razy u proboszcza i z niewielką grupą myśliwych wytropił bestię.

Kiedy wyłoniła się, wielka i przerażająca, strzelił i zabił ją jedną kulą. Taki był koniec Bestii z Gévaudan.

– A co tak naprawdę go wtedy powstrzymało?

– Marrok – rzekł Ric.

– Nie był jeszcze wtedy Marrokiem – sprostował Isaac. – Myślę, że było to tak, że Bran Cornick wytropił Bestię i powiedział mu, że jeśli nie przestanie, skończy w rękach wiedźm. – Alfa uśmiechnął się lekko. – W tamtych czasach wiedźmy były potężniejsze niż dzisiaj i z niczego nie ucieszyłyby się bardziej niż z torturowania i wykrwawienia wilkołaka, a potem rozebrania jego trupa na części użyteczne przy zaklęciach. Chastel miał wtedy sto lat, Bran... był po prostu Branem. Wtedy groźba zadziałała. Dzisiaj Chastel jest silniejszy niż wtedy, sprytniejszy i nienawidzi Brana tak samo, jak każdy dominujący wilk nienawidzi tego, kto go poniży.

– Robi to, żeby odegrać się na Branie?

Isaac pokręcił głową.

– To pewnie tylko jeden z wielu powodów. Kolejny to to, co powiedział, żeby Bran trzymał się z daleka od jego terytorium.

– Czy śmierć Sunny coś w tym wszystkim zmienia? – Anna nadal nie mogła znaleźć powodu, dla którego zabito Sunny.

Przybył kolejny wilk, zmęczony, kulejący, ale niosący w pysku torbę. Nie zwrócił na nich uwagi i chyba tylko Anna go zauważyła.

Isaac wzruszył ramionami.

– Jeśli cokolwiek, to może być ostatnią kroplą goryczy, która przepełni czarę. Artur jest postrzegany jako najsilniejszy poplecznik Charlesa, jedyny z nas, którego terytorium jest wystarczająco odległe, żeby ryzykować niezadowolenie Bestii. Nie wiem, czy to prawda, a jeśli, to może raczej w sensie „wróg mojego wroga”, Artur i Bran nie zgadzają się wielu kwestiach. Ale teraz to nie ma znaczenia. Artur przez parę tygodni nie będzie w stanie się w nic włączyć. Utrata towarzyszki jest... –

Przez twarz przebiegł mu skurcz, z wysiłkiem odzyskał panowanie nad sobą i przywołał na powrót dobrotliwy wyraz twarzy. – Teraz z pewnością nie będzie wsparciem dla Charlesa.

Pierwszy wilk zwycięzca zdążył się w tym czasie przemienić i nagi przegrzebywał górę ubrań pod ścianą. Ten widok przypomniiał Annie o skarpetkach w kieszeniach. Niewygodnie było jej w trampkach założonych na bosc stopy. Zzula więc buty i naprawiła niedogodność.

Kłęczała, wiążąc trampki, kiedy do pomieszczenia wpadł trzeci zwycięzca. Nigdy nie widziała go w wilczej formie, ale nos powiedział jej, kto to – Chastel.

Gdy tylko wszedł, ktoś uruchomił alarm i cały magazyn rozbrzmiał niskim dźwiękiem trwającym pięć sekund. Potem przerwa i znów pięć sekund. Sygnał, że wszystkie torby zostały odnalezione.

Anna prawie tego nie słyszała, zagapiona na Chastela. Był największym wilkiem, jakiego w życiu widziała. Ric był ponadprzeciętnie duży, Charles jeszcze większy od niego, ale obaj przy Chastelu wyglądali jak podrośnięte szczenięta. Wyglądał jak bernardyn w zgrai owczarków niemieckich, jak statystyczny element odstający. Miał sierść w różnych odcieniach brązu – doskonały kamuflaż w lesie.

Ich spojrzenia się skrzyżowały. Na widok tych szalonych żółtych ślepi cofnęła się machinalnie. Wpadła na Isaaca, który przytrzymał ją za ramiona i pomógł wstać. Chastel od wejścia skierował się w ich stronę.

Zatrzymał się przed Anną, upuścił torbę i cofnął się zapraszająco.

– Mam towarzysza – zaznaczyła i naraz zdała sobie sprawę, że Ric miał rację co do zbawiennego wpływu polowania. Stała w pomieszczeniu pełnym wilków i wcale się nie bała. W każdym razie tutaj, gdzie był Charles i przyjaciele, nieważne, że nowi. – I niczego od ciebie nie chcę.



Rozwarł paszczę i wywalił jęzor, jakby się do niej śmiał. Upiorny sukinsyn. Podniósł worek, wyminął ich i krok za nimi obrócił się, puścił torbę i skoczył na nią. Był niewiarygodnie szybki. Szarpnęła się do tyłu, wpadając na Isaaca, który stał jak wryty.

Nie miała szans zejść Bestii z drogi, czekała, aż jego kły zatopią się w jej ciele. Krew uderzyła jej do głowy, zrozumiała, że zaraz zginie. Że Chastel zabije ją na oczach tych wszystkich wilków i nikt nie zdąży mu w tym przeszkodzić.

I nie bała się. Bo to nie bliskość śmierci budziła w niej lęk. Wyzwalaczem strachu zawsze była bezsilność.

Chastel zatrzymał się w pół ruchu i kłapnął zębami tuż przy jej gardle, do którego sięgał, stojąc czterema łapami na podłodze. Isaac ocknął się, choć za późno, i pchnął Annę w tył. Chastel obrzucił ich wrednym łypnięciem, odwrócił się, żeby zabrać torbę... I stanął oko w oko z Charlesem.

Atak był błyskawiczny i cichy. Annę zaskoczył tak samo, jak Chastela. Nie zauważyła nawet, że się poruszył, nie wyczuła, że się przemienił.

Chastel warczał, Charles nie wydał nawet jednego dźwięku i cisza ta budziła większą grozę. W jego ataku była gwałtowność, której brakowało Chastelowi – Charles zamierzał zabić, Chastel jeszcze nie zorientował się, o co chodzi.

Anna widziała już Charlesa w walce, ale był wtedy wyczerpany, ranny albo robił to z niechęcią. Poza tym był głównie w formie ludzkiej. Brat wilk w akcji to było coś całkiem innego. Żadnej inteligencji, żadnej metodyki działania.

Reszta wilków cofnęła się, robiąc im miejsce. Nikt nie zagrzewał do walki, nikt nie komentował. Obserwatorzy, zupełnie jak Charles, byli milczący i w skupieniu patrzyli na walczących. To nie była pokazówka i nikt tego tak nie traktował.

Jeśli Charlesa martwiła przewaga wielkości przeciwnika, nie dawał tego po sobie poznać. Kiedy Chastel już okrzepł, walka przestała być tak jednostronna jak na początku i stała się brutalna. Sierść skrywała rany, obaj broczyli krwią. Kiedy się rozdzielili, stając naprzeciw siebie z nisko zwieszonymi łbami, po wyszczerzonych kłach spływała krew, tworząc małe kałuże na podłodze.

Chastel zanurkował i złapał zębami tylną nogę Charlesa, ale zanim wzmocnił uścisk szczęk, Charles szarpnął się, wykręcił ciałem jak akrobata w cyrku i zatopił kły w kufie przeciwnika. Anna nawet z tak daleka usłyszała chrzęst pękających kości.

Wysiłki Chastela skoncentrowały się tylko na uwolnieniu pyska od kłów Charlesa – puścił jego łapę, a potem miotał się na wszystkie strony, żeby strząsnąć przeciwnika. Brat wilk trzymał go z uporem buldoga, a szarpanina Chastela powoli traciła zaciekłość. W końcu zamknął oczy i tylko drgał bezradnie.

Coś usiłowało odwrócić uwagę Anny od Charlesa. Ciche „spójrz tutaj, spójrz tutaj” dobiegało gdzieś z głębi, ale zignorowała nawoływanie, zajęta ocenianiem powagi urazów ukochanego.

Angus wystąpił naprzód.

– Puść go, Charles – powiedział.

Brat wilk gwałtownie obrócił łeb, potrząsając bezwładnym cielskiem Chastela. Popatrzył Angusowi w oczy i zawarczał. Angus pobladł i zaczął się cofać, aż wpadł na Danę, która obserwowała walkę z nadmierną lubością.

Annę przeszył lodowaty dreszcz, gdy spojrzała na pradawną, której zadaniem było pilnowanie porządku.

*Tak, właśnie tutaj, tutaj, patrz. Ona chce go skrzywdzić* – szeptała jej wilczyca.

Zamiary ujawniały się w postawie pradawniej, bo na jej twarzy odbijała się tylko troska. Ale ciało ją zdradzało, niecierpliwe ruchy palców, przestępowanie z nogi na nogę –

gotowała się do walki, do zabijania. Polowanie się zaczęło, a tym razem gwiazdzistym rubinem był Charles.

*Powstrzymamy ją* – mówiła wilczyca. *Nikt nie skrzywdzi nikogo, kto należy do nas.*

– Tak – wyszeptała Anna.

– Charlesie Cornicku – przemówiła Dana – naruszasz zasady traktatu pokojowego. Natychmiast go puść.

Ale brat wilk nawet na nią nie spojrział. Jak ją nazwał? Ta Która Nie Jest Rodziną myślała, że może tu rządzić, tutaj, na terytorium wilkołaków. Anna mogła wyczytać jego myśli z mowy ciała. Chastel podjął jeszcze jedną próbę uwolnienia się, ale Charles przypadł do ziemi, zwiększając nacisk szczęk. Po chwili Francuz znów znieruchomiał.

Anny nie odstręczała wizja śmierci Chastela, lecz konsekwencje, jakie mogłaby nieść dla Charlesa, to co innego. Pewnie mniej martwiłaby się, wierząc, że Charles stanie do walki z pradawną. Tyle że jej towarzysz był aż do bólu prawomyślny. Gdyby Chastel zginął w odwecie za próbę wystraszenia jej, a pradawna orzekłaby złamanie pokoju, Charles prawdopodobnie przyznałby jej rację. Anna nie miała pojęcia, co w takiej sytuacji mogłaby zrobić Dana, i nie zamierzała tego sprawdzać.

Wyrwała się Isaacowi, który lekko ją przytrzymał.

– Puść go, Charles – powiedziała, wchodząc na arenę walki. Omal nie nazwała go bratem wilkiem, ale to wydało się jej zbyt intymne, by zwracać się tak do niego publicznie.

To zdecydowanie brat wilk, a nie Charles spojrział na nią ślepiami płonącymi gniewem. Usiłowała otworzyć szerzej połączenie pomiędzy nimi, lecz Charles trzymał się na dystans, chcąc chronić Annę przed poznaniem jego prawdziwej natury.

Podeszła do niego i nie przejmując się szalejącą w nim furia, poklepała go po pysku, nareszcie wymuszając pełen wściekłości, zduszony warkot.

– Puszczaj. – Nie bała się dotąd, ale warkot, zapach krwi i inne rzeczy przywołały straszne wspomnienia. Wspomnienia, kiedy to krew należała do niej, kiedy ta rozpacz była jej.

Trzęsły się jej ręce, oddychała szybko przez nos, jak koń pod koniec gonitwy na wyścigach. Mimo to wetknęła kciuk w paszczę Charlesa i pociągnęła, a kieł zadrapał jej skórę. Gdy tylko poczuł smak jej krwi, natychmiast rozluźnił szczęki, a wielki wilk grzmotnął łbem o ziemię. Charles wycofał się gwałtownie. Anna nie umiała stwierdzić, czy Chastel żyje, czy nie, i niewiele ją to obchodziło, ale zdawała sobie sprawę, że za moment stanie się to istotne. Jednak teraz skupiła się bez reszty na Charlesie.

Czerwony wilk, który był jednocześnie Charlesem i bratem wilkiem, przez chwilę spoglądał Annie w oczy. Zobaczyła, jak widzi w nich tylko jedną rzecz spośród tak wielu, które się w niej kotłowały. Była śmiertelnie przerażona – pradawną, krwią, gniewem, własną śmiałością – on jednak widział samo przerażenie, a nie jego przyczyny.

Wpatrywał się w nią jeszcze przez moment, a potem potruchtał do drzwi, które otworzyły się przed nim, mimo że nikt ich nie przytrzymał, a potem zatrzasnęły, gdy wyszedł.

– Za nim! – rzuciła Dana głosem ostrym jak brzytwa. – Przelał krew!

Jej głos podciął jak bicz nieruchomych dotąd obserwatorów, którzy ruszyli do wyjścia.

– Stać – powiedziała Anna, a potem zrobiła coś, czego do tej pory nie robiła, nie do końca. Jednak wilczyca owszem, potrafiła zaczerpnąć magię od Charlesa, by zmienić się szybciej niż kiedykolwiek wcześniej, a teraz wykorzystała tę moc i wtłoczyła ją w swój głos. – Stać.

Wszystkie wilki, te na czterech łapach i te na dwóch nogach, które ruszyły na rozkaz Dany, teraz zatrzymały się i obróciły do Anny.

Pradawna też na nią spojrzała i ona również użyła magii, by wzmocnić swój głos.

– Przełał krew. Jestem pradawną, nie mogę kłamać. I twierdzę, że ten, który przeleje krew podczas polowania, musi zostać ukarany, krwią za krew. I biorę te mury na świadka, że tak się stanie.

Nie spuszczać wzroku z Anny, położyła dłoń na ramieniu stojącego obok Angusa.

– Liamie Angusie Magnussonie, synu Margaret Hooper i Thomasa Magnussona, na twe prawdziwe imię zaklinam cię, sprowadź mi Charlesa Cornicka.

Angus zrobił krok w stronę drzwi.

– Nie – powiedziała Anna, a wilczyca nadała temu słowu moc.

Angus odwrócił się do niej, a na jego twarzy pojawił się uśmiech.

– Oczywiście, moja pani – powiedział z coraz szerszym uśmiechem. – Zapominasz o czymś, Dano Shea. Polowanie się skończyło. Sygnał ogłaszający zakończenie zabrzmiał przed tym, jak Charles zaatakował, więc zasada zabraniająca przelewu krwi przestała obowiązywać.

Twarz Dany skamieniała, lecz Anna widziała w jej oczach żądzę mordy. Pradawna pragnęła śmierci Charlesa, czyjejkolwiek śmierci. A jej krwiożerczość przewyższała wszystko, co Anna widziała u najbardziej szalonego wilkołaka. Pradawna jednak szybko odzyskała panowanie nad sobą.

– Ach, no tak. Masz rację – powiedziała, wygładzając niewidoczne zmarszczki na żakiecie.

– Chastel zagrażał Annie, towarzysze Charlesa – ciągnął Angus z werwą. – Wedle naszych praw to usprawiedliwia atak.

Rzeczywiście. Anna była tak pochłonięta tym, co czuje Charles, że przesłoniło jej to ogląd na całą sytuację. Mimo że Chastel nie wyrządził jej krzywdy, zagrożenie mogło być realne i Charles pod wpływem chwili miał prawo w ten sposób

zareagować. Nawet jeśli Charles nie postrzegał tego w ten sposób, to wilki owszem, i to wystarczyło, by zmusić Danę do zmiany stanowiska.

– Ale nie morderstwo – próbowała jeszcze.

– Nie jest martwy – zawołał Ric, który wraz z Michelelem klęczał przy leżącym Chastelu.

– A szkoda – mruknął ktoś, możliwe, że Michel.

Angus podszedł do pokonanego, żeby lepiej mu się przyjrzeć.

– Nie jest nawet ciężko ranny – orzekł również z nutą rozczarowania w głosie. – Charles go tylko przydusił. Za parę minut dojdzie do siebie i tylko bolący nos będzie mu przez chwilę przypominał o porażce.

– To dobrze – powiedziała Anna. Wyminęła Angusa i Danę, i zatrzymała się przy drzwiach. – Dokończcie zabawę, a ja porozmawiam z Charlesem.



Nie poszedł w stronę bramy, jak się spodziewała.

Anna nie miała wiele doświadczenia w tropieniu, a zastosowanie tego, które posiadała, wymagało śniegu. Żwir zniweczyłby całkiem jej wysiłki, gdyby zwierzyna nie krwawiła jak zarzynana świnia. Trudno było przeoczyć ślad, który oddalał się od bramy. Ilość krwi niepokoiła ją, przyspieszyła więc kroku. Żwir przeszedł w błoto, a błoto okazało się niewiele gorsze od śniegu. Charles miał wielkie łapy, pazury zatapiały się głęboko w miękką ziemię, wskazując, że kierował się w stronę brzegu.

Nie biegł, raczej truchtał równym tempem, co dawało nadzieję, że pomimo upływu krwi nie jest poważnie ranny. Ślady zaprowadziły ją pod ogrodzenie na tyłach kompleksu. Siatkę wysoką na trzy i pół metra wieńczył drut kolczasty, a on

zdołał ją przesadzić. Anna miała wątpliwości, czy ona sama jako w pełni sprawna wilczyca potrafiłaby to zrobić. Poza tym przez jakiś czas nie zamierzała się przemieniać, chyba że w ostateczności. Czyli za jakieś dwadzieścia minut. Nie zamierzała jednak czekać tak długo.

Ze ślepi brata wilka wyczytała, że dzieje się z nim coś niedobrego. Jakby coś doprowadzało go do szału, rozwścieczało. Przyglądając się ogrodzeniu, przypomniała sobie to, co stało się, kiedy poszli z wizytą do domu Dany. Oboje o tym zapomnieli.

– Jakiego rodzaju magiczną istotą jest ta Dana Shea? – mamrotała do siebie, szukając przejścia przez siatkę. Na pewno wystarczająco potężną, żeby zastraszyć trolla i znaleźć się w Szarej Radzie. Tyle że Anna nie miała pojęcia, ile do tego trzeba mocy. I pewnie czymś, co pożerało ludzi – trudno pomylić ten głód, żądzę zabijania. Ta pradawna z pewnością była drapieżnikiem. I była związana z wodą – mieszkała na łodzi, a i tak miała na niej fontannę i sadzawkę.

*La belle dame sans merci.* Bezlitosna piękność, która wabiła mężczyzn w odmęty rzeki, żeby ich topić. Zmuszała ich do uwierzenia w coś, co nie istniało.

Charles okazał się odporny na kuszącą magię pożądania Dany. Ale może nie był odporny na cały zakres jej magii?

Tego dnia wydawał się wzburzony. Charles był bystry, szybko myślał, a mimo to zaatakował Chastela po tym, jak ten zostawił Annę w spokoju. To nietypowe dla niego zachowanie. Anna zamartwiała się konsekwencjami tego czynu, tym, jak Charles później będzie się z tym czuł. Jednak nie przyszło jej do głowy, że może się z tym czuć fatalnie, ponieważ zachowywał się niezwykle jak na niego.

Charles wiedział o Danie więcej, tak jej powiedział, a więc Bran prawdopodobnie znał ją jeszcze lepiej. Trzeba go o to zapytać, powiedzieć, co widziała w oczach Dany. Tylko najpierw musi znaleźć Charlesa.

Podeszła w końcu do siatki i pociągnęła ją, odrywając przęsło od zaczepów słupka. Potem szarpnęła je w górę, czując kłucie w bicepsach. Człowiek jej wzrostu nie dałby rady zrobić czegoś takiego – wilkołactwo miało swoje dobre strony. Po chwili miała przed sobą dziurę na tyle dużą, żeby mogła się przez nią przeczołgać. Zanotowała w pamięci, żeby powiedzieć Angusowi o konieczności naprawy ogrodzenia.

Szła tropem Charlesa, nie spiesząc się, bo i on się nie spieszył. Nie miała pojęcia, czego może się spodziewać na końcu swojej drogi, przeczuwała jednak, że lepiej znaleźć go nie za wcześnie. Choć też nie za późno.

Ciekawe, czy spodziewał się, że Dana nakaże go ścigać? Czy był gotów stawić czoła kilkunastu najtwardszym wilkom w Europie? A może myślał, że to Angus po niego przyjdzie? Albo nawet Dana? Czy czuł, jak Anna zaczerpnęła jego mocy, by powstrzymać pradawną? Czy czuł teraz, że się zbliża? Więź pomiędzy nimi emanowała siłą i napięciem, ale tylko tyle Anna potrafiła wyczuć.

Tyle że... Kiedy myślała o tym intensywnie, odkryła, że jest w stanie zlokalizować Charlesa. Luzował mocny uścisk ich połączenia, nie ukrywał się tak bardzo. Anna aż przystanęła. Co właściwie robił? Ukrywał się przed nią?

Nie był z natury brutalny, wiedziała o tym doskonale, wyczuwała jego łagodność. Sam uczynił z siebie kogoś na miarę potrzeb ojca, przybocznego kata, zabójcę na zlecenie. I stał się bardzo, bardzo dobry w tym, co robił.

To brat wilk pragnął krwi i mordy. Jej wilczyca nie miała takich zapędów, to jedna z różnic, jaką dawało jej bycie Omegą. Pamiętała, jak Charles zatrzymywał się przy domu ojca, wietrząc w nim krew i ból. Zapytał ją wtedy, co poczuła, a potem powiedział, że gdyby nie była Omegą, ten zapach wzbudziłby jej głód.

On zrobił się głodny, choć jej tego nie powiedział.



W wilczej formie Anna mogła jeść surowe mięso i jej to smakowało. Ale w ludzkiej formie krew miała dla niej zapach krwi, nie jedzenia.

Anna ruszyła naprzód i uświadomiła sobie, że schodzi ku... Wytężyła wzrok, lecz i tak nie umiała stwierdzić, czy woda w oddali to zatoka, czy jedno ze słonych jezior, na jakie natykali się wszędzie w Seattle. Nie zapytała o to, kiedy tu jechali, bo myśli miała zaprzątnięte udziałem w polowaniu.

Obok nagich, ciernistych zarośli jeżynowych płynął strumień, przy którym biegła wąska ścieżka. Błoto z niej przysysało się z mlaskiem do podeszew butów Anny, przy każdym kroku usiłując ściągnąć jej trampki z nóg i grożąc poślizgiem prosto do wody.

W jednym miejscu głębsze ślady łap wskazywały, że Charles przystanął, żeby się napić. Wiedziała, że upływ krwi budził pragnienie. Coraz trudniej było jej odnajdywać krwawy trop. Miała nadzieję, że to z powodu szybkiego zasklepiania się ran. Im bardziej dominujący wilk, tym szybciej postępował u niego proces leczenia – o ile w obrażeniach nie miały udziału srebro czy magia, a wilk nie był wyczerpany.

To jednak jej nie uspokajało.

Dlatego odetchnęła z ulgą, dotarwszy do plaży, małego kamienistego, mokrego spłachcia brzegu, i zobaczyła otrząsającego się Charlesa. Wszedł do wody, żeby spłukać z siebie krew.

– Odważny jesteś – powiedziała z podziwem. – Woda jest tak lodowata, że aż brak mi słów. – Nigdy jednak nie wątpiła w odwagę Charlesa.

Bursztynowe ślepie śledziły każdy jej ruch, kiedy ześlizgiwała się ostatnie trzy metry po zboczu z większą gracją, niż się po sobie spodziewała – dopóki nie potknęła się już na dających lepszą przyczepność kamieniach.

– No – zwróciła się do brata wilka – jest parę spraw, o których chcę z tobą porozmawiać, jak będziesz gotowy. Ale na razie wszystko jest w porządku. Kiedy wychodziłam z hali, postawiłam Angusa znów u steru rządów. – Postawiła? A może sam się tam postawił?

Wyżej położone, suche kamienie tworzyły wąziutki, kilkunastocentymetrowy pasek. Anna spojrzała na ubłocone trampki i uznawszy, że już nic bardziej im nie zaszkodzi, weszła na płyciznę. Aż syknęła, kiedy poczuła, jak bardzo lodowata jest woda.

– Bardzo, bardzo zimna – powiedziała i zaczęła iść wzdłuż brzegu, bo jej ciało odmówiło trwania w bezruchu.



## 10

**C**harles stał osłupiały po kostki w lodowatej wodzie. Spodziewał się grupy pościgowej, a ujrzał idącą ku niemu piękność. Zaskoczenie odebrało mu chwilowo napęd do działania.

Szła wzdłuż brzegu, rozbryzgując wodę ubłoconymi butami. Ponad nimi, za nimi i po obu stronach głęboko w wodę wcinały się przystanie. Nieco dalej przy jednej z przystani ładowano statek – słyszał rytmiczne pokrzykiwania, typowe dla pracujących fizycznie ludzi. Dokerzy znajdowali się jednak daleko, na tyle daleko, że nie mogli zobaczyć brodzącej dziewczyny i jej wielkiego psa.

Uznawszy, że oddaliła się już za bardzo, ruszył za nią, żeby przypilnować jej bezpieczeństwa. Nie zabił Bestii, która jej groziła... Na samą myśl o tym warkot wezbrał mu w gardle. Powinien go zabić. Oderwać mu łeb, żeby już nigdy nie mógł krzywdzić słabych i bezbronnych. I jego Anny. Choć ona dowiodła, że nie jest ani słaba, ani bezbronna.

Brat wilk wietrzył przez chwilę, ale zapach innych wilkołaków był odległy. Anna znalazła kłodę wyrzuconą na

brzeg i chyba chciała zasiąść na swym tronie, ale najpierw musiała się nań wspiąć.

Obiegł pniak, upewniając się, czy jest stabilny. A potem nie mógł się do niej zbliżyć!

Już widywała go w akcji, widziała, jak zabijał, i nie wzdrygała się później na niego. Ale to było co innego i Charles o tym wiedział. To było... nie niesprowokowane, ale też zdecydowanie nie niezbędne.

Chastel za bardzo dbał o własną skórę, żeby próbować czegoś w otoczeniu wrogiej mu watahy. Nie zrobiłby Annie krzywdy – nie w tamtej chwili. Ale nic z tego nie miało znaczenia dla Charlesa, bo wtedy widział tylko jego kły zagłębiające się w gardle Anny i siebie po drugiej stronie pomieszczenia, biegnącego zbyt wolno, żeby zdążyć na ratunek.

Popatrzył na nią, upewniając się, że jego wizja się nie spełniła. Znalazła sobie wygodne miejsce i rozciągnęła się na kłodzie, podpierając głowę i zwracając twarz ku niemu.

Powiedziała, że chce z nim porozmawiać. Nie wydawała się zła ani, jeszcze gorzej, rozczarowana.

On również chciał się dowiedzieć kilku rzeczy. Jak na przykład, gdzie ta zgraja wilków, która miała go sprowadzić z powrotem. Słyszał za plecami, co mówiła Dana, więc spodziewał się pogoni. Czemu Anna powiedziała, że to ona pozostawiła Angusa u sterów, choć przypuszczał, że miało to coś wspólnego z zaczerpnięciem od niego mocy, które poczuł wkrótce po opuszczeniu magazynu.

Gdyby to Charles miał kontrolę, po prostu poczekałby tam, na miejscu, aż wilki działające na rozkaz Dany go zaatakują. Ale brat wilk zapragnął wybrać dogodny dla siebie pole bitwy. To oznaczało wędrówkę na brzeg, gdzie mógł ustawić się tak, żeby mieć za plecami głęboką wodę i uniknąć okrążenia. Wilkołaki nie pływają, toną.

Poza tym żywiołem Dany była słodka woda, nie słona.

Ale Anna pozbawiła go gruntu pod nogami, zniweczyła jego plany bitewne. Wilki go nie ścigały, i to Angus, nie Dana, stał na czele grupy w magazynie. Anna ze swojego pniakowego szezlonga obserwowała, jak krąży w tę i z powrotem.

Jeszcze przez jakiś czas trzymał się na dystans. Dopóki był wilkiem i znajdował się w pewnej odległości od niej, nie mogła mu powiedzieć, że... że co? Że mierzi ją ten atak na Chastela? Że ją przeraża? A może, co jeszcze gorsze, że podobało się jej patrzenie, jak walczy? Nie powiedziałyby niczego takiego, znał ją na tyle dobrze, żeby nawet w to nie wątpić.

Dlatego sam właściwie nie wiedział, dlaczego podszedł do niej jako wilk, nie człowiek. Usiadła prosto i poklepała kłodę przed sobą. Wskoczył, a wtedy objęła go i pieściła palcami jego uszy i wrażliwe miejsca na pysku.

Wtuliła się w niego.

– Kocham cię.

Tego potrzebował. Wziął głęboki oddech i przemienił się. Cofnęła się, dając mu przestrzeń.

– Jak to możliwe, że nie masz kilkudziesięciu czerwonych albo niebieskich koszulek w szafie i stu par butów? – zapytała, kiedy skończył. – I czy uważasz, że dzięki więzi też kiedyś będę mogła kończyć przemianę w ubraniach, nie goła jak święty turecki?

Spojrzał po sobie. Jak zawsze miał na sobie ubranie. Żaden inny wilkołak, z tego, co wiedział, nie potrafił wyjść z przemiany w ubraniu. Sam się zastanawiał, czy w jego przypadku działała magia wilkołacza, czy raczej okruchy tej odziedziczonej po dziadku szamanie. Pamiętał tylko, że zaczęło się to, kiedy miał czternaście albo piętnaście lat i mieszkał z plemieniem matki, które traktowało nagość jako coś wstydlivego. Wtedy po przemianie miał na sobie skóry. Do tej pory potrafił je przywołać, kiedy o nich pomyślał.

Odwrócił się do Anny twarzą i spojrzał w jej, uśmiechniętą szeroko. Ujął ją w dłonie i całował, jakby chciał się nią nasycić. Rozchyliła wargi, otwierając się na niego, zachęcając ciepłym dotykiem i cichymi westchnieniami. Nie byli ze sobą jeszcze wystarczająco długo, żeby nawet zwykły dotyk stał się rutynowy, ale wątpił, by zdołał kiedykolwiek traktować całowanie się z Anną, jej dotyk, smak, miękkość języka i ust jako coś powszedniego.

Kiedy zakończył pocałunek, pozostał z twarzą przy jej twarzy.

– Nie wiem. Musimy się o tym przekonać. Może na wszelki wypadek inwentaryzuj czerwone koszulki?

– Ale czemu czerwona? – zapytała. – Czemu nie zielona czy niebieska? Widziałam, jak tworzysz niebieską. Wybierasz sobie kolor?

Roześmiał się, zachwycony tą chwilą, tą intymnością, której nie zaznał nigdy, zanim nie poznał Anny.

– Nie wiem. Nigdy nikt mnie o to nie pytał, a ja się nad tym nie zastanawiałem.

Przysunęła twarz do jego ucha, owiewając je ciepłym oddechem.

– Z pewnością się zastanawiali – wyszemrała. – Tylko za bardzo bali się wielkiego złego wilka, żeby zapytać.

Zaśmiał się znowu, ciesząc się jej bliskością, nie Omegi, ale Anny. Bliskość ta sprawiała, że śmiech sam cisnął mu się na usta.

Cofnęła się, nadal z isierkami wesołości w oczach.

– Dana jest magiczną istotą związaną z wodą, prawda? Jedną z tych, które wabią mężczyzn, a potem ich topią?

– Tak.

– W jaki sposób to robi? Za pomocą przymusu czy raczej manipulacji?

Nie potrafił niczego wyczytać z jej twarzy.

– Nie wiem. A czemu pytasz?

– Wiesz, to do ciebie niepodobne, ta gwałtowność, chyba że posługujesz się nią celowo. I do tego Chastel. Ile ma lat? Jego metody działania są zwykle subtelniejsze niż to, co zaprezentował dzisiaj, prawda? Porywa kobiety i dzieci na oczach ludzi zbyt słabych, żeby mu się postawili. Nie sądzę, żeby miał ochotę drażnić ciebie, i to w sytuacji, kiedy w odwecie miałbyś pełne prawo zmusić go do walki twarzą w twarz.

Przy Annie brat wilk wyciszył się, stając się pełną zadowolenia obecnością w tle. Charles mógł teraz myśleć jaśniej, wyraźniej zobaczyć niezwykłość ich zachowania.

– No nie do końca, bywa czasem nierozsądny i z pewnością nie jest tchórzem. Lubi gierki i gdyby chciał zrobić to w stylu Bestii z Gévaudan, ta napaść na ciebie skończyłaby się fatalnie. – Anna miała jednak rację, że w postępowaniu Francuza było coś dziwnego. – Za to wtedy, gdy położył przed tobą torbę, swoją zdobycz, to było zdecydowanie nietypowe jak na niego. – Zastanowił się przez moment. – Wręcz romantyczne. Chyba nie słyszałem, żeby Chastel miał kiedyś towarzyszkę. Kobiety zwykle morduje. Dzieci też. To tak, jakby ich kruchość, bezbronność, budziła w nim najgorsze instynkty.

– Powiedział mi i Ricowi, że jest przeciwieństwem Omegi. Czysta agresja bez elementu opiekuńczości.

– Wnikliwa samoocena – zdumiał się. – Ja nazwałbym go socjopatą. Mój ojciec: złem wcielonym.

– Zło wcielone dla mnie brzmi lepiej – mruknęła Anna. Bezwiednie odrywała kawałki kory z kłody. Wymoczone w słonej wodzie, zbutwiałe drzazgi rozpadały się jej w palcach.

– Ale ten gest z torbą był nietypowy dla Chastela – powtórzył Charles. – Ja również nie zareagowałem... osobliwie. To znaczy nie to, co zrobiłem, było dziwne, tylko to, co mnie do tego skłoniło. Czuję się tak, jakby on rzeczywiście rozszarpał ci gardło, a jednocześnie miałem pełną świadomość, że tego nie zrobił. Myślisz, że to Dana miała z tym coś wspólnego?

– Nie wiem, ale z pewnością widziałam w jej oczach żądzę krwi, kiedy zaatakowałaś Chastela. Chciała twojej krwi. Pierwszą jej reakcją było oskarżenie ciebie o złamanie zasad, choć tak naprawdę tego nie zrobiłaś. Głupia, nie pomyślała, że wraz z sygnałem polowanie dobiegło końca. – Anna wbiła paznokcie w drewno niczym pazury, a jej głos nabrał twardości. – Pragnęła ciebie w roli swojej zwierzyny.

Nagle zrozumiał, że powód, dla którego Dana go nie dopadła, siedzi obok niego na pniaku. Jego Anna nie wyglądała na twardzielkę z tą piegowatą buzią i ciałem, które spokojnie mogłoby przybrać z pięć kilogramów, mimo że i tak było silniejsze niż przy ich pierwszym spotkaniu. Ale była twardsza niż stara skóra i potrafiła walczyć o to, co należało do niej.

– Dana nie miała pojęcia, z kim zadziera – mruknął oczarowany i pełen podziwu jednocześnie.

– Ażebyś wiedział. Dzisiaj i ona polowała. Nie wiem, kto był jej pierwszą upatrzoną ofiarą... Może to było coś w rodzaju tego, jak dominujący wilk przechodzi do innego stada i szuka największego łobuza, żeby z nim walczyć o należne miejsce w hierarchii. Nie wiem, czy to było zamierzone, czy samo tak wyszło.

Charles wyczuł jakiś zapach i odwrócił się.

– O, Angus – przywitał przybysza.

– Och, pozwoliłem ci się wyczuć – odparł ten trochę obronnie.

– Dziękuję. – Charles uznał jednak, że to nie wystarczy, bo Angus nadal wydawał się skrepowany tym, że im przeszkodził.

– Doceniam to. A ty co o tym myślisz? – zapytał, bo wilk musiał słyszeć część ich rozmowy i gdyby nie zamierzał się wtrącić, wycofałby się z powrotem w górę zbocza.

– Słyszałem to, co mówiła Anna – rzekł Angus. – Moim zdaniem ma rację. Wyczuwałem działającą magię, ale nie zdawałem sobie sprawy z tego, co robi, dopóki nie



zaatakowałaś Chastela. To Dana usiłowała zmusić cię do zabicia go.

– Myślałam, że prądawni nie mogą – zdziwiła się Anna.

– Najwyraźniej nie jest to niemożliwe – powiedział Charles. – I nie wiem, czemu tego nie robią. Po prostu tak jest. Nie robią tego, nigdy. Tak jak nigdy nie kłamią i nigdy nie łamią danego słowa. Zawsze słyszałem, że „nie mogą”. Zawsze. Ale ona to zrobiła.

– Może zapytamy Marroka? – zaproponował Angus.

Charles sięgnął po telefon i cofnął rękę.

– Nie mam komórki.

Anna zachichotała.

– Jak to, za każdym razem czerwony T-shirt i żadnej komórki? Ja też swojej nie mam, zostawiłam w samochodzie.

Angus podał Charlesowi swój aparat.

– Czerwone T-shirty? Chcę wiedzieć, o co chodzi?

– Nie sądzę. – Charles wybrał numer i przyłożył telefon do ucha. Kiedy Bran odebrał, opowiedział mu wszystko. Bran słuchał, nie przerywając. Kiedy Charles skończył, milczał jeszcze przez chwilę, zastanawiając się, co chce przedyskutować.

– Sześć wampirów polujących w grupie – odezwał się wreszcie.

Nie było to pytanie, ale Charles i tak przytaknął.

– Przyjrzę się temu. Dotarły do mnie jakieś pogłoski... sprawdzę je. Mnie to wygląda na najemników, zabójców do wynajęcia. Angus już od dość dawna nie miał problemów z wampirami w mieście, a Tom rozpoznałby ich, gdyby byli z Seattle. Wampiry w minivanie? Sądzę, że wynajętym.

– Mam numery rejestracyjne – włączyła się Anna. – Ale mnie też wyglądał na samochód z wypożyczalni. Amerykański minivan, nie starszy niż pięć lat. – Wyrecytowała trzy litery i trzy cyfry.

Cała radocha rozmawiania przez telefon w towarzystwie wilkołaków polegała na tym, że nie trzeba było włączać głośnika, a połączenie i tak przypominało konferencję. I nie trzeba było im wszystkiego powtarzać.

Charles słyszał szelest długopisu na kartce, kiedy ojciec zapisywał numery.

– Sprawdzę je – powiedział, skończywszy pisać. – Ale sędzę, że Anna ma rację. Znajdziemy ich szybciej, wykorzystując inne metody. Uważacie, że szkolił ich wilkołak?

– Walczyli jak wataha – potwierdziła Anna. – Dopasowywali taktykę jak wilki. I magia, z której korzystali, była taka sama jak magia watahy.

– Tom potwierdził to wszystko – odezwał się Angus. – Tom ma za sobą sporo walk, potrafi posługiwać się magią stada, jest w tym jednym z najlepszych z nas.

Marrok przez chwilę milczał, a potem lekkim, miłym głosem – który był jak znak ostrzegawczy, że zaraz rozpęta się piekło – zapytał:

– Możecie dowieść, że to Dana sprowokowała walkę?

Charles popatrzył na Annę, a ona pokręciła głową.

– Nie. Do tego trzeba było przy tym być.

– Dokładnie – poparł ją Angus. – Ja to widziałem, czułem, ale wątpię, czy ktoś poza mną byłby w stanie zrozumieć, co się dzieje, nawet gdyby to zauważył. Kiedy odmówiłem wykonania jej polecenia, chciała mnie do tego zmusić. Przy pomocy magii prawdziwego imienia. Ostatnio reagowałem na nie jakieś sto lat temu, a wtedy byłem nikim. W każdym razie nie byłem Alfą i nawet nie mieszkałem w tym kraju. Ciekawe, jakim cudem doszukała się mojego prawdziwego nazwiska. Wątpię, żeby ktoś z żyjących je jeszcze pamiętał.

– Wezwała cię prawdziwym imieniem, a ty nie wykonałeś jej rozkazu?

Angus odrzucił głowę i zaśmiał się gromko.

– Na Boga, Bran. Wiesz, kiedy po raz pierwszy zobaczyłem tę roztrzęsioną istotkę, która na drżących nóżkach w trampeczkach weszła na salę konferencyjną pełną drapieżników, pomyślałem, że twój syn znalazł sobie zajacółaka.

– Wielkie dzięki – fuknęła Anna ze złowieszczą nutą w głosie.

Angus nie przejął się tym wcale, uśmiechnął się w odpowiedzi. Ale kiedy podjął, mówił bezpośrednio do Brana.

– Pomyślałem, że to chuchro to nie jego kategoria wagowa. Ale tak myślałem, tylko dopóki nie zabiła wampira i nie potraktowała tej pradażnej tak, że aż jej w pięty poszło. Owszem, stara mnie zaklęła imieniem, a na to Anna rzuciła: „Stać”. I niech mnie licho, nie musiałem już być posłuszny pradażnej, bez względu na jej czary i czarty. Przełamała magię Dany z taką łatwością, jak ty byś mógł to zrobić.

– Trzeba było widzieć, jak zabiła wiedźmę parę tygodni temu – powiedział Bran familiarnie. – Tę, przed którą sam Asil zwiewał przez dwa stulecia. A „zajaczek” mojego syna zabił ją w ludzkiej formie, uzbrojony tylko w nóż.

– Asil? – zdumiał się Angus bezbrzeżnie. – Asil Maur?

– Tak, ten sam – przytwierdził Charles.

– No i już nie czuję się tak fatalnie, że ocalił mnie zajac – stwierdził Angus wesoło.

– Jeszcze raz nazwiesz mnie zajacem, a pożałujesz – syknęła Anna, marszcząc groźnie brwi.

Dopiero Marrok przerwał ciszę, która zaległa po wypowiedzi Anny:

– Jeślibym teraz przyjechał...

– Nie – wszedł mu w słowo Charles.

– Zauważyłeś, że użyłem trybu przypuszczającego? – westchnął Bran.

Ponieważ nie było na to dobrej odpowiedzi, Charles czekał na clou.

Zadowolony, że syn został ustawiony z powrotem do szeregu, Bran podjął:

– Nie sądzę, żeby to coś pomogło na tym etapie. Z pewnością moja obecność nie miałaby wpływu na same negocjacje. Chastel i tak już zagrał według swojego planu, więc musimy to obejść.

– Przykro mi – powiedział Charles.

– Niepotrzebnie. Może miałyby to znaczenie, gdybym przy tym był. Dopóki żaden z Europejczyków nie uwolni świata od Chastela, wszyscy będziemy musieli działać okrężną drogą. Byłbym zaskoczony, gdyby zdecydował się grać drużynowo.

– Chastel nie jest antyomegą, tylko antymarrokiem – oznajmiła Anna.

Charles wyjaśnił odniesienie, a Bran zaśmiał się lekko. Można by pomyśleć, że nie jest zły – i bardzo się w tym pomylić.

– Myślę, że jedno i drugie jest prawdą.

– Czemu ty go nie wyeliminujesz? – zapytał Angus niespodziewanie.

– To nie moja rola – odparł Bran i udowadniając, że o tym myślał, dodał: – Wtedy musiałbym się zająć również Europą. A zapewniam cię, że mam aż nadto obowiązków. Nie potrzebuję więcej, bo mi się z talerza wysypie. A co, może ty szukasz zajęcia, Angusie?

– W życiu! – zastrzegł się Alfa watahy Szmaragdowego Miasta i wyszczerzył zęby w uśmiechu. – Nie żebym w ogóle dał mu radę. Twój syn to wredny, podstępny sukinsyn. Widziałem już, jak walczy na zimno, ale wściekły? To dopiero! W dwie minuty trzymał Chastela za gardło.

– Charles walczy krótko i skutecznie – rzekł Bran. – Tak właśnie przebiegają poważne walki, szybko. Nie jesteśmy kotami, żeby bawić się swoim jedzeniem. – Charles usłyszał, jak ojciec bierze głęboki wdech, gotując się do zmiany tematu. – A więc, Charles, twoje zadanie polega teraz na znalezieniu tych wampirów, które zabiły biedną Sunny. Wyeliminowaniu ich

oraz tego, kto za nimi stoi. Jutro prowadź rozmowy normalnie, ze świadomością, że nie mogą zgodzić się na nasze propozycje, ale wysłuchają, co masz do powiedzenia. I będą wiedzieli, że pomożemy im tak, jak jesteśmy w stanie. I pilnuj, żeby Dana nie zmuszała cię zabijania osób, których nie zamierzasz zabijać.

– Złamała słowo – zauważyła Anna.

– Nie możemy tego dowieść – przypomniał Bran.

– Co się dzieje, jeśli pradawny łamie słowo? – zapytał Charles.

– Słyszałem tylko, że tego nie robią.

– Nie mam bladego pojęcia – odrzekł Bran. – Nie jestem pradawnym, a nawet my nie skrywamy swoich tajemnic tak dobrze jak oni. Nigdy nie widziałem, żeby pradawny złamał słowo. Naginał je, przekręcał i wykręcał się z niego, owszem, ale nie złamał. Spodziewałbym się, że zabije go grom z jasnego nieba, ale skoro tak się nie stało, to wiem tyle, co ty. – Zawiesił głos. – Bądźcie ostrożni. I może zacznij nosić swój krucyfiks. I znajdź też coś dla Anny. Nie jest to niezawodna ochrona, ale z pewnością pomaga, kiedy ma się do czynienia z wampirami.

Rozłączył się.

– Wiesz, Charles, jestem odrobinę rozczarowana. Myślałam, że Bran wie wszystko.

– Na pewno nie – przyznał Charles. – Ale świetnie udaje, że tak jest.

– Tak samo dobrze improwizuje – dodał Angus. – Choć sam nigdy go na tym nie przyłapałem. Wiecie co? Możliwe, że to on jest tym gromem z jasnego nieba. Mam nadzieję, że uda mi się być przy tym, jak trzaśnie.

– A więc jutro kolejna runda rozmów – ziewnął Charles. – Muszę sięgnąć po bardziej kreatywne argumenty, które ojciec zostawił na koniec, a potem może wcześniej to wszystko zakończymy, skoro negocjacje i tak nie mają już sensu.

– Sunny... – przypomniała Anna. – Wydaje się, że wykorzystanie tego byłoby niewłaściwe, ale jej śmierć to

wystarczający powód, żeby skończyć wcześniej.

– Oczywiście nikt się na to nie nabierze – zastrzegł Angus. – Wszyscy wiedzą, co zrobił Chastel. Ale przynajmniej wyjdziemy z tego z twarzą.



Anna wtuliła się w Charlesa, pomrukując, gdy zareagował śmiechem na jej lodowate palce w miejscach, do których na ciele dorosłego mężczyzny zimno nie powinno docierać. Przetoczył się na nią, a ona westchnęła, uszczęśliwiona, otwierając oczy i rozświetlając ich błękitem mrok hotelowego pokoju.

– Hej tam – mruknął do wilczycy Anny. – Przypominam ci, że wilkołaki są gorącokrwiste – pouczył ją z udawaną powagą. – Bardzo gorącokrwiste. Nie marzniemy i nie wtykamy lodowatych paluszków w miejsca, gdzie nie powinno nigdy być zimno.

Zamrugwała.

– Gorące – wymamrotała chrapliwie.

– Tak – potaknął. – I mogłaś się przykryć kocem, zanim tak zmarzłaś.

Wygięła się na materacu i żarliwie go pocałowała, ujmując jego twarz w dłonie.

Nie przestając jej całować, obrócił się, i Anna znalazła się na nim. Wilczyca robiła czasami coś, z czym Anna nie czułaby się komfortowo. Nauczył się sobie z tym radzić – do tego należało dopilnowanie, żeby Anna, dopóki nie przejmie kontroli, była na górze. Mogłaby się wystraszyć, wracając do świadomości pod nim.

Z wilczycą nie potrafił się porozumiewać tak, jak on czy Anna porozumiewali się z bratem wilkiem. Wyłaniała się na

powierzchnię zazwyczaj, kiedy Anna spała, i posługiwała się pojedynczymi słowami.

Skubnęła go w ucho, ciągnąc za jeden z bursztynowych kolczyków, które dostał od Anny.

– Ostrożnie – ostrzegł. – Bardzo je lubię.

Przesunął dłonie w dół jej pleców, a ona wygięła się ku nim z zadowoleniem. Pozwolił jej się swobodnie pobawić, ale w końcu złapał ją za ręce.

– Hola, pani wilczyco – wydyszał. – Zanim zrobimy coś więcej, musimy obudzić twoją drugą połówkę. – Nie wiedział, na ile Anna była świadoma zachowania swojej wilczycy w takich sytuacjach, czy działała wraz z nią, czy też spała. Uważał jednak, że jeśli nie zdawała sobie sprawy, co knuje bestia, przejście na kolejny poziom byłoby nie fair w stosunku do niej.

Wpatrywała się w niego, a on obserwował w jej oczach zachodzącą zmianę. Oślepiająco błękitne tęczęwki w ułamkach sekundy przyciemniły się do barwy piwa korzennego. Anna nie wydawała się zaskoczona swoją pozycją, uśmiechnęła się tylko i wyprostowała oparte na jego ramionach dłonie.

– Wszystko w porządku? – zapytał.

W odpowiedzi zakręciła biodrami i zsunęła się niżej. Aż jęknął, zaskoczony tym agresywnym działaniem. Po wilczycy mógł się tego spodziewać, lecz Anna zazwyczaj była bardziej powściągliwa. Narzuciła szybkie, ostre tempo, a on nie protestował.

– W takim razie poleżę sobie tak i pomyślę o Anglii – sapnął, żeby ją rozśmieszyć.

Odbiło mu się to czkawką, bo uniosła się i unieruchomiła mu biodra, wsuwając stopy pod uda.

– No, skoro myślisz o Anglii, najwyraźniej robię to niewłaściwie.

I zmieniała taktykę, w efekcie czego jego mózg uległ wyłączeniu.

Potem leżała na nim jak cudownie pachnący koc. Tyle że nawet aromatyzowane koce nie posiadają funkcji całowania szyi okrywanego.

– Pamiętasz, jak powiedziałem ci, że jesteś moją towarzyszką, a ty odpowiedziałaś, że nie lubisz seksu?

Skwitowała jego chełpliwy ton chichotem.

– Chciałam być wobec ciebie w porządku.

– Bo wiesz, zające kochają seks – dokończył niewinnie.

Usiadła i uszczypnęła go w nos.

– No, to teraz cię zazajęczę. Strzeż się, bo wiem, gdzie masz łaskotki.

Ktoś zapukał, stanowczo, natrętnie.

– Tu Angus, otwórzcie.

Anna pisnęła i wyskoczyła z łóżka, wciągając na siebie ubranie. Charles wbił się w dzinsy i pospieszył do drzwi. Była druga w nocy, musiało się wydarzyć coś pilnego. Szczególnie że Angus wcześniej nie zadzwonił.

Gdy tylko Anna skończyła się ubierać, otworzył drzwi i wpuścił Angusa do środka. Gość zawahał się w progu, ale nic nie powiedział, mimo że nawet ludzki nos wystarczył, by zidentyfikować aktywności, którym gospodarze przed chwilą się oddawali.

– Przyniosłem posiłek regeneracyjny, częstujcie się. – Angus wyciągnął w dłoniach tekturową wytłoczkę z czterema parującymi kubkami.

Charles wziął kakao, a Anna, która zazwyczaj piła je z nim, raptownie chwyciła kawę.

– Muszę się obudzić – wyjaśniła, zauważając jego zaskoczenie.

Angus postawił wytłoczkę na stole i usiadł, biorąc sobie drugą kawę.



- Chastel nie żyje – oznajmił lapidarnie.
  - Myślałem, że nie jest ciężko ranny. – Charles nie potrafił sobie dokładnie przypomnieć, jakie obrażenia mu zadał.
  - Nie zmarł z powodu urazów po walce. – Angus upił łyk kawy. – Ktoś zastrzelił go srebrną kulą, a potem... Wygląda tak, jakby go rozebrali jak tuszę. Pobili Michela, kojarzycie go, prawie na śmierć. Pęknięta czaszka, złamana szczęka, popękane żebra i inne obrażenia. Biedak, trochę minie, zanim będzie w stanie cokolwiek powiedzieć.
  - Kto go zabił?
  - W tym problem. Na Chastelu nie było innego zapachu poza twoim i Michela.
  - Charles był ze mną przez całą noc – oświadczyła Anna oburzona.
- Charles uśmiechnął się do niej z zadowoleniem.
- Nie zabiłem go i nie maczałem w tym palców – zapewnił ją.
  - Wiem – westchnął Angus ponuro. – Potrzebowałem, żebyś to wyartykułował wprost.
  - Rozczłonkowanie i rozebranie człowieka trochę trwa. – Charles pomyślał, że nie powinien przyznawać się do posiadania tego rodzaju wiedzy. – Na ile profesjonalnie to zrobiono?
  - Nie zrobiłbym tego lepiej ze świnią – powiedział Angus. – A przez dwadzieścia lat pracowałem w rzeźni. – Zawahał się. – Wiem, że to nie ty, Charles. To robota nie w twoim stylu. Sprawca musiał być niezłym świrem. Ty po prostu rozdarłbyś go na strzępy i już. Ale ta prądawna... Nie potrafi stwierdzić, czy coś jest prawdą, czy kłamstwem, tak jak my. Prądawna nie uwierzy nam na słowo – dokończył gorzko. – Pewnie gdy tylko o tym usłyszy, znów weźmie cię na cel, tym bardziej, że raz już się jej wymknąłeś. – Skinął do Anny. – Ja też to widziałem, zasadziła się na Charlesa, polowała na niego. Poza kwestią rozpoznawania prawdy, pasujesz do tego. Walka. Jego występ

i zrujnowanie negocjacji. Prześladowanie twojej towarzyszki. Tom był policjantem przez większość swojego życia i mówi, że to, co Dana ma na ciebie, przeszłoby w ludzkim sądzie jako przekonujące poszlaki. – Podniósł wzrok na Charlesa, który mu na to pozwolił. – Pamiętaj, że nie musi przekonywać nas czy twojego ojca. Najwyższą władzę pośród pradawnych dzierży Szara Rada, a oni będą patrzyli na sprawę tak, jak patrzyłyby na to ludzki sąd. – Pociągnął duży łyk kawy. – Jej słowo. Słowo członka Szarej Rady. Napuści na ciebie każdą magiczną istotę w Stanach Zjednoczonych. Jeśli będziesz się opierał, jeśli twój ojciec zaprotestuje, a z pewnością to uczyni, rozpęta się wojna.

– Naprawdę jest gotowa do tego doprowadzić? – zapytała Anna.

– Tak – odpowiedział Angus bez wahania.

– Wobec tego musimy ustalić, kto zabił Chastela, zanim ona dowie się o jego śmierci – stwierdził Charles, jakby to była pestka.

– Uhm.

– Wezwij swoich pomocników, każ im odwołać dzisiejsze posiedzenie – powiedział Charles. – Na razie wystarczy usprawiedliwić to śmiercią Sunny. Musimy zbadać miejsce zabójstwa Chastela, a potem porozmawiam z Michelelem.



Angus okazał się dobrym przewodnikiem. Zatrzymywał się na żółtym świetle, aby jadąca za nim Anna nie musiała przejeżdżać na czerwonym, żeby go nie zgubić.

Powiedział im, że Francuzi zatrzymali się w wynajętej rezydencji w dzielnicy Queen Anne, na osiedlu zamożnych domów, położonym na zboczu nie tak bardzo daleko od ich hotelu.

Zobaczyła dom, zanim Angus włączył kierunkowskaz. Na wskroś nowoczesny, wyróżniał się spośród bardziej tradycyjnej architektury. A powód, dla którego rozpoznała budynek, siedział na ganku, udając, że sączy piwo.

Ian, wilkołak, który przyjął ich na lotnisku, siedział na metalowym fotelu bujanym z puszką piwa w ręku. Piwo było rekwizytem, bo zważywszy na porę, środek nocy i zimy, widok mężczyzny siedzącego na ganku mógłby wzbudzać zainteresowanie. Dzięki puszcze wyglądał mniej nietypowo. Jakby został wykopany z domu i czekał, aż wpuszczą go z powrotem.

Anna wzorem Angusa zatrzymała się na podjeździe. Zrobiło się trochę ciasno, bo stały tu wcześniej już dwa samochody, ale mała, zgrabna toyota jakoś się zmieściła.

Anna otworzyła drzwi i natychmiast poczuła zapach krwi. Zerknęła na Charlesa, lecz on nie pokazał w żaden sposób, że też to czuje. Głód, ochota na surowe mięso wywoływana wonią krwi nie była dla niego niczym nowym. Wiedział, czym jest, i zwykle z powodzeniem to akceptował. Na tyle dobrze, że on i brat wilk potrafili współdziałać ze sobą w sposób niedostępny dla innych wilkołaków.

Ian poprowadził ich schodkami do wejścia i przytrzymał drzwi, sam jednak stał nieco z boku, jakby chciał być jak najdalej od zapachu morderstwa. Nie spuszczał oczu ze swojego Alfya.

– Nikt nie wchodził, odkąd wyszedłeś – zapewnił go. – Pilnowaliśmy obu wejść, jak kazałeś. Reszta Francuzów została przeniesiona do hotelu.

– Świetnie.

– Tak jest. – Ian wydawał się nieco zdenerwowany. Wiedziona impulsem Anna dotknęła jego dłoni.

Odetchnął gwałtownie i zagapił się na nią zdumiony.

Angus poklepał go czule po policzku.

– Oto Omega, chłopcze. Roztacza pokój i szczęście. Tak właśnie działają.

Gestem wskazał drzwi i Anna, puściwszy Iana, weszła za Charlesem do środka.

– Jeśli to intryga Dany, i tak będzie wiedziała o śmierci Chastela – zauważyła, kiedy drzwi się za nimi zamknęły.

– Owszem – przytaknął Charles. – Ale tak czy siak, nie ma potrzeby tego nagłaśniać. – Przystanął i odwrócił się ku niej. – Lepiej niż ja rozumiesz ludzi. Myślisz, że Dana wynajęłaby wampiry? Czy raczej, że może działają same?

Uważała, że Charles nie docenia swoich możliwości, ale i tak zaprzęła do pracy instynkt.

– Jest członkiem Szarej Rady. Kocha gierki i... bawi ją pozowanie na nieatrakcyjną. To oznacza, że pod iluzją jest albo naprawdę brzydka, albo wręcz olśniewająca. – Zamknęła oczy, żeby to wszystko zebrać i wyciągnąć wnioski. – Nie, nie ma mowy, żeby wynajęła wampiry. Nie powierzyłaby im swoich sekretów. – Tak, z pewnością by tego nie zrobiła. – Na pewno nakłoniłaby kogoś, żeby wykonał za nią brudną robotę, ale nie za pieniądze. Raczej kogoś, kto ma u niej dług wdzięczności, jakiegoś pośledniejszego pradownego. Albo zmusiłaby go szantażem. Ale nie zapłaciłaby najemnikom.

– Zgadza się – oznajmił Charles.

– A jeśli chodzi o wampiry... Na początku w tym ataku nie było emocji, nie angażowały się w to, wykonywały zadanie. Dopiero kiedy zabiliśmy tę dwójkę, nabrało to wydźwięku osobistego. Dlatego, zabijając Sunny, zrobili to tak brutalnie, a potem porzucili w ten sposób, jakby chcieli zadać cios wilkołakom.

– A co ty sądzisz, Angusie? Dana tu mieszka, z pewnością znasz ją lepiej niż my.

– Dla mnie każda kobieta to zagadka – wycofał się Angus. – A już kobieta-pradowna to totalnie nieprzenikniona tajemnica.

– Na moment zawiesił głos. – Ale nasz Zajączek ją chyba rozszyfrowała. I wydaje się, że masz też rację z wampirami.

– Anna – powiedział z naciskiem Charles, zanim zdążyła zaprotestować. – Nie Zajączek.

Angus przekrzywił głowę.

– To określenie wyraża szacunek – wyjaśnił Angus, zwracając się do Anny. – Ale oczywiście. Anna.

– Dziękuję. – Charles nie rozwodził się nad tym, od razu przeszedł do kolejnej kwestii. – Te wampiry mają jakiś sposób na maskowanie swojego zapachu przed nami. Ukrywają swoje dzienne kryjówki.

Angus zeszywniał.

– Myślisz, że to wampiry? Cztery wampiry na Chastela i Michela?

– Bestia był ranny. – Charles unikał wypowiedziania imion zmarłych, ale najwyraźniej posługiwanie się pseudonimami nie budziło jego zastrzeżeń. – Michel... jest zdecydowanie mniej dominujący od twojego Toma. Ma serce na właściwym miejscu, ale nie jest typem wojownika. W innym wypadku Bestia już dawno by go zabił. Gdzie była reszta Francuzów?

– Na całonocnym LAN party.

– LAN party? – Anna mniej więcej wiedziała, o co chodzi. – To ta impreza dla komputerowców, kiedy wszyscy grają w tę samą grę na wielu komputerach?

Angus przytaknął.

– Alan uznał, że to może im pomóc wypalić agresję bez zabijania... I nikt nie zginął, w każdym razie tam. Alan, ktoś z jego rodziny, kilka wilków z mojej watahy i chyba jeden Hiszpan wzięli na siebie zorganizowanie turnieju jakiejś strzelanki.

– Kto wiedział o tym, że w domu zostają tylko dwa wilki? – zapytała Anna.

– Każdy, kto przeczytał anons z listą zgłoszeń. Wrzuciliśmy to do naszej półprywatnej sieci. A to oznacza każdego z mojej watahy i wszystkich uczestników zlotu, którym się chciało przeczytać foldery powitalne, jakie przygotowaliśmy.

– Czyli wampiry, zakładając, że pracują dla kogoś z nas, mogły się o tym dowiedzieć – stwierdził Charles.

– Jeśli to one, to działają niesamowicie szybko – zauważyła Anna. Uświadomiła sobie jednocześnie, że wszyscy troje zwlekają z pójściem w głąb domu, w stronę źródła zapachu krwi. – Tom, Moira i ja zostaliśmy zaatakowani przedwczoraj, Sunny wczoraj, a Chastel po niej, tej samej nocy. – Nie miała ochoty tego oglądać, zbliżyć się do dowodu całego tego cierpienia i śmierci, ale przyszło jej do głowy, że pozostali mogą zmagać się z czymś wręcz przeciwnym.

– Zawodowi zabójcy, którzy mają wyznaczonych wiele celów, zdejmują je najszybciej jak się da – podsunął Angus. – Uderzają raz za razem, zanim przeciwnik zdąży wciągnąć gacie i znaleźć broń. Pracowici jak mróweczki.

– Pozostaje pytanie, co właściwie robią i po co to robią – mruknął Charles zadumany, jakby analizował partię szachową, a nie dyskutował o morderstwie w ślicznym salonie, który cuchnął krwią. – I czy Dana jest w to zamieszana, czy to dwie osobne sprawy. – Spojrzał na Annę. – Możesz tu zostać.

– Ale przecież chcesz, żebym z tobą poszła. – Zaskoczona odkryła, że jest tego całkowicie pewna.

– Wnosisz inny wgląd – odpowiedział. – Ja i Angus potrafimy rozszyfrować przebieg walki, a ty dodajesz do tego czynnik ludzki. Mówisz, na kogo polujemy i co ta osoba chce osiągnąć. – Uśmiechnął się oszczędnie. – Potrafisz dostrzec pobudki, jakie kierują ludźmi. Zauważyłaś, że wampiry zachowują się jak wilkołaki. Wolałbym, żebyś została tutaj, obawiam się jednak, że możemy cię tam potrzebować.

Wzięła głęboki wdech.

– Dobrze, ale jak zwymiotuję, to twoja wina.

– Biorę to na siebie.

Kiedy schyliła się, żeby zawiązać sznurówkę, kątem oka ujrzała twarz Angusa.

– Jest bardzo opiekuńczy – wyjaśniła mu. – W taki nietzscheański sposób, wiesz, „co cię nie zabije, to cię wzmocni”. I tak nie jest najgorzej, bo tu przynajmniej nie będzie sześciometrowej warstwy śniegu.

Charles zaśmiał się, ale kiedy wchodzili do pokoju, opuściła ich wszelka wesołość.

Dywan przesiąkł krwią, jej bryzgi pokrywały ściany. Zaczynała się psuć, za kilka godzin całe pomieszczenie będzie cuchnąć. Na ścianach już brązowiała. Anna nie popatrzyła w stronę dwóch stert, mięsa i kości oraz części ciała. Małymi krokami. Co powiedziała jej ta jatka?

– Któż by to pomyślał, że taki starzec tyle krwi miał w sobie – mruknęła.

– Myślałem, że wolisz łacińskie sentencje – zauważył Charles.

– Nie potrafię cytować Szekspira po łacinie. – Zatrzymała się na tej myśli, bo to oznaczało, że jeszcze przez chwilę nie będzie musiała oglądać dokładniej tej krwawej łaźni. – Wobec tego, *cui bono*? Kto na tym zyska?

– Nie wyobrażam sobie, żeby chodziło w tym o pieniądze – rzekł Angus. – A jeśli, to z pewnością nie tylko. Nie widzę też w tym motywu romantycznego. Sunny? Ostatecznie tak. Ale Chastel?

Anna weszła głębiej do pokoju. Z wykładziny pod stopami wysączała się wilgoć, jak w mieszkaniu jej znajomych po tym, jak jakiś geniusz usiłował otworzyć kekę wkrętakiem i młotkiem, bo kurek przestał działać.

Widać było, gdzie leżał Michel, bo w tym miejscu widniała jasna plama.

I było też ciało... A raczej jego części. Zmusiła się, żeby na nie spojrzeć. Od znalezienia winnego mogło zależeć życie Charlesa. Nie miała luksusu wymigiwania się delikatnym żołądkiem.

Ręce, nogi, głowa (przypomniała teraz bardziej woskowy rekwizyt niż coś, coś tkwiło na ramionach żywej istoty i kiedyś mówiło) leżała na szczycie, twarzą do drzwi. Ręce ułożono po bokach, tak samo stopy. Resztę sterty tworzyły wnętrzności oraz kości.

Obok rozłożono płachtę, prawdopodobnie obrus, sądząc z kształtu, a na niej ułożono kawałki mięsa, steki, żeberka, jakby ktoś przygotowywał grilla.

Dlaczego sprawa tej krwi tak ją dręczyła?

– Nie znam się na wampirach – mówiła szybko, żeby zęby jej nie dzwoniły. – Ale w liceum czytałam Draculę. Czy wampiry marnowałyby tak krew? Czy to miało nas przerazić? Na kim chciały wyrzucić wrażenie i dlaczego?

– Nie – odpowiedział Charles. – Nie zmarnowałyby tak krwi. Nie bez dobrego powodu. Masz rację, to scenografia jak do filmu o seryjnym zabójcy. To nie pasuje do wampirów. Wampir, który zostawiłby w tym stanie miejsce swojego zabójstwa, nie przeżyłby do następnego. Wampiry nie mogą pozwalać sobie na przyciąganie uwagi społeczeństwa, tak samo jak my. Tu chodziło o efekt. I w osiągnięciu go włożono wiele wysiłku. – Zapatrzył się na stertę ludzkich szczątków i nagle uśmiechnął się z satysfakcją. – Najwyraźniej nazbyt wiele.

Wskazał na resztki Chastela.

– To oszukaństwo. Mamy jedne zwłoki, a tego tu jest za dużo o jakieś dziesięć kilogramów. Założę się, że znajdziemy tu kawałki maszynowo oddzielonej wołowiny. A na kościach pod spodem pewnie jest więcej mięsa niż na tych z wierzchu. Nie mieli tyle czasu, żeby zrobić to dokładnie. Wystarczyło im, żeby wyglądało to dobrze na pierwszy rzut oka.



– Ale na kim to miało wywrzeć wrażenie? – zastanawiał się Angus.

– Chyba nie na nas – stwierdziła Anna. – Poza mną... To rzeczywiście wygląda strasznie, ale dla wilków, które polują przy każdej pełni? Ta cała krew i kawałki mięsa to trochę mało straszości dla drapieżnika. – Nie wytknęła Angusowi, że nie może oczu oderwać od tej jatki. – A do tego ofiarą jest Chastel. Założę się, że Francuzi żałują Michela, ale na widok Chastela zakrzyknęli: „No i dobrze”. Myślisz, że zostało to zrobione z myślą o opinii publicznej? Żeby zmusić Marroka do porzucenia planów ujawnienia wilkołaków? Czy może z myślą o pradownych, którzy nie mieli pojęcia, jakim rzeźnikiem był Chastel? I ta jatka miała zwrócić na to ich uwagę, żeby nadać jego śmierci pozory sprawiedliwego czynu?

– Mówisz jak psycholog – podsumował Angus.

– Nie ta Omega. – Anna pokręciła głową. – To Ric jest psychologiem. Ja tylko oglądam procedurale śledcze i czytam kryminały. Znacznie gorzej zareagowałabym na tę scenę, gdyby to była Sunny. Jeśli to wampiry, a nie czuję nikogo poza Charlesem, Michele i Chastelem, więc na to wygląda, to nie bez powodu wybrały na ofiarę Chastela... A z innego pewnie Sunny.

– W przypadku Sunny chodziło o coś osobistego – rzekł Charles. – Nie podeszłaś blisko, nie widziałaś ciała i nie czułaś zapachów. Raniły ją i wykrwawiały powoli. Cierpiała. Byłoby to jasne dla każdego wilkołaka, który by się do niej zbliżył. Dopilnowały, żeby nam to nie umknęło. A to tutaj jest... makabryczne. Ale nieprawdziwe. Zainscenizowane. – Skinął poważnie głową. – A odbiorcą jest ktoś, bo nie my, kto, miejmy nadzieję, jeszcze tego nie widział.

– Wobec tego musimy to szybko posprzątać. – Angus zabrał się do działania, wyciągnął komórkę i wcisnął klawisz

szybkiego wybierania. – Powiedz ojcu, że to pójdzie na jego konto, nasza wiedźma słono sobie liczy. Tom?

– Tak? – Głos wilkołaka był przyciszony, jakby nie chciał przeszkadzać komuś w pobliżu.

– Załatw ekipę sprzątającą, z tych szybkich i dokładnych, i przywieź tu swoją wiedźmę. Tak, zapłacimy jej, a raczej Marrok to zrobi, powiedz jej, żeby liczyła po najwyższej stawce. Zabierz wszystkich do domu Chastela, wyjaśnię ci więcej już na miejscu. Ale tak, ktoś wreszcie wykończył sukinsyna. – Rozłączył się, a Anna z rozbawieniem uzmysłowiła sobie, że Tom nie odezwał się ani słowem po pierwszym „tak”. Angus był Alfą, który wiedział, że jego polecenie będzie wykonane.

– Rzeźnik – powiedział Charles w zamyśleniu. – Może to wszystko nie było zrobione na pokaz? Może wampiry nie zrobiły tego same z siebie, tylko dostały wytyczne? Uważam, że masz rację – zwrócił się do Anny – ale myślę również, że to symboliczne. Rzeźnik przyniósł kres Bestii. I nie kierował nim gniew, bo wtedy zrobiłby to sam. A jednak istnieje jakieś powiązanie pomiędzy Chastelem a tym, który stoi za jego morderstwem.

Anna przypomniała sobie coś, co powiedział Marrok.

– Może zabójca nie chce zająć miejsca Chastela w Europie? A przecież tego by oczekiwano po pogromcy Chastela, że stanie się europejskim Marrokiem, prawda? Nawet jeśli nie pokonał go zgodnie z zasadami.

Charles uśmiechnął się lekko, co wydawało się nie na miejscu w pokoju-rzeźni, ale z drugiej strony tak długo był wilkołakiem, że pewnie nie miał już tego rodzaju ludzkich odruchów, które jeszcze posiadała Anna.

– Powstrzymując mnie przed zabiciem Chastela, ocaliłaś mnie od losu gorszego, niż możesz sobie wyobrazić. Za żadne skarby świata nie chciałbym robić tego, co mój ojciec.

– Zastanawiam się nad czymś jeszcze – powiedziała Anna, ostatni raz omiatając wzrokiem pomieszczenie. Może w postaci wilka nie robiłoby to na niej takiego wrażenia, ale teraz prześladował ją widok odciętej głowy Chastela. Miała wrażenie, że te martwe oczy patrzą wprost na nią.

– Tak? – Głos Charlesa wyrwał ją z zadumy.

– Czemu nie zabili również Michela?

– Może zamierzali zabić i jego, i tylko przypadkiem przeżył? – głośno myślał Angus. – Uznali, że jest martwy. Jest ciężko ranny, ale i sprytny, może udawał, że obrażenia są poważniejsze niż w rzeczywistości?

Anna nazbyt dobrze знаła tę taktykę. Czasem jeśli oprawca pomyśli, że już złamał kość, nie uderza drugi raz.

– To by było tyle – oznajmiła Anna, wychodząc chwiejnie z pokoju. – Dłużej nie dam rady. – I pognęła do łazienki, którą mijali. Kawa nie pozostawała w jej żołądku na tyle długo, by smakować obrzydliwie. Tyle dobrego, że nie zdążyła zjeść śniadania.

Chwyciła czysty ręcznik i zmoczyła go w zimnej wodzie. Kiedy skończyła się wycierać, oczyściła nim też podeszwy trampek. Były ze skóry, kupiła je zaledwie dwa tygodnie wcześniej, a krew nie pozostawała na nich zbyt długo. Większość udało się zetrzeć.



## 11

**M**ichel był naprawdę w fatalnym stanie. Ledwie żył. Rozmowa z nim musiała poczekać. Alan położył go na łóżku szpitalnym w klatce w piwnicy swojego domu, dwadzieścia minut drogi od domu Francuzów. Klatka była niezbędna, bo poważnie ranne wilki podczas nieobecności dominujących współbraci mogły zachowywać się agresywnie.

Charles uznał, że jechanie do Michela jest bez sensu. Może za dzień czy dwa. Postanowił go odwiedzić, zabierając ze sobą jednego z jego krajanów.

Anna wyglądała na chorą. Nie, była tylko wymęczona wymiotami, poprawił się. I miała rację. Na nim – i pewnie na Angusie też – makabra sceny zbrodni nie wywarła tak silnego wrażenia. Może poruszyłaby go bardziej, gdyby Chastela krojono żywcem. Co innego, gdyby ofiarą był ktoś, kogo darzył sympatią, albo co gorsza, kogo miał chronić.

Ale Anna była młoda i mimo naprawdę trudnych przejść przez pierwsze lata po Przeistoczeniu niewiele jeszcze widziała. A może chodziło o to, że widok tej masakry nie przywoływał jej na myśl śniadania...

– Angus? Wracamy do hotelu, może uda się nam złapać jeszcze parę godzin snu. Czy możesz do mnie zadzwonić, kiedy posprzątaacie tu wszystko?

Angus, który wisiał na telefonie, skinął głową i Charles położył Annie rękę na ramieniu, dając jej znak, że mogą iść.

– Myślałam, że chcesz porozmawiać z Michelelem? – zdziwiła się.

– Nie dzisiaj. Damy mu trochę czasu, żeby doszedł do siebie. Na razie wystarczy mi, że zrobiły to wampiry. Czyli nie ja. I raczej wątpię, żeby Michela było stać na coś takiego. Nawet gdyby udało mu się zabić ciężko rannego Chastela, a ten nie był aż tak ciężko ranny, to poturbowany Michel nie miałby siły na przygotowanie tej scenerii. To zostało zrobione na zimno, profesjonalnie, przez wampiry.

– Czemu w pokoju twój zapach był taki silny? – zapytała nagle, przystając.

Znów ją popchnął, żeby szła naprzód.

– Nie mam pojęcia. Angus, mógłbyś to, proszę, sprawdzić?

Alfa Szmaragdowego Miasta znowu kiwnął głową, nie przerywając rozmowy.

Anna zrobiła krok i znów się zatrzymała.

– Zaraz, a kto jest zwycięzcą polowania?

– To istotne?

– Możliwe. Jeśli to Chastel zdobył pierścioneł, Dana miałaby do niego dostęp. A pradawni potrafią zaklinać przedmioty, prawda?

Charles spojrział ponad jej głową, Angus przysłuchiwał się im bacznie.

– Zaczekaj – rzucił do słuchawki i zwrócił się do nich: – Valentin wygrał. Niemiecki wilk.

– O ja cię!

Charles nie słyszał nigdy, żeby ktoś mówił to z takim uczuciem. Uśmiechnęła się do niego, wyraźnie znużona.

– Valentin świsnął nam torbę sprzed samego nosa. Prawie ją mieliśmy.

– Uprzedził ciebie i Włochów? – zapytał Charles z uznaniem.

– No, to pewnie sprawiło mu dodatkową frajdę. Choć drobna zemsta za to, że Omega postanowił zostać z watahą Isaaca.

– A więc nie było umagicznionego przez pradawnych klejnotu – skonstatowała.

– No chyba nie. – Charles wyprowadził ją na zewnątrz w chłód nocy... albo poranka.

Ian zasalutował im na odchodne puszką piwa.

Wsiedli do samochodu. Anna była tak zmęczona, że dopiero kilka przecznic dalej zorientowała się:

– Hej, ty prowadzisz! Jak to?

– Jesteś tak zmęczona, że bełkoczesz. Zamknij oczy, a ja dowiozę nas na miejsce.



– Ile możemy pospać? – zapytała Anna, zrzucając z siebie ubranie, jeszcze zanim zdążył zamknąć drzwi.

– Dopóki nas nie obudzą. – Charles również padał z nóg, ale pozbierał z podłogi jej ciuchy i rzucił je na torbę, a potem zrobił to samo ze swoimi. Został w bieliźnie, jak zwykle ostatnio – miał wrażenie, że Anna czuje się z tym lepiej.

Rzucił się na łóżko twarzą w dół i aż jęknął z przyjemności, jaką przyniosła możliwość odprężenia. Była czwarta rano, ale okna zasłonięte, więc jeśli Angus nie dowie się czegoś nowego, mogli pospać cztery, może nawet pięć godzin.

Anna leżała na skraju materaca, zostawiając między nimi zimną przestrzeń. Wiedział, że zaśnie w tej pozycji, a potem stopniowo będzie się przybliżała, aż skończy przyciśnięta do niego całym ciałem. Wtedy i on będzie mógł zasnąć.

– Charles?

– Hmm?

Poruszyła się, ale nie potrafił stwierdzić, czy odwróciła się od niego, czy do niego. Usłyszał w jej głosie niepewność, a brat wilk, stary łowca, podpowiedział mu, że trzeba trzymać głowę w poduszce i nie ruszać się, dopóki ofiara sama do nich nie podejdzie.

– Czy to ci przeszkadza? – szepnęła cichutko.

Przewertował w myślach wszystkie rzeczy potencjalnie mu przeszkadzające, ale nie potrafił dopasować nic do obecnych okoliczności.

– To, czyli co?

– To w nocy, wiesz. Ja. Moja wilczyca. – Zamilkła. Lecz to wystarczyło.

Mówiła o tym, jak się wieczorem kochali. Jak tu odpowiedzieć? „Wezmę cię zawsze tak, jak będziesz chciała i kiedy będziesz chciała, może teraz?” nie wydawało się właściwe.

– A dla ciebie to jakiś problem?

Ciche puk, puk, puk i drganie łóżka powiedziały mu, że stuka stopą o ramę. Potem materac ugiął się – usiadła. Odwrócił głowę, żeby móc widzieć ją jednym okiem.

Była naga. Część jej wiercenia się to było zdejmowanie bielizny. Patrzył, jak się pochyla i dotyka jego pleców. Położyła na nich swoją dłoń. Po drganiu tętnicy na szyi Anny zorientował się, że puls jej przyspieszył. Ale było to podniecenie.

– Złe wspomnienia?

Przytaknęła.

– Już po wszystkim. To już za mną. Czemu nadal mnie to dręczy?

Dłoń na jego plecach zwinęła się w pięść, zniknęła, a potem wylądowała z powrotem na płask.

Słowa. Nie był w nich dobry, mimo to musiał spróbować.

– W twojej głowie jeszcze nie jest po wszystkim. To nic, to naturalne, Anno. Nie możesz oczekiwać, że te rany zagoją się tak szybko. To tak jak... jak z moim postrzałem srebrem. Musi się zaognić, a czasami to bardziej boli, niż sam postrzał.

– Ale jeśli wypuszczam wilczycę, nie muszę się przemagać – stwierdziła z lekką goryczą.

– Wilczyca działa inaczej, dla niej liczą się potrzeby i terażniejszość. Nie myśli o przeszłości, jeśli nie przekłada się bezpośrednio na sytuację obecną.

– Wie, że nas nie skrzywdzisz – westchnęła Anna sfrustrowana. – Ale przecież ja też to wiem i w niczym mi to nie pomaga. Ona po prostu wyciąga rękę i bierze sobie to, co chce.

Przewrócił się na plecy, powoli i ostrożnie, żeby jej nie zaskoczył. Kiedy skończył, był dużo bliżej i mógł patrzeć na nią bez kręczu szyi.

– A ty mnie pragniesz? – zapytał.

Zabrała rękę, kiedy się poruszył, i teraz siedziała sztywno wyprostowana. Coś zaczęło się zmieniać...

– Nie twoja wilczyca – sprecyzował. – Ty, Anna. Czy tylko ona?

Bo może starała się tylko zaspokoić potrzeby stworzenia, które w niej żyło, żeby zachować status quo? W ten sposób żył Bran ze swoją towarzyszką. Ich wilki były ze sobą tak blisko, jak to jest w wypadku więzi, ale kobieta i mężczyzna... nie bardzo do siebie pasowali. Nie chciał, żeby tak to się skończyło z Anną.

Nie chciał wierzyć, że Anna go nie chce, że jedyne, co ich łączy, to wilki. Nawet sama myśl o tym bolała.

– Pragnę – powiedziała, przykładając rękę do piersi. – Naprawdę. – A potem uśmiechnęła się nieco żałośnie. – Ona też.

Wrócił więc do pierwszego pytania. Pragnął, żeby na nie odpowiedziała.



– Czy to dla ciebie problem, kiedy wilczyca inicjuje nasze zbliżenie?

Spuściła wzrok, nie w dowód uległości, tylko zwyczajnie po ludzku, żeby ukryć uczucia.

– Nie w ten sposób, który masz na myśli – wydukała w końcu.

– Czyli jaki?

Spojrzała na niego z irytacją.

– Anno, nie robię tego dla zabawy – Podtrzymał jej spojrzenie, kiedy znów miała ochotę uciec nim w bok. – Nie chcę cię skrzywdzić, a do tego muszę wiedzieć więcej.

– Pytasz, czy ja też się chcę z tobą kochać, kiedy ona zaczyna – wychrypiała zakłopotana i zarumieniła się.

– Tak, właśnie o to pytam.

Przełknęła z trudem ślinę.

– Tak – powiedziała, a potem dodała szybko, jakby na fali powietrza uchodzącego z balonu: – To chyba ja jej podsunęłam ten pomysł.

Charlesa omyła fala ulgi. To był dobry początek.

– A więc czy przeszkadza ci, kiedy inicjuje zbliżenie tak, jak byś tego chciała?

Parsknęła śmiechem.

– Przepraszam, ale to zabrzmiało trochę głupio. – Spuściła głowę, a potem uniosła i odrzuciła włosy do tyłu, ukazując zaróżowioną zakłopotaniem twarz. – Nie podoba mi się, że może to robić bez udziału mojej świadomości. Ale... nie potrafię się przemóc, żeby cię dotknąć nagiego, i potrzebuję w tym trochę pomocy z jej strony.

– Um. To może spróbujemy czegoś innego i zobaczymy, czy uda nam się osiągnąć coś przy mojej współpracy, za to bez niej.

Zamrugnęła zaskoczona.

– Co? Jest czwarta w nocy. Musisz mówić do mnie prostymi zdaniami.

Położył się płasko na plecach i uniósł podbródek, odsłaniając szyję w geście uległości, który dotychczas robił jedynie przy ojcu.

– Proszę – powiedział. – Nawet nie drgnę. – Położył ręce nad głową i poruszył dłońmi, jakby miał je przywiązane do materaca. Poruszał stopami. – Co ze mną zrobisz?



Gapiała się na niego z niedowierzaniem. Uległy? Charles? Ale odsłonięte gardło nie zniknęło. Żadnego zagrożenia. Nie mógł jej już bardziej przekonać słowami, że nie robi jej krzywdy, bo w jego słowa wierzyła. Teraz i jego ciało mówiło to samo – a temu wierzyła jeszcze bardziej.

A ponieważ wierzyła, dała radę przysunąć się bliżej i bliżej, aż dotknęła go kolanami. Pochyliła się i dotknęła nosem jego gardła, a kiedy przesunął się, żeby dać jej lepszy dostęp, dotknęła zębami jego nagiej skóry.

Czuła pod językiem, jak puls Charlesa przyspiesza. Nie ze strachu – czuła jego podniecenie, a czysty, nieskażony zew tego zapachu coś w niej poluzował, wydobywając z jej gardła jęk. Przesunęła językiem wzdłuż szyi Charlesa, smakując słoność i męskość, doceniając swobodę, jaką zapewnił jej, by mogła smakować i dotykać go we własnym tempie.

Nie spieszyła się, początkowo onieśmielona sytuacją. Czuła się, jakby... naruszała jego prywatność.

Nagle coś sobie przypomniała.

– Ktoś mi mówił, że nie znosisz być dotykany – powiedziała. Nie mogła sobie przypomnieć, kto to był. Może Asil?

Kiedy odjęła palce, uniósł się, podążając za jej dotykiem. Niepewna, zatrzymała dłonie tak, że musiał wysilić się, by nie oderwały się od jego skóry.

– Zazwyczaj nie lubię – przyznał nieco bez tchu. – Ale twój dotyk kocham. Możesz mnie dotykać, kiedy chcesz. Gdzie chcesz. Wszędzie. – Powiedział to bardzo szczerze, emocjonalnie, a ona natychmiast zobaczyła w wyobraźni scenę, jak on rozmawia ze swoim ojcem, a ona trzyma ręce w niestosownych miejscach na jego ciele.

Już miała podzielić się z Charlesem tą wizją, ale kiedy spojrzała mu w twarz, zobaczyła, że naprawdę miał to myśli, i impuls, żeby się zaśmiać, przeminął tak szybko, jak się pojawił.

Trzymając ręce i stopy nieruchomo, tylko z pomocą mięśni grzbietu dźwignął się bardziej, żeby jej dłonie przyłgnęły do niego mocniej.

– Pieść mnie – powiedział. – Lubię to.

Serce waliło jej tak mocno, że słyszała jego uderzenia. Ze strachu – tak, trochę, ale i przejęcia. Było coś doniosłego, wzmacniającego w tym, że Charles tak bez reszty zdał się na jej łaskę. Dotrzymał słowa – bez względu na to, co robiła, jego ręce i nogi pozostały na miejscu.



Czuła drgania pod głową.

Wrażenie było tak osobliwe, że jeszcze półprzytomna usiłowała rozgryźć, co to może być. Uszy wychwyciły warkot silnika gdzieś w pobliżu i zaczęła się zastanawiać, jakim cudem trafiła z łóżka do samochodu, nie zauważając tego.

A potem poczuła wampiry.

– Ocknęła się, Iwan – usłyszała kobiecy głos.

Otworzywszy oczy, Anna ujrzała wampirycę, która zaatakowała Moirę. Kobieta uśmiechnęła się do niej.

– Jeśli o mnie chodzi, nie znosiłam tej małej, aroganckiej laluni Krissy. Ale Iwan miał do niej słabość, a ciebie nienawidzi. Dlatego bądź grzeczną sunią i nie sprawiaj nam kłopotów, dobrze?

Anna nie odpowiedziała. Naga, ze skutymi rękami i nogami, leżała w tylnej części niebieskiego minivana, którym rozbijały się wampiry. Kanapy zostały usunięte, a do podłogi przytwierdzono potężne śruby, do których przyczepiono jej łańcuch. Nieźle zapłacą za to wypożyczalni przy zwrocie. Nawet ubezpieczenie nie pokryłoby kosztów wkręcenia w podwozie śrub oczkowych.

Wampirzyca opierała się o przesuwne drzwi, dotykając stopami boku Anny. Tuż przy niej siedział mężczyzna, na oko czterdziestopięcioletni, również wampir, więc pewnie od dłuższego czasu miał te swoje czterdzieści pięć lat.

Miała masę pytań na końcu języka. Co zamierzacie ze mną zrobić? Jak porwaliście mnie z hotelu? Co zrobiliście Charlesowi?

Charles nie pozwoliłby ot tak jej zabrać. Zamknęła oczy i wymacała mentalnie drugi koniec więzi. Uczucie było takie samo jak zawsze, gdy brat wilk ją blokował. A więc cokolwiek się stało, Charles żył.

Ostatnie, co pamiętała, to jak pochylała się, żeby posmakować jego skóry na brzuchu. Nie wolno okazać wrogowi słabości. Ostrożnie wybrała pytanie.

– Kto wam płaci?

Wampirzyca odsłoniła kły w uśmiechu.

– To nie moja część programu. Ja tylko wiem, co jest do roboty. Mamy cię zapakować i wysłać samolocikiem na drugą stronę błyszczącego oceanu. Nic ci nie będzie, jeśli nie narobisz nam kłopotów. – Wyszczrzyła się szerzej. – Oczywiście jeśli będziesz sprawiała problemy, zrobimy ci krzywdę. Ach, będzie zabawa, zabawa!

Za ocean, czyli do Europy? Któryś z wilków ją porwał? Naprawdę uważali, że Charles nie zdoła jej znaleźć poza krajem? Jeśli tak, grubo się mylili. No, ale znacznie łatwiej byłoby, gdyby jednak nie dała się wywieźć.

Szarpnęła się, wykorzystując siłę mięśni grzbietu i ud. Metalowe obręcze kajdanek boleśnie wrzynały się jej w skórę, ale zignorowała ból. Łańcuch był mocny, lecz pętla haka zaczęła się odkształcać, a podłoga samochodu się wybrzuszyła.

– Cholera! – Wampir siedzący u jej stóp odwrócił się gwałtownie do kierowcy. – Mówiłem ci, że w tym gównianym rzęchu nie ma jak jej porządnie przypiąć.

– Wsadź jej kulkę – odpowiedział kierowca.

Nie mogła wykręcić głowy na tyle, żeby go zobaczyć, ale obstawiała faceta, którego widziała pod halami. Nad fotelami przeleciała strzelba, rzucona przez kogoś siedzącego na miejscu pasażera. Krytykant wynajętych samochodów złapał ją, wymierzył i trafił Annę z bliska w ramię.



Charles usiadł i natychmiast złapał się za głowę. Potrzebował chwili, żeby dotarł do niego sens informacji przekazywanej mu przez zdenerwowanego brata wilka.

*Nie ma jej. Zabrali ją. Nie mogłem się ruszyć. Nie mogłem ich powstrzymać. Nie mogłem cię obudzić. Wstawaj!*

Anna?

Nie było jej. Był w łóżku sam.

W pokoju unosił się zapach wampirów i nocnego miejskiego powietrza – oba dochodziły od strony rozbitego okna. Złapał dzinsy, wciągnął je, a potem błyskawicznie założył skarpetki i buty – na niepokaleczonych stopach dopadnie ich szybciej.

Skok z szóstego piętra mógł skończyć się tragicznie, ale z czwartego, gdzie znajdował się ich nowy pokój, był wykonalny. Charles dał susa przez rozbite okno, wylądował na stopach i przetoczył się, żeby zamortyzować zderzenie z chodnikiem. Zerwał się obolały, lecz w pełni sprawny.

Mógł ich wytropić, nawet w mieście, ale był szybszy sposób. Nie namyślając się, otworzył połączenie z Anną.

Pierwsze, co odkrył, to że znajduje się niedaleko, tyle że dystans szybko się zwiększał. Była ranna – prawdopodobnie to pozwoliło Charlesowi przełamać zakłęcie, które pozbawiło go przytomności. Nadal czuł mrowienie magii, próbującej pochwycić go w swoje szpony, teraz jednak, w pełni świadomy, wypalił ją doszczętnie. Zakłęcie należało do wiedźmy. Podczas gdy w większości skupiał się na odnalezieniu Anny, część jego umysłu pracowała nad rozwikłaniem sprawy – wydawało się, że wampiry mają jakiś dostęp do magii wilkołaczej i wiedźmiej.

Przymknął połączenie, odcinając ból towarzyszkę, pozostawiając tylko przesmyk pozwalający mu ją namierzyć. W innym wypadku troska i zdenerwowanie rozpraszałyby go rzeczami, na które nie miał wpływu, dopóki nie znajdzie się przy Annie. To ograniczyłoby jego skuteczność. Po pierwsze – znaleźć ich.

Biegł.

Problem ze znalezieniem kogoś w mieście, szczególnie takim jak Seattle, poprzecinanym szlakami wodnymi, polegał na tym, że trzeba było nie tylko wiedzieć, gdzie szukana osoba się znajduje, ale również, dokąd zmierza.

Na południe, pomyślał, puszczając się pędem ze zbocza. Co znajduje się na południu? Beacon Hill, West Seattle, Kent, Renton, Tacoma. Większość wilków zatrzymała się w centrum, ale chyba Włosi wynajęli coś w zachodniej części miasta.

*Lotnisko.* Brat wilk był stuprocentowo pewien. Może wychwycił od Anny coś, co umknęło Charlesowi?

Lotnisko Seattle-Tacoma, dwadzieścia pięć kilometrów od hotelu. W wilczej formie rozwinąłby większą prędkość, ale straciłby czas na przemianę, poza tym ktoś mógłby go zobaczyć na autostradzie. Jednak na taką odległość nawet brat wilk nie utrzyma tempa. Lepiej byłoby ukraść samochód – co nie stanowiło dla Charlesa problemu. Tyle że znów straciłby cenne sekundy, a Anna o tyle dłużej pozostawałaby w rękach porywaczy. Uznał, że spróbuje złapać ich natychmiast.

W mieście nawet w ludzkiej formie poruszał się szybciej niż samochodem. Wampiry z pewnością nie chciały zwracać na siebie uwagi policji, przewożąc w samochodzie ranną porwaną, więc musiały się trzymać przepisów.

Dystans pomiędzy nimi malał.

O tak wczesnej porze ruch nadal był mały, niewiele większy niż wtedy, gdy wracali do hotelu. Oceniał, że może jest około piątej. Nie leżał długo nieprzytomny.

Znajdowali się niedaleko przed nim. Widział światła niebieskiego minivana, który stanął na skrzyżowaniu.

Charles skoncentrował się na sygnalizacji świetlnej i siłą woli zatrzymał ją na czerwonym. Nigdy wcześniej tego nie próbował i nie wiedział, czy to zadziała w mieście. Ale światło nie zmieniło się przez cały czas, kiedy przebiegał ostatni odcinek. I pozostało czerwone jeszcze, gdy odbił się i wskoczył do samochodu przez tylną szybę.

Wylądował na jednym z wampirów. Bez sekundy namysłu oderwał mu głowę i rzucił ją na przednie siedzenie, żeby wywołać jeszcze większy chaos. Jeden załatwiony. Zostało trzech. Wyczuł pod kolanem coś twardego. Chwycił to.

– Zastrzelcie go! – Kierowca chciał przejść na tył, ale spowolniła go bariera z oparcie foteli. Pasażer otworzył drzwiczki i wypadł na zewnątrz. Chciał obieć samochód i wejść bocznymi drzwiami. Tak czy owak, dawało to Charlesowi krótkie okno czasowe, kiedy miał tylko jednego przeciwnika.

Kobieta wrzeszczała coś o broni, a Charles uświadomił sobie, że przedmiotem zgarniętym z podłogi jest strzelba. Z całej siły wbił lufę w pierś wampirzycy, wypychając ją przez okno na ulicę. Nie była martwa, ale z pewnością unieruchomiona. Jeszcze dwóch.

Anna jęknęła, kiedy kierowca, któremu udało się przedostać na tył, nadepnął na jej rękę.

W samochodzie Charles miał przewagę. Co prawda ciasnota ograniczała jego ruchy, lecz wampiry, zazwyczaj wygrywające szybkością i zwinnością, traciły więcej.

Tyle że w samochodzie była też Anna, przykuta do podłogi, i walka w środku ją narażała, chwycił więc wampira, czując ból, kiedy ten w odpowiedzi uczynił to samo, i wyskoczył na zewnątrz w chwili, gdy wampir-pasażer odsunął boczne drzwi. Dzięki tej wolcie kierowca stracił oparcie, za to Charles, zamiast szarpać się z nim, mógł włożyć więcej siły w skok.

We dwóch wpadli na pasażera z takim impetem, że ten upuścił laskę, czy też kij do walki. Charles nawet się nie zastanawiał, co to dokładnie było, pomyślał tylko przelotnie, że w życiu nie widział wampira posługującego się bronią, która z taką łatwością mogła obrócić się przeciwko posiadaczowi. Ale daleki był od załamywania rąk nad głupotą przeciwnika.

Puścił wampira-kierowcę i grzmotnąwszy nim o bok samochodu, sam zdołał się od niego uwolnić. Chwycił upuszczony kij i wraził go pod żebra przewróconemu wampirowi, przebijając serce. Wilkołak nie potrzebuje zaostrego kołka, tępym też daje radę.

Został ostatni.

Odwrócił się, ale zamiast wampira ujrzał tylko wgniecioną blachę w boku samochodu. Wciągnął powietrze nosem i w tym samym momencie usłyszał błyskawicznie oddalający się tupot kroków. Na wszelki wypadek wyjrzał zza minivana, żeby upewnić się, że to wampir, a nie jakiś wystraszony



przypadkowy obserwator, ale trudno było pomylić tempo krwiopijcy z możliwościami człowieka.

– Nie zostawiaj mnie tak.

Popatrzył w dół na kobietę ze sterczącą z piersi strzelbą.

– Wschód już niedługo. – Coś czarnego zaczęło kipieć z rany wokół lufy. – Zabij mnie, proszę.

Nie miał ochoty jej przesłuchiwać, skoro w samochodzie czekała ranna ukochana. Nie chciał też zostawiać sobie za plecami ewentualnego zagrożenia. Uczynił zadość prośbie wampirzycy i rozprawił się ostatecznie również z ostatnim pokonanym. Od skoku do samochodu minęły niecałe cztery minuty, a on miał trzy dekapitowane ofiary oraz ich głowy zapakowane do vana.

Zażegnawszy bezpośrednio niebezpieczeństwo, zaczął sprawdzać, co z Anną. Mówiła coś do niego, jednak brat wilk był zdecydowanie bardziej zainteresowany przekonaniem się na własne oczy, co sprawia jej taki ból. Nie miał narzędzi, żeby uwolnić Annę z kajdan, ale łańcuch pękł, kiedy posłużył się strzelbą jak dźwignią.

Uwolniona, natychmiast usiłowała usiąść i z jej ust wyrwał się jęk bólu. Została postrzelona w ramię z bliska, zatrucie srebrem ledwie miało szansę się rozwinąć. Lekki nabój, śrutowy. Nie chcieli jej zabić, a unieruchomić. Co nie oznaczało, że nie mogła przez to umrzeć.

– Nic mi nie jest – powtarzała w kółko, starając się go uspokoić. Tyle że nie była to prawda.

– Ciii – powiedział tylko. – Nie ruszaj się.

Komórkę miał nadal w kieszeni spodni i w dodatku działała. Zadzwoił do Angusa.

– Gdzie jest Choo? – zapytał bez wstępów. – Anna została postrzelona.

– Anna? Postrzelona?

– Mam trzy trupy wampirów w niebieskim minivanie, który przypomina wrak po kilku stłuczkach. I postrzelili Annę. Potrzebuję Choo. Jest z Michelem? – Miał nadzieję, że nie. Dom Angusa znajdował się w Issaquah, a on chciał pomocy dla Anny szybciej. Najlepiej natychmiast.

– Towarzyszka jednego z Francuzów jest pielęgniarką. Michela zabrali do siebie. Alan jest u Artura, w domu w Dzielnicy Akademickiej.

– Wiem, gdzie mieszka Artur, jadę tam.

– Powiem tutejszym wampirom, że mamy dla nich sprzątaninę, zajmą się tymi ciałami i samochodem. Zadzwoń do Alana, uprzedzę, że się zjawicie. Potrzebujesz jeszcze kogoś?

– Nie. – Charles się rozłączył.

Nie miał ochoty zostawiać Anny z tyłu z trzema trupami, ale przeniesienie jej na przód niepotrzebnie sprawiłoby jej ból. Zresztą naga, zakrwawiona kobieta na siedzeniu pasażera z pewnością przyciągnęłaby więcej uwagi niż powybijane okna i wgniecenia w karoserii.

– Zostań tutaj, ja muszę prowadzić. To nie potrwa długo.

Kiwnęła głową i zamknęła oczy.

– Wiedziałam, że po mnie przyjdiesz. Nie chciałam tylko, żebyś musiał lecieć po mnie za ocean.

– Na szczęście jestem szybki.

Uśmiechnęła się, nie otwierając oczu.

– Na szczęście.

Nie udało mu się zamknąć bocznych drzwi, mimo że starał się wyrównać odkształcenia, więc zdjął jednemu z trupów pasek, opuścił szybę pasażera, zasunął boczne drzwi na tyle, na ile się dało, i umocował do ramy przednich.

Wampiry zostawiły samochód na chodzie, a kluczyki w stacyjce. Wsiadł za kierownicę i w tym momencie światło się zmieniło na zielone.

– Charles? – Głos Anny pobrzmiwał napięciem. – Możesz ze mną rozmawiać? Ciągłe wydaje mi się, że wampiry się ruszają...

– Są martwe. Ostatecznie. Ale możemy rozmawiać.

Obawiał się, że będzie musiał wykoncypować temat tej rozmowy, choć aktualnie myślał tylko o tym, żeby jeszcze coś zamordować. Tym razem jednak to Anna przyszła na ratunek jemu.

– Myślisz, że Artur może być tym Arturem?

– Ojciec mówił, że ten Artur był niesamowitym strategiem, godnym podziwu wojownikiem i człowiekiem na wskroś pragmatycznym, który śmiałyby się z legend o królu Arturze, rycerstwie i poszukiwaniach Świętego Graala. Mówi też, że biała pani istniała, ale nie miała w sobie nic z Ginewry. Prawdziwi byli Pani Jeziora, Morgana Le Fay i Merlin, ale też nie przypominali tych z opowieści. Nie było kogoś takiego jak Lancelot. Ani Okrągłego Stołu. Była tylko grupka zdesperowanych ludzi starających się ze wszystkich sił utrzymać Anglosasów z dala od swoich ziem. Prawdziwa historia jest podobno dużo ciekawsza od legend, ale nie tak efektowna. – Spojrzał przez ramię na Annę, ale nie potrafił stwierdzić, czy ma się lepiej, czy gorzej. – Nigdy nie opowiada tych prawdziwych historii.

– A więc Artur-wilkołak...

– Lubi narzekać, jak to Lancelot wszystko zepsuł – dokończył Charles kpiąco. – Jeśli jest wcieleniem króla, to bardzo odmiennym od oryginału. Ale pomiędzy nim a ojcem jest jakaś zadra. Serdecznie się nie znoszą. Więc trzeba na to brać poprawkę.

– Ale do ciebie Artur chyba nic nie ma?

– Dajemy radę, tu i teraz.

– A reinkarnacja?

– Nie ma na nią żadnego dowodu. – Charles wzruszył ramionami. – Ale nie ma również takiego, który świadczyłby, że

nie istnieje. Ja wierzę, że życie w zaświatach jest lepsze niż tutaj, więc tylko coś naprawdę niesamowitego mogłoby skłonić kogoś do powrotu.

– A ten miecz?

– Jest stary, ale ojciec twierdzi, że to nie Ekskalibur. A nawet jeśli, stracił już całą moc, która czyniła go Ekskaliburem.

– Czyli jakiś Ekskalibur istniał naprawdę?

– Tak, podobno powstał dzięki pradawnemu, któremu przybycie Anglosasów było tak samo nie w smak, jak rdzennym mieszkańcom. I Artur ma rację, że nie była to jedyna taka broń. Poza mieczem istniały włócznia i sztylet.

Przez jakiś czas Anna milczała. A potem odezwała się wyraźnie słabiej:

– Bran jest na tyle stary, że znał Artura?

Charles nie zauważył widocznych oznak poważnego krwotoku, ale może niedokładnie szukał? Wcisnął mocniej pedał gazu.

– Zapytaj go o to, może ci odpowie. Mnie nie chciał.



Alan czekał z dwójką obcych na podjeździe domu Artura. Charles natychmiast po wyskoczeniu z samochodu zorientował się, że nieznajomi nie należą do watahy Angusa.

– Wampiry – warknął.

– Mają posprzątać bałagan – wyjaśnił Alan. – Gdzie Anna?

Charles otworzył drugie, działające drzwi, a Alan natychmiast zajrzał do środka.

– Cześć, Alan – przywitała go Anna.

– Widzę, że dałaś się postrzelić – skwitował, rzuciwszy na nią okiem.

– Tak wyszło.

Medyk roześmiał się.

– Wyjdiesz z tego. – Wycofał się i zwrócił do Charlesa: – Wnieś dziewczynę do środka, wydłubiemy z niej to świństwo.

Charles podniósł Annę najostrożniej jak potrafił. Alan przytrzymał drzwi i Charles minął go i przystanął.

W korytarzu stał Artur, zastawiając sobą drogę do wnętrza domu. Wyglądał okropnie, miał poszarzałą twarz, zionące pustką oczy.

W innych okolicznościach Charles odegrałby przedstawienie niezbędne, żeby obcy dominujący wilk mógł wejść na terytorium drugiego, ale obecnie Anna wykrwawiała mu się na rękach.

– Gdzie mogę ją położyć? – Tylko na tyle zdobył się w ramach dopełnienia tradycji.

– Chodź za mną. – Ton Artura był znękany i napięty, ale nie niezapraszający. Może Charles niewłaściwie odczytał jego postawę?

Odwrócił się i zaczął iść.

– Mamy tu pokój gościnny. Może na górze byłoby bezpieczniej, ale tam... leży Sunny.

Pokój gościnny pachniał Alanem Choo – najwyraźniej medyk spał w nim tej nocy. Artur odgarnął pościel, żeby Charles mógł położyć Annę na łóżku.

– Angus mówił, że to wampiry – zagaił Artur.

Charles, pamiętając, że Artur ma prawo wiedzieć, streścił wydarzenia. Potem przykrył Annę, uważając, by nie podsunąć koca za wysoko i nie urazić rany.

– Szkoda, że jeden z nich uciekł – podsumował Artur.

– Iwan – odezwała się Anna. Charles myślał, że jest nieprzytomna, bo leżała nieruchomo. – Nazywał się Iwan.

Charles na moment odwrócił od niej wzrok, a potem spojrzał na Artura.

– Może uciekać, a ja i tak go znajdę.

Artur opuścił powieki, osłaniając oczy rzęsami, zamiast uciec spojrzeniem, ale Charlesowi to nie przeszkadzało.

– Tak, a kiedy go znajdziesz, powiesz mi.

– Powiem.

– Wiem, że według was ktoś ich najął. – Artur zapatrzył się w czerń zimowego poranka za oknem. – Dowiedzieliście się już, kto im płacił...? Albo dlaczego zabili moją Sunny?

– Nie. Nie miałem nastroju na przesłuchania – przyznał Charles. – Może Anna...

– Nie – wymamrotała. – To nie był tutejszy wilkołak. Ani Angus, ani nikt z jego watahy. Ani... – zerknęła na Artura i nie wspomniała o Danie – nikt stąd. To ktoś spoza Stanów. Chcieli mnie zabrać za ocean.

– To wszystko nie ma najmniejszego sensu – orzekł Alan, wchodząc do pokoju z tacą pełną chirurgicznych utensyliów. – Morderstwo Sunny, próba uprowadzenia Anny, morderstwo Chastela. Nie ma w tym żadnego powiązania.

– Widocznie dla kogoś ma to sens – stwierdził Artur. – Mogę jeszcze jakoś pomóc?

– Nie. – Obecność brytyjskiego Alfego przy rannej Annie wystawiała cierpliwość Charlesa na próbę. – Dziękuję.

Artur uśmiechnął się blado.

– Daj znać, gdybyś czegoś potrzebował – powiedział na odchodne.

– Mam morfinę – oznajmił Alan Annie. – Ale wilki różnie na nią reagują. Czasami tylko nie wywiera efektu. A czasami pogarsza sprawę, bo nie uśmierza bólu i nie pozwala się nań nastawić.

– Nie chcę morfiny – zdecydowała Anna. – Powyjmuj to ze mnie.

Alan spojrział na Charlesa.

– Przytrzymam ją – obiecał Charles i wsunął się pod Annę tak, że opierała się o niego górną częścią ciała.

W ten sposób miał najlepsze szanse ją przytrzymać. Może i był wilkołakiem, ale ona również.

– Postaraj się nie napinać mięśni – poradził jej.

Alan usiadł na łóżku twarzą do Anny, tacę położył na szafce obok, a miskę przy biodrze. Zaczął od kleszczyków o ostrych końcach i szybko wyciągnął kilka pierwszych ziaren.

– Zauważyłeś? – zapytała Anna, leżąc z zamkniętymi oczami.

– Co? – zapytał Charles.

– Tego jednorękiego wampira. Ciekawe, co zrobił z tym drugim ramieniem. – Syknęła, kiedy Alan wyciągnął kolejną kuleczkę.

– Nie mam pojęcia. – Charles pocałował ją w czubek głowy.

Anna nie próbowała mu się wyrywać, kiedy Alan usuwał leżące płycej ziarna. Nie ruszała się, dopóki nie musiał sięgnąć głębiej.



## 12

**A**nna pocila się i przeklinała, a Charles szalał ze zdenerwowania i sam był na najlepszej drodze do konieczności unieruchomienia. Alan miał nerwy ze stali, bo nawet nie drgnęła mu ręka, kiedy Charlesowi mimo starań wyrywały się spomiędzy zębów gniewne powarkiwania. W końcu medyk wrzucił kleszcze do nerki.

– To tyle – powiedział. – Jest tam jeszcze trochę ołowiu, czuję go po zapachu, ale nie dam rady go tak znaleźć. Do tego trzeba by prześwietlenia. Tyle przynajmniej, że to nie srebro.

– Mamy aparat do rentgena w Aspen Creek – powiedział Charles.

– To, co zostało, powinno wyjść, jeśli pozwolisz się ranie rozjątrzyć. Nie ma tego wiele, nie rozchoruje się od tego.

– Też jestem za tym. – Świetlista cera Anny przybrała teraz zielonkawy odcień z ciemnymi podkowami pod oczami. – Żadnego więcej grzebania w ranie, proszę.

Charles wysunął się spod niej.

– Zmienisz zdanie, kiedy rana zacznie ropieć – wieszczył. – Ale oczywiście zaczekaj, sama zobaczysz.



– Pff, oczywiście, że wytrzymam – prychnęła z godnością. – Ropienie. Kocham ropienie.

Pocałował ją lekko i przyjrzał się kajdankom, którymi wampiry skuliły Annę.

– Dam radę je otworzyć – ocenił. – O ile Artur ma odpowiednie narzędzia na podorędziu.

– Idź, zapytaj – popędziła go Anna. – Skoro mam ropieć, chciałabym to robić wygodnie. A te obręcze nie są wygodne. I w dodatku okropnie niegustowne.

Charles uśmiechał się, wychodząc z pokoju. Wcześniej przejmował się raną Anny, bólem i tym, że musi jej pomóc, wcale nie myślał o jej nagości. Ale nie chciał, żeby Artur tak ją zobaczył, dlatego zamknął drzwi.

W domu panowała ciemność, uznał więc, że może Artur się położył – w końcu do rana było daleko. On sam nie zamierzał się kłaść, nie zasnąłby w domu Artura, a nie zamierzał przenosić Anny, dopóki jej stan się choć trochę nie poprawi.

Wszedł do kuchni i zaczął przeglądać zawartość szafek w poszukiwaniu jakiegoś przydatnego narzędzia.

– Charles? – Głos Artura dobiegał z pokoju, gdzie wilkołak przechowywał swe skarby.

– To ja. Szukam czegoś, czym mógłbym otworzyć kajdanki. Nie masz przypadkiem wytrychu?

– Pewnie mam coś, co się nada.

Charles przestał grzebać w szufladzie i podniósł głowę. Głos Artura brzmiał jakoś dziwnie.

Może to nic, ale i tak sięgnął do bloku, wyjął nóż do filetowania i wsunął go do tylnej kieszeni spodni.

– Byłoby super. – Pilnował, żeby mówić swobodnie, na rozluźnionych mięśniach krtani. Nie chciał się zdradzić, że cokolwiek podejrzewa. – To nie jakiś wielki problem, a Anna jest twarda i wytrzyma z nimi jeszcze trochę, ale wołałbym je

zdjąć. – Wszedł niespiesznie do salonu, gdzie w pobliżu sofy wyczuł delikatny zapach Sunny.

Biedactwo. Nie znał jej dobrze, było mu przykro, ale nic ponadto. Nic dziwnego, że Artur się załamał. Współczuł Arturowi i było to znacznie głębsze i bardziej szczere niż żal po odejściu Sunny.

Starał się nie myśleć o tym, że dzisiejsze wypadki mogły się skończyć dużo gorzej. Na szczęście Annę chciano tylko porwać. Nie zabić.

Próba porwania jej obudziła w nim taki gniew, że nawet zabicie trójki napastników nie zdołało go ukoić. A tym bardziej brata wilka.

Gdyby zginęła... podążyłby za nią. Zatrzymał się przy tej myśli, bo była dla niego nowa. Ale nie zaskoczyła go mocno. Gdyby umarła, on również. Nie zostawiłby jej samej, podobnie jak wtedy, gdyby udało im się ją wywieźć. Należała do niego, a on do niej.

– Charles?

Zadzwoiła jego komórka.

– Już idę, to Angus. – Odebrał. – Tak?

– Twoja Anna trafiła w dziesiątkę. Jakąś godzinę temu, kwadrans po tym, jak ekipa sprzątająca opuściła dom Chastela, wpadł tam szwadron policji. Ktoś zgłosił krzyki, wycie psów, strzały i Bóg wie co jeszcze. Przywieźli ze sobą luminol, wiesz, ten płyn, który świeci w zetknięciu z krwią. Mamy ogromny dług wobec Moiry, bo nie znaleźli nic. Poprzednia nasza wiedźma nie zdołałaby sprzątnąć tej jatki aż tak dokładnie. Policja nadal przetrząsa dom, ale już spokojniej.

– Ktoś się spóźnił z uruchomieniem pułapki – skomentował Charles świadomy, że Artur wszedł do pokoju i słucha.

– Dokładnie – przytaknął Angus i na moment zawiesił głos. – A ten twój zapach... Moira odkryła twoje ubranie w jednej... hm, ze stert szczątków. Domyślamy się, że ktoś ukradł ubranie, które

nosiłeś podczas polowania, roztarł zapach po całym pokoju, a potem wetknął między kości.

– Czyli ktoś chciał mnie wrobić.

– Bez wątpienia. Nawet pradawna nie jest teraz w stanie tego na ciebie zwalić. Wiem, że opuściłeś teren polowania w innych ciuchach.

– Czyli wszystko dobrze.

– Tak. A z innych ciekawostek, jeśli chodzi o tego vana, tutejsza wampirzyca podczas sprząwania rozpoznała ten kij, którym przebiłeś jednego z napastników. Powiedziała, że to łowca zaklęć. Przedmiot tajny przez poufny. Naszym wampirom naprawdę zależy, żeby nie mieć problemów z Branem, skoro nam to powiedziały. Taki artefakt potrafią zrobić tylko dwa wampiry i sporo sobie za niego śpiewają. Jeśli ta banda spoza miasta była najemnikami, to musieli być dobrzy i bogaci, skoro było ich stać na taką zabawkę. Z tego, co mówiła wampirzyca, ten kij potrafi zaabsorbować do czterech zaklęć, a właściciel, z którym kostur jest zestrojony, może je rzucić, nawet jeśli sam nie posiada magii.

– To wyjaśniałoby zaklęcie cienia i niezauważalności, którym posłużyły się wampiry podczas pierwszej napaści na Annę. I jednocześnie tajemnicę wydostania jej z hotelu pod moim nosem. Musiały się posłużyć łowcą zaklęć i rzucić na nas czar snu.

– Warto zanotować, że kij może przyjąć tylko te zaklęcia, które ktoś przekaże mu z własnej woli. To oznacza, że jakiś wilkołak dał wampirom zaklęcie cienia i niezauważalności.

– I potwierdza teorię Anny – powiedział Charles. Krążył po pokoju w tę i we w tę. Z wielu powodów nie znosił komórek, ale jedno mu się zdecydowanie podobało: nie zaplątywał się w kabel.

– Z Anną w porządku?

– Tak, i będzie jeszcze lepiej, kiedy wyjdzie z niej kilka kawałków ołowiu, a ja zdołam otworzyć kajdanki, żeby nie musiała się tłumaczyć z dziwnego gustu biżuteryjnego.

Artur opierał się o framugę i nawet nie udawał, że nie słucha.

– Świetnie – powiedział Angus. – Dobrze się spisałeś, synu.

Charles skwitował „syna” uśmiechem. Był o parę dekad starszy od Angusa.

– Tak sądzę. Anna jest... moim dopełnieniem.

– Koniecznie jej to powiedz – poradził mu Angus żartobliwie.

– Kobiety lubią wiedzieć, że robią na swoich mężczyznach wrażenie, które aż odbiera im mowę.

– Powiem. – Charles zakończył połączenie.

– Ekipa sprzątająca? – zapytał Artur.

Charles zdał sobie sprawę, że Artur nie wie o wielu rzeczach.

– W nocy zabito Chastela w niezwykle brutalny i widowiskowy sposób. Musieliśmy szybko działać.

– To ty go zabiłeś?

– Nie. Wampiry.

– Ach... – Artur umknął spojrzeniem w bok. – Chastel. To bardzo dziwne uczucie, że już go nie ma. Nareszcie. Na odpowiedniejszego trafić nie mogło. – Uśmiechnął się krzywo. – Czyli już po wszystkim, prawda? Biedna Sunny. – Potarł twarz, ukrywając ją przy okazji. – Przepraszam. Przepraszam. A więc Chastela trzeba było posprzątać?

Charles zastanawiał się, czy nie zaoferować mu jakichś słów pocieszenia, ale uznał, że to i tak na niewiele się zda.

– Anna twierdzi, że morderstwo było tak krwawe, szczególnie biorąc pod uwagę, że sprawcami są wampiry, że...

– Wampiry go zabiły? To pewne?

– Ironia losu, biorąc pod uwagę, jak wiele wilków miało ochotę to zrobić.

– A kto wezwał policję? One?

Charles wzruszył ramionami.

– Cóż, najważniejsze, że po czasie. Policja miała zastać scenę zbrodni w pełnej jej krwawej chwale. – Może miało to powstrzymać Brana przed ujawnieniem wilkołaków? A może powstrzymać wilkołaki przed zbadaniem miejsca, aby łatwiej dało się zrobić jego? Gdyby nie przeprowadzili własnego śledztwa, nigdy nie dowiedzieliby się, skąd zapach Charlesa, skoro nawet nigdy nie wchodził do tego domu. – Ktokolwiek to zrobił, dał nam czas na posprzątanie. Teraz policja nic tam nie znajdzie.

– Pewnie nie. Angus jest niezwykle skuteczny.

– A na dodatek jego Drugi jest policjantem. Tom wie, czego śledczy mogliby szukać i jak im to uniemożliwić.

Charles zamilkł. Nagle przyszło mu do głowy, że jest w stanie wyobrazić sobie, jak Artur wynajmuje kogoś, żeby zabił w jego imieniu. Ale szybko odsunął ten pomysł. Przecież Sunny zginęła. Wilk nigdy nie zabiłby swojej towarzyszki. Mimo to, idąc za podszeptem intuicji, rzucił przynętę.

– Ktokolwiek wezwał policję, spóźnił się o kilka godzin. Może udałoby mu się, gdyby zrobił to tuż po zabójstwie. – Potrząsnął głową. – Chyba to mi gdzieś skrzeczy. Ta cała nieporadność, nieudolność w tym wszystkim. W końcu wilkołaki to świetni myśliwi. A wampiry próbowały porwać Annę, zresztą stało się to niedługo przed naszą kolacją, nie udało im się i w dodatku stracili dwojkę swoich. Michel, jeden z Francuzów, był w domu, podczas gdy Chastela zabito. I zostawiono go przy życiu. Za parę dni dojdzie do siebie i powie nam wszystko, o czym wampiry rozmawiały między sobą i co mówiły. Może wypsnęło im się, kto ich wynajął?

– Ktoś ich wynajął?

– Tak, to zawodowcy. Zapłacono im, żeby przyjechali do Seattle, i zlecono co najmniej trzy zadania. – Charles wyliczył je na palcach. – Porwanie Anny. Zabójstwo Sunny. I zabójstwo Chastela w wyjątkowo krwawy sposób, który miał aż krzyczeć

„potwór” do policji. – Charles zaczął mówić ciszej, jakby myślał na głos. – To nie wampiry wykazały się nieudolnością. Gdyby za pierwszym razem podczas próby porwania wiedziały, z czym mają do czynienia, udałoby im się. Ktoś zlekceważył opiekunów, których wysłałem z Anną. Uznał, że jedynym problem może być Drugi Angusa, Tom. Zabójstwo Chastela było... dziełem sztuki. Każdy człowiek, który by wszedł do tego pokoju lub zobaczył zdjęcia, zapamiętałby ten widok do końca życia. Ale ktoś, kto miał wezwać policję, pokpił sprawę. – Charles obserwował Artura spod oka. Twarz wilkołaka wyrażała jedynie uprzejme zainteresowanie. Jednak ciało zdradzało napięcie i narastający gniew. – Tak, ta cała nieudolność... – powtórzył i patrzył, jak dłonie Artura zaciskają się w pięści.

Artur.

Bran węszył coś podejrzanego w śmierci Alfy, która miała miejsce niedawno w Londynie. Silny facet, bardzo dominujący, zginął w wypadku samochodowym, dosłownie tracąc głowę. To mogło być ukartowane działanie.

Charles znów zaczął chodzić tam i z powrotem, zupełnie ignorując Artura, żeby ten nie zorientował się, że się zdradził.

Pozbycie się Chastela było ze strony Artura sensownym posunięciem. Stanowił dla niego zagrożenie i powstrzymywał przed ekspansją na Europę, gdzie śmierć Bestii wytworzyła ogromną próżnię. To pewne, że w walce twarzą w twarz Artur nie miał z Chastelem szans. Nie mógł jednak zamordować go podstępnie i przyznać się do tego, ponieważ tak tchórzliwy sposób pozbycia się przeciwnika nie zaskarbiłby mu posłuchu. A ponieważ Artur nie był tak silny jak Bran, żeby władać całym kontynentem, dysponując jedynie swoją mocą, potrzebował, żeby wilkołaki uznały w nim przywódcę dobrowolnie. Dlatego chciał przypisać zabójstwo Chastela komuś innemu.

Raczej nie chodziło mu o to, czy świat dowie się o istnieniu wilkołaków, czy nie. Artur należał do tej grupy charyzmatycznych wilków, które Bran chciał przedstawić ludziom w pierwszej kolejności. A wyreżyserowanie morderstwa Chastela tak, aby wyglądało na próbę zwrócenia uwagi ludzi na wilkołaki, było sposobem na odsunięcie od siebie podejrzeń, w końcu wielu wilkom nie podobały się plany Marroka. Bran nigdy nie uwierzyłby w to, że Chastel zginął z rąk Charlesa, dlatego Artur potrzebował jako kozła ofiarnego kogoś innego, jakiegoś bezimiennego winnego. Kogoś, kto by wynajął wampiry, a potem wyparował.

A jeśli chodzi o motyw rzeźnika, to... stanowił puentę, wyrażającą stosunek Artura do Chastela. Chastel był barbarzyńcą, a Artur miał się za kogoś lepszego od niego. Nie widział żadnych podobieństw pomiędzy sobą i Bestią. Dla niego okrutnik zabijający dla przyjemności był dzikusem. A Artur nie zabił dla przyjemności.

Chastel utrzymywał się przy władzy, mordując każdego, kto chciał sięgnąć po jego miejsce, a resztę po prostu zastraszał. Artur zaczął likwidować Alfę w Wielkiej Brytanii, a potem przestał. Chyba że znalazł lepszy sposób na pozbywanie się wilków, które mogły mu rzucić wyzwanie. Bran pewnie się tego domyślał. Dla Charlesa Artur i Chastel byli dwiema stronami tej samej monety – łaknęli władzy, ale i nie chcieli troszczyć się o innych. Artur nie postrzegał tego w ten sposób, choć czuł potrzebę podkreślenia tej różnicy, traktując ciało Chastela w tak brutalny sposób.

Sunny.

Jeśli powodem wynajęcia wampirów był problem wilkołaka z zaatakowaniem wilczej Omegi, zatrudnienie ich do zamordowania ludzkiej Omegi stałoby się koniecznością.

W tym kontekście próba wprowadzenia Anny zyskiwała sens. Wiele wilkołaków posiadało prywatne samoloty – wśród nich

Artur. A Anna była tym wszystkim, czym Sunny być nie mogła. Omegą. Cenną nie ze względu na swoje cechy, ale ze względu na to, jak postrzegali ją inni. Wartościową własnością. I w przeciwieństwie do Sunny, mogła żyć wiecznie. Sunny zaczęła się starzeć, jak to ludzie. Cierpienie, jakie Artur odczuwał z tego powodu, było autentyczne. Zabił ją więc, żeby oszczędzić sobie bólu. Sądząc z reakcji Artura podczas polowania, chyba jednak nie docenił, jak mocno to przeżyje. Taką przynajmniej Charles miał nadzieję.

Spokojnie wyciągnął jeszcze raz komórkę i wybrał tworzenie wiadomości.

– Muszę poinformować ojca. Pewnie właśnie je śniadanie, a nie lubi, jak przerywa mu się posiłek, więc lepiej napiszę o dzisiejszych wydarzeniach i odkryciach, a on zadzwoni w wolnej chwili. – Żadnego kłamstwa, które Artur mógłby wychwycić. Wysłał maksymalnie prostą wiadomość: „To Artur”.

Trzymał telefon odwrócony tak, żeby Arturowi wydawało się, że nadal pisze do Brana, ale napisał kolejną do Angusa: „Nie dzwoń. Przyślij wsparcie. Artur to oprych”. Trochę melodramatycznie, za to krótko, treściwie i klarownie. Wysłał.

Dałby radę Arturowi, który nie mógł nawet mierzyć się z Chastelem. Ale przebywali tu też Anna i Alan i to im musiał zapewnić bezpieczeństwo, a to oznaczało sprowadzenie pomocy.

– Szukałeś wytrychów – przypomniał Artur.

– Tak.

– Mam je tam. – Wskazał kiwnięciem głowy pokój, w którym trzymał skarby. – Pakowałem wszystko. Nie zamierzam tu wracać.

Charles poszedł za nim. Wyglądało na to, że Artur rzeczywiście pakował dobytek. Gobeliny rozpięte w ramach leżały w skrzyni z nieheblowanymi deskami, takiej, jakich używają



muzea do transportu eksponatów. Mniejsza ze skrzynek była już zamknięta. Na zewnątrz pozostało jedynie pudło z mieczem.

– Większość rozgryzłem – powiedział Charles, przesuwał palcem po gładkim drewnie kasetki skrywającej broń. – Ale jak udało się przekupić Danę, żeby złamała słowo?

Podniósł wzrok i ujrzał, jak Artur nagle nieruchomieje. Zaszła w nim jakaś drobna zmiana – prawie całkiem stracił aurę żalu.

– Tak samo, jak nakłoniłem do współpracy wampiry. Zaproponowałem w zamian coś, czego bardzo pragnęła. – Artur się uśmiechnął. – Choć pewnie nie zadziałałoby to, gdybyś jej nie rozdrażnił.

– Niby czym ją tak rozdrażniłem? – Charles natychmiast po tych słowach przypomniał sobie silną reakcję Dany na obraz, który przysłał jej Bran. Miejsca, które niegdyś należało do pradawnej, już nie było, straciła je. Intencją Brana było podarowanie Dany pamiątki, ona jednak mogła odebrać to opacznie jako drwinę.

Artur podniósł ręce w teatralnym geście.

– Skąd miałbym to wiedzieć? Pradawnych łatwo urazić. A jeśli chodzi o to, co jej zaproponowałem... – Wskazał na kasetę z mieczem.

– To przecież nie jest prawdziwy Ekskalibur. Kiedy Dana odkryje, że go nie masz, będzie... urażona.

Artur przesunął palcami po wieku i odsunął płytkę z ciemnego drewna znajdującą się na końcu.

– Jest coś w powiedzeniu, że najlepiej ukryć coś na widoku.

Miecz, który wyjął ze skrytki, nie był tym, który im pokazywał, choć wyglądał bardzo podobnie w swojej prostocie. Żaden z nich nie przypominał rekwizytów filmowych. Gdy tylko ukryte ostrze zostało wydobyte ze skrzynki, Charlesowi włoski zjeżyły się na karku.

Ekskalibur czy nie, nie ulegało wątpliwości, że broń w rękach Artura to artefakt pradawnych – wyczuwał jego magię na skórze, wyczuwał jej woń.

Charles wiedział, że Artur jest wytrawnym szermierzem. Uczył się fechtunku i szlifował umiejętności podobnie jak Charles. Biegłość Brytyjczyka dało się poznać po doskonałej równowadze i chwycie na rękojeści – ani za słabym, ani zbyt mocnym.

Charles do tej pory nie przejmował się mieczem, ale to ostrze... Nie miał z nim szans. Cała nadzieja w Angusie, tylko dzięki jego pomocy Anna miała szansę wyjść z tego cało. Musiał więc grać na zwłokę tak długo, jak było konieczne. A że Artur lubił teatralne występy...

– Anna nie pojedzie z tobą z własnej woli – oświadczył. – Nie stanie u twego boku. Wyczeka, kiedy staniesz się nieostrożny, i wypruje ci flaki.

– Naprawdę nie wierzysz w reinkarnację, prawda? – uśmiechnął się Artur. – Ani w przeznaczenie? Przybyłem tu, żeby zabić Chastela i twojego ojca. Z Chastelem się udało. W przypadku twojego ojca trzeba więcej wysiłku.

– Chastela rozumiem, ale czemu uparłeś się na Marroka?

Artur spojrzał na niego, jakby miał do czynienia z niedorozwiniętym.

– Bo jestem nim. Królem Arturem. Moim przeznaczeniem jest najwyższa władza.

Jednak szaleństwo, pomyślał Charles.

– Ale Marrok nie przybył.

– Nie – przyznał Artur. – Przeznaczenie obiera swoje własne ścieżki. Wiesz, kim jest Dana?

– Cóż, przypuszczam, że zaraz mi powiesz – skwitował Charles kpiąco.

– Ciekawe, czy Marrok wie. To właśnie mam na myśli, mówiąc o przeznaczeniu, bo to ja, Artur, odnalazłem Nimue,

Panią Jeziora. Już dwadzieścia lat temu dowiedziałem się, że jest tutaj, w Seattle, wtedy widziałem ją tu po raz pierwszy. Przewidziałem, że kiedyś w przyszłości może nadejść moment, kiedy to będzie istotne, dlatego kupiłem Sunny ten dom.

Cóż, nakłonienie Artura do monologowania nie jest na szczęście trudne, pomyślał Charles.

W oczach Brytyjczyka błysnęły przebiegłe iskry.

– Nie znalazłem Ekskalibura podczas wykopalisk, choć tym się w tamtym czasie zajmowałem. W Cambridge zaprzyjaźniłem się z chłopakiem, pochodzącym ze starego kornwalijskiego rodu ziemiańskiego. Zaprosił mnie na święta. Odkryłem tam, że jego rodzina strzeże pewnego skarbu od tak dawna, że całkiem o nim zapomnieli. Odnalazłem go. Był ukryty pod kamienną posadzką w powozowni. Można powiedzieć, że był to miecz w kamieniu. – Zaśmiał się z własnego dowcipu. – Starsza siostra chłopaka była tak bardzo podobna do Dany, że mogłaby być jej bliźniaczką. – Potarł kciukiem wolnej ręki o złożone dwa palce. – Wystarczyło trochę pogrzebać i przeczucie stało się wiedzą. Kiedy ujrzałem Danę, miałem już gotową łapówkę dla niej. – Lekko poruszył mieczem. – Nie podejrzewała nawet, że miecz nie leży już tam, gdzie go schowała, pod kamieniem, dopóki nie pokazałem jej zdjęcia. Nie jestem głupi.

– Z tym bym się nie zgodził – wtrącił Charles. – Mógłbym wyliczyć ci masę głupot, jakie popełniłeś. Ale próba przechytrzenia Szarej Pani to ukoronowanie głupoty. Nigdy nie zamierzałeś dać jej tego miecza.

Artur przytaknął uprzejmym skinieniem głowy.

– Pierwsza nasza umowa mogła dojść do skutku. Ekskalibur nie był jedynym artefaktem, jaki tam znalazłem. Była też inna broń. Zaoferowałem jej sztylet. Odmówiła i zagroziła, że będzie mnie ścigać „po krańce świata”. Z tym że ja ją znam, a ona mnie nie. Nie wierzy, że jestem Arturem.

Charles wiedział, o którego Artura chodzi.

– Ale Marrok nie przyjechał do Seattle.

– Nie, zamiast niego przyjechałeś ty. I przywiozłeś ją.

– Ją?

– Ginewrę. Moją białą panią.

I w tym momencie Artur dowiedział, że nie jest tak głupi, za jakiego Charles go uważał. Podczas gdy Charles nadal trawił myśl, że Artur pragnie Anny, bowiem jest przekonany, że ona należy do niego, Artur bez najmniejszego ostrzeżenia zaatakował.

Ostrze wbite w brzuch nie przyniosło bólu, lecz odarło Charlesa z sił. Uniemożliwiło poruszanie.

Usłyszał w tle krzyk Anny, ale całą uwagę skupiał na przeraźliwym chłodzie, który wysysał z niego energię.

Nogi odmówiły mu posłuszeństwa, a Artur kucnął przy nim.

– Szybka walka to najlepszy rodzaj walki. Znam cię. Kiedy Marrok nie przybył na zjazd, czułem rozczarowanie. A potem ujrzałem ją... Moją Ginewrę. Od razu ją poznałem. – Wykrzywił się szpetnie. – Należała do mnie, ale ty mi ją zabrałeś. Tak jak poprzednio. Mógłbym zabić cię z miejsca. Ale chcę, żebyś cierpiał, Lancelocie.

– Nie było żadnego Lancelota, głupcze.

Przez moment Charles myślał, że to on wypowiedział te słowa, tak intensywnie o nich myślał. Jednak głos należał do kobiety.

Dana.

Artur wyrwał miecz z takim impetem, że aż się zatoczył, szybko odzyskał równowagę. Chłód zniknął w momencie, kiedy stał opuściła ciało, i Charles przycisnął dłoń do brzucha, żeby zatamować krwawienie. Ostrze nie przeszło go na wylot, Artur zadał cios z myślą o długim cierpieniu, więc jeśli uda się zatrzymać krwotok, brat wilk zdoła ich uleczyć.

*Ostra stal* – powiedział mu brat wilk. *Szybko tnij, mało boli, szybko się goi.*

Charles pobrał lekko z magii stadnej i otrzymał nagrodę. Nie był Alfą, ale ojciec mógł mu pomóc, jeśli zechciał. A Bran był hojnym przywódcą. Ból przygasł. Nie było jednak powodu ogłaszać wszem wobec, że przestał umierać. Został tam, gdzie leżał, z boku sceny. Nie zwracajcie na mnie uwagi, nie stanowią zagrożenia. Charles w razie potrzeby potrafił stać się prawie niezauważalny, choć nie był w tym tak dobry jak Bran, który opanował tę technikę do perfekcji. Łatwiej jest wtopić się w tło, kiedy uwaga wszystkich skupia się na czymś innym, mawiał Bran.

– Oddaj mi miecz – zażądała Dana.

– Jest mój. – Artur chwycił mocniej rękojeść i uniósł ostrze w pozycję zasłony. – Od samego początku. Otrzymałem go od ciebie, a kiedy umierałem, nie oddałem go nikomu..

Dana postąpiła krok naprzód, wchodząc w pole widzenia Charlesa. Zrzuciła iluzję albo też przywdziała inną. Nie chodziło o to, że jej powierzchowność uległa dużej zmianie, lecz stała się jakaś... bardziej. Anna miała rację, przewidując, że Dana jest niesamowita. Bardzo dobrze. Zagaduj go.

Charles odjął rękę od rany i podniósł koszulkę – zasklepiła się, ale strup był zbyt świeży, żeby móc się już poruszać.

– Ukradłeś go – rzuciła Dana oskarżycielsko, z pasją w głosie.  
– Nie należy do ciebie. Nigdy nie należał. Król rzeczywiście może powrócić, tak przepowiedziano. Ale to nie ty nim jesteś. Nie jesteś Arturem.

– Nie dane ci jest rozpoznać mnie – odparł Artur. – A nasz układ nie obowiązuje. Chastel nie zabił Charlesa, choć to mi obiecałaś. Został przez niego pokonany, a ty nie zdołałaś znaleźć innego sposobu na zabicie Charlesa. Nie dopełniłaś warunków, nie jestem ci nic winien.

Dana uniosła rękę.

– Caladbolg. Caledfwlch. Ekskalibur. Oddawałam go w ręce wielkich mężów, wojowników, bohaterów. Twoje ręce to profanacja dla tego miecza. Ręce tchórza, który płaci, żeby ktoś za niego zabijał, który morduje lepszych od siebie, mądrzejszych, silniejszych.

– Nie odbierzesz mi go! Nie możesz, dopóki nie zabijesz Charlesa. I nie możesz mnie skrzywdzić, dopóki on żyje. Wiem, jak działają układy z pradawnymi.

Nie chojrakowałbym tak na twoim miejscu, pomyślał Charles. Mnie wydawało się, że Bran zawarł z nią układ, a patrz, co się stało. Ekskalibur znaczył dla Dany więcej niż dotrzymanie słowa. I nadal tak jest.

– Dobrze – powiedziała i machnęła ręką.

Nagle Charles doświadczył czegoś niewiarygodnie dziwnego. Miał wizję, że pada jak długi na ziemię, podczas gdy cały czas siedział wyprostowany i patrzył na Danę i Artura. Co i tak było lepszą wizją niż ta, w której padał martwy.

– Nie potrafisz zabijać w ten sposób – zaprotestował Artur głosem łamiącym się ze strachu.

Uniósł miecz, zasłaniając się nim, jakby ostrze mogło powstrzymać magię pradawnej, co – jeśli rzeczywiście był to Ekskalibur, a na to wyglądało – było niewykluczone.

To prawda, pomyślał Charles, wstając. Dana nie mogła zabijać gestem ręki, ale mogła rzucić iluzję śmierci i podtrzymywać ją przez cały dzień. Brzuch nadal go bolał, lecz minęło już zagrożenie, że ruszając się, wykrwawi się na śmierć

– Nie potrafię? – prychnęła Dana. – A co ty wiesz o pradawnych? Z pewnością nie tyle, ile sobie wyobrażasz. A więc skoro dopełniłam warunków układu, miecz jest mój. Daj mi go.

Podczas gdy Dana zajmowała Artura, Charles po cichu podszedł do gabloty. Miecz, który tam leżał, nie był Ekskalibrem, ale był świetnie wykonany. Replika, wykuta

dawno temu, by chronić oryginał. Charles oderwał wieko i wyjął ostrze, by użyć w celu, do którego został stworzony.

Artur odwrócił się gwałtownie, słysząc rumor, i sądząc po minie, zobaczył Charlesa. Albo to hałas zerwał iluzję, albo Dana pozwoliła jej się zsunąć.

– Arturze Maddenie – przemówił Charles oficjalnym tonem – zostałeś uznany winnym zabójstwa niewinnych osób przebywających na terytorium Marroka, a twoją karą jest śmierć.

Nie musiał mówić nic więcej, bo Artur ruszył na niego z uniesionym mieczem.

Artur mógł mieć za sobą lata treningów, jednak Charlesa szkolił Bran, człowiek, który w swoich czasach posługiwał się mieczem, aby przeżyć. Charles był silniejszy i szybszy, a Artur dodatkowo się go bał.

Jedyny problem stanowiło to, że Charles nigdy nie walczył mieczem na śmierć i życie.

„Pamiętaj – usłyszał wspomnienie głosu ojca – wilki to nie ludzie. Jeśli walcząc z innym wilkiem, uderzysz klingą w jego ostrze, twoja pęknie, więc jeżeli chcesz zachować broń, zbijaj ciosy i uderzaj ciało, nie metal”.

A potem wtrąciło się echo głosu Samuela: „Unik jest lepszy niż parada, mniej ryzykowny”.

Tak więc Charles uchylił się przed pierwszym ciosem. Trzymał obie stopy na podłodze, poruszał się miękko, posuwistymi krokami, umożliwiającymi zachowanie równowagi podczas wypadów i szybszą zmianę kierunków.

Pomieszczenie było małe, miecze krótkie, a to oznaczało walkę w zwarcu i niewielkie szanse na oderwanie się od przeciwnika.

– Jesteś trupem – powiedział Artur. – Zabiłem cię.

– Dźgnąłeś mnie stalą, a efekty wyolbrzymiłeś, jak to ty – mruknął Charles, pilnując, żeby nie zniszczyć swojego miecza.

Parował ciosy, spuszczał ostrze przeciwnika po klindze, uskakiwał, usuwał się z drogi wrażego miecza, pozwalając Arturowi pozostawać w ofensywie. Trafianie w próżnię wyraźnie irytowało Artura, więc Charles skupił się na tym, by nie znajdować się tam, gdzie kierował się sztych Brytyjczyka.

– To była mała ranka, a ja lecę się bardzo szybko. – Pomoc watahy lepiej przemilczeć, niech Artur jeszcze bardziej się wystraszy.

Przez cały czas Charles był świadomy obecności Dany, która zostawiła im wolne pole walki, wycofując się z pokoju. Uznał, że najlepiej będzie ją zignorować. Nie była sprzymierzeńcem, ale jego zwycięstwo przynosiło jej większe korzyści. Nie zależało mu na Ekskaliburze. Złamała słowo, ale ani Charles, ani co ważniejsze, Anna nie ucierpieli bezpośrednio z tego powodu. Brat wilk skłaniał się ku obarczeniu pradawnej odpowiedzialnością za ranę Anny, ale jedyne, co Dana mogła zrobić, żeby temu zapobiec, to powiedzieć mu wcześniej o Arturze.

Artur słabł. Płynne, wprawne ataki straciły rytm i intensywność. Charles podkreślił tempo. Już nie tylko uniki i parady, zaczął przeplatać je atakami – dwa uderzenia z lewej, obrót, zasłona, na prawo, na lewo, na prawo, od dołu i znów to samo – sekwencje wyuczone całymi latami ćwiczeń. Nie zapominał przy tym, że miecz Artura jest prawdopodobnie bardziej odporny na uderzenia. W końcu Arturowi nie udało się całkowicie sparować jednego z cięć i na jego piersi pojawiła się czerwona linia.

Może ból, a może strach podyktował mu natychmiastową ripostę, bo Artur uderzył mieczem prosto w głównię Charlesa, roztrzaskując ją. Charles obrócił się, wykorzystując energię ciosu, zanurkował od nieuzbrojonej strony przeciwnika i przetoczył się, dobywając noża do filetowania. Z całą siłą wraził wąskie ostrze w kark, w miejsce połączenia kręgosłupa



z czaszką. Kosztowny, świetnej jakości nóż z łatwością wsunął się w miękką tkanę pomiędzy kośćmi, przecinając rdzeń.

Artur runął na plecy, a domniemany Ekskalibur wypadł z jego bezwładnej ręki.

– Nie... – tyle zdołał wyrzucić z siebie ostatnim tchem.

Charles podniósł miecz pradawnej i odciął mu głowę, a potem z ostrzem w dłoni spojrzał na Danę.

– Wiedziałaś, że zamierza zabić swoją towarzyszkę?

Uśmiechnęła się przeprasząco.

– Cóż, trzymał miecz jako zakładnika.

– To nie jest odpowiedź. Choć przypuszczam, że życie ludzkie nie ma dla ciebie znaczenia. Jest tak krótkie... Ile było warte życie Sunny? Albo Chastela, ten był potworem, tak? Ile warte było ich życie mierzone miarą tego miecza?

– Z sarkazmem ci nie do twarzy – rzekła wyniośle.

– Pewnie masz rację. Wynajął cię do zabicia Marroka?

Przytaknęła.

– Odmawiałam, dopóki nie zaproponował w zamian Ekskalibura. Ten miecz został powierzony mojej pieczy, stanowi sens mojej egzystencji, a ten głupiec go odnalazł.

– A Bran nie przyjechał. – Wiedział, że Dana będzie mówiła, dopóki ma miecz, a chciał wiedzieć dokładnie, jakie powzięła działania, żeby móc powiedzieć o tym ojcu.

– Nie. Wiedziałałam, że nie przyjedzie, powiedziały mi o tym żywioly. Ale musiałam dać temu głupcowi powód, żeby przyniósł mi miecz. Jego twierdza w Kornwalii ma osłony niepozwalające dostać się tam pradawnym. Musiał sam mi go przywieźć. Nie zamierzałam zawierać z nim układu, tylko odzyskać miecz.

– Nie zabiłabyś mojego ojca?

– Nie, jeśli nie ruszyłby się z Montany. I przecież został tam, prawda? Ale potem w jego miejsce przyjechałeś ty, przywożąc coś, czego Artur zapragnął bardziej niż śmierci Marroka.

Miałam tak pokierować wydarzeniami, żeby Chastel zabił ciebie. W ten sposób upiekłby dwie pieczenie na jednym ogniu, po pierwsze, ułatwiając zabicie osłabionego walką z tobą Chastela swoim najemnikom, a po drugie, dzięki twojej śmierci Anna odzyskiwała wolność i stawała się dla niego dostępna.

Charles wziął głęboki oddech. Nie miał szans skazać jej za zło, które wyrządziła. Nikogo nie zabiła, nie przelała krwi, nawet Arturowej. Złe intencje nie były dla Charlesa wystarczającym powodem, żeby zwrócić się przeciwko Danie. To, że nie podobał mu się jej kompas moralny, również.

Nagle poczuł, że najbardziej na świecie pragnie wziąć prysznic, zmyć całą tę krew, pot i złe uczynki tej nocy. Wyciągnął ku Danie rękę, podając miecz rękojeścią do przodu.

– To należy do ciebie. Przyznał się do kradzieży. Tym razem pilnuj go lepiej.

Wzięła od niego miecz i zacisnęła dłoń na rękojeści, aż jej pobielwały knykcie, wzdychając niczym zaspokojony nareszcie kochanek. Podała mu drugą rękę, prawą.

– Bez urazy?

Spojrzał na wyciągniętą ku niemu dłoń i poczuł opór. Chował do pradawnej wiele urazy.

– Proszę – naciskała.

Podał jej rękę.

– Mój ojciec z tobą o tym porozmawia. Złamałaś dane mu słowo.

Wzmocniła uścisk i spuściła oczy.

– Wiem, wiem. Ale to wykluczone. Nikt nie może się dowiedzieć. Wszystko będzie dobrze, jeśli nikt się nie dowie. Rozumiesz...

Po raz drugi w ciągu krótkiego czasu Charles klęczał na ziemi, nie mając bladego pojęcia, jak do tego doszło. Spojrzał na swoją dłoń w uścisku Dany – z jej ramienia spływały błękitne wzory, przepelzając na jego przedramię.

Upadł, kiedy poczuł taki ból, że nie mógł otworzyć ust.

– Gdybyś był człowiekiem, już byś nie żył – powiedziała, odgarniając z twarzy kosmyk włosów, który wysmyknął się jej z warkocza. – Tak zajmie to dłużej, lecz nie zostawi żadnego śladu. Oczywiście twój ojciec będzie miał swoje podejrzenia, wątpliwości, ale dopóki nikt nie dowie się o mojej roli w tej sprawie, wszystko się ułoży.

Pochyliła się i pocałowała go w policzek.

– Lubię cię, Charles. Nigdy nie zawarłabym z Arturem układu, którego częścią byłaby twoja śmierć, gdybym i tak nie była jej dłużna twojemu ojcu. Podarował mi pamiątkę czegoś, czego nigdy już nie odzyskam, a ja obiecałam mu odwdzięczyć się tym samym.

Brat wilk warknął, ale ból przyszpilił Charlesa nieruchomo do podłogi.



– Powiedz jej, że będziemy za czternaście minut – usłyszała głos Angusa, gdy tylko odebrał połączenie. – I choć to niezwykle kuszące, nie zamierzam robić objazdu najpiękniejszymi trasami miasta, więc kiedy następnym razem każe ci zadzwonić, będę pewnie trzynaście minut od was.

Alan trzymał telefon tak, żeby głos dobrze było słyszeć.

– Tak jest – przytaknął i się rozłączył.

Anna zdawała sobie sprawę, że powinna przeprosić, ale nie była w stanie się na to zdobyć. Kiedy zrozumieli, że szczęk, który usłyszeli parę minut po wyjściu Charlesa, to mechanizm zamykający i że znajdują się w pokoju-azylu, przystosowanym do przetrzymywania wilkołaków, odkryli, że telefon Alana nie działa. Potrwało, zanim odnaleźli czarną skrzynkę, która

uniemożliwiła wykonanie połączenia – zakłócacz blokujący sygnał komórek.

Kiedy wreszcie udało im się zadzwonić, Angus, zaalarmowany esemsem od Charlesa, był już w drodze. Marrok znajdował się pół godziny lotu od Seattle. Już wcześniej miał złe przeczucie, a kiedy Charles nie odebrał połączenia od niego, wskoczył do samolotu.

Jak tak dalej pójdzie, Bran dotrze tu szybciej niż Angus, pomyślała. Minęło już dziesięć minut, odkąd umilkł szcęk stali, który Alan przypisał walce na miecze. Osiem, odkąd Charles zamknął więź tak mocno, że Anna mogła jedynie stwierdzić, że znajduje się niedaleko i nie porusza się.

Jej rany już się zasklepiły, choć zostało kilka swędzących i bolesnych miejsc. Chwyciła prześcieradło i owinęła się nim, drapując materiał w zaimprovizowaną sukienkę. Krążyła po pomieszczeniu, a podzwanianie kawałków łańcuchów przy obręczach na rękach i nogach doprowadzało ją do szału. Alana pewnie bardziej, ale nic się nie odzywał.

Drzwi otworzyły się dokładnie szesnaście minut po ich ostatnim telefonie.

– Wybaczcie – powiedział Tom. – Nie mogliśmy znaleźć sterownika zamka, był w pokoju, gdzie leżało ciało Artura.

– Co z Charlesem?

– Moira się nim zajmuje.

Anna weszła do pokoju skarbów, gdzie wśród odłamków strzaskanego miecza we krwi leżał Charles. Moira klęczała przy nim, trzymając obie dłonie na jego nagim ramieniu.

– Na razie ustabilizowałam jego stan, ale to nie wystarczy na długo. Ktoś rzucił na niego klątwę śmierci. Walczy, a ja mu pomagam.

Anna spojrzała w twarz towarzysza. Nie był nieprzytomny, każdy mięsień jego ciała napinał się z wysiłku, a żyły odcinały wyraźnie na skórze, jakby podnosił ogromny ciężar.

– Co zrobić, żeby ją z niego zdjąć? – zapytała Anna nieswoim głosem. Wiedziała o magii tyle, by nie próbować go dotknąć.

– Trzeba znaleźć tego, kto rzucił na niego klątwę, i zmusić, żeby zdjął – powiedziała Moira. – Albo go zabić.

– Potrafisz stwierdzić, kto to?

– Nie, pierwszy raz mam do czynienia z czymś takim. Nie umiem nawet określić, czy to magia wiedźm, pradawnych, czy coś specyficznego dla wilkołaka. Jest wplątane w jego magię. A jego magia? Nigdy się z czymś takim nie spotkałam.

– Matka Charlesa była córką indiańskiego szamana – przypomniał Angus.

– A ojciec synem wiedźmy – dodała Anna, nie przejmując się, czy Bran miałyby coś przeciwko ujawnianiu tej wiedzy. Spuścizna wiedźm oznaczała, że Charles posiadał dużo więcej mocy niż przeciętny wilkołak, a to mogło pomóc Moirze utrzymać go przy życiu.

Anna rozejrzała się po pokoju, usiłując poskładać to, co widziała, w łańcuch wydarzeń, żeby móc znaleźć jakieś rozwiązanie – strzaskany miecz, nóż kuchenny, martwy Artur. Magia... Wampiry potrafiły się nią posługiwać, a jeden przecież uciekł. A może to ta pradawna?

– Ile mamy czasu? – zapytała Moirę.

– Tyle, ile dam radę to powstrzymywać. Jakąś godzinę, może dwie.

– Marrok jest w drodze – oświadczył Angus pośepnie. – Jeśli ktoś może coś zrobić, to tylko on.

W tym pokoju odbyła się walka. Charlesa z Arturem. Czyli ten, kto rzucił klątwę na Charlesa, musiał zrobić to z zaskoczenia. A wampirowi Charles nie dałby się podejść.

Musiała spokojnie pomyśleć. Odkryć osobę odpowiedzialną za skrzywdzenie Charlesa i ją zabić.

– Jeśli Charles się nie mylił, wysyłając ci wiadomość, to za tym wszystkim stał Artur i to on ją zabił. Zabił swoją

towarzyszkę – powiedziała.

– Chyba że zrobił to ten, kto rzucił klątwę na Charlesa – odpowiedział Angus.

Anna spojrzała na czyste cięcie na karku Artura. Egzekucja, styl Charlesa. Nie zamierzała sprzeczać się z Angusem, ale jej wilczyca nie miała wątpliwości, że to Artur zabił swoją żonę.

– Pójdę poszukać czegoś do ubrania.

– Jesteście z Sunny podobnej postury, jestem pewien, że nie miałaby nic przeciwko, żebyś wzięła jakieś jej ciuchy – podsunął Angus.

Poszła, kierując się zapachem śmierci, do pokoju Sunny. Ignorując leżące na łóżku ciało, podeszła do komody, wyjęła z niej różowe spodnie od dresu i T-shirt. Ubrawszy się, założyła skarpetki i sportowe buty Sunny, które, o dziwo, pasowały jak ulał.

Ruszyła do wyjścia, ale zatrzymała się i spojrzała na martwą kobietę.

– Mój mąż zajął się twoim zabójcą.

Usta Sunny otworzyły się i zassały powietrze. Anna zamarła.

– Anno Latham Cornick, towarzyszko Charlesa Cornicka, Omega watahy Aspen Creek. Wilczyco. Siostró. Córkó. Kochankó. Ukochana. – Powieki Sunny uniosły się, odsłaniając zamglone, martwe oczy, a kobieta powoli obróciła twarz ku Annie. – Ta, którą zwano Nimue, Panią Jeziora, a która teraz zwie się Daną Shea, złamała swe słowo. Musi zostać ukarana, a ciebie wybrano na rękę sprawiedliwości. Otrzymujesz od nas dar Odnalezienia oraz to. – Dłoń Sunny uniosła się. Spoczywał w niej sztylet o klindze dłuższej od przedramienia i rękojeści z kości słoniowej albo po prostu jakiejś kości. – Carnwennan będzie twym narzędziem. Powodem życia towarzysza. Nasz geis racją. Nagrodą prawdziwa miłość. Przypomnij jej o Dzikim Gonie.

Anna nie ruszyła się, by przyjąć sztylet.

– Kim jesteś?

– Jesteśmy Szarą Radą. Ta, dzięki której przemawiamy martwymi ustami, jest tą, która zbiera poległych z pól bitew. – Ciało Sunny drgnęło gwałtownie, a sztylet wysunął się z jej dłoni na łóżko. – Spiesz się, inaczej on umrze, a twoją nagrodę będą stanowić już tylko sprawiedliwość i zemsta.

Powieki Sunny opadły i jej ciało na powrót stało się tylko ciałem martwej kobiety. Anna sięgnęła po sztylet, na wpół oczekując, że Sunny złapie ją za rękę, ale nic się nie wydarzyło, dopóki nie zamknęła palców na rękojeści.

Wtedy nagle magia popłynęła w górę jej ręki, rozgrzewając skórę w miejscu zetknięcia z głowicą, a potem ją chłodząc. Dar Odnalezienia, tak powiedzieli Szarzy Panowie, i nagrodą jest prawdziwa miłość.

– Gdzie jest Dana Shea? – zapytała. I natychmiast знаła odpowiedź.



## 13

**Z**biegła po schodach, przeskakując po dwa stopnie, i zignorowawszy wołanie Angusa, wypadła na zewnątrz, gdzie w pędzie minęła się z Tomem. Klucząc między zaparkowanymi samochodami, pognąła na ulicę i skręciła w stronę wody. To jasne, że Dana kierowała się ku wodzie.

– Gdzie tak pędzisz? – zapytał Tom, zrównując się z Anną.

– Carnwennan jest narzędziem – odpowiedziała i pokazała mu sztylet.

Potknął się, ale szybko ją dogonił.

– Syf prądawnych.

– Od Szarej Rady – przytaknęła. – Carnwennan to narzędzie, sprawiedliwość powodem, miłość nagrodą, a ich geis racją.

– Łapię. – Tom wyciągnął komórkę. – Angus? Prądawni się z nią skontaktowali. Z tego, co zrozumiałem, leci za Daną, bo wątpię, żeby aż tak zależało im na tym wampirze, który uciekł, a tylko ta dwójka jest w to zamieszana. Generalnie bredzi coś po ichniemu, ale chyba obiecali jej ratunek dla Charlesa.

– Zostań z nią. Pomóż, na ile dasz radę – warknął Angus wyraźnie sfrustrowany. – Zabije mnie, jeśli coś jej się stanie.



– Charles? – zapytała Anna przez mgłę, która pozwalała jej biec coraz dalej od ukochanego.

– Tak, on też. Choć sędzę, że miał na myśli Brana.

Fuknęła z irytacją.

– Charles żyje – uspokoił ją Angus. – Moira mówi, że jeśli to Dana, to prawdopodobnie klątwę zdejmie jej śmierć. Ale pradawnego nie tak łatwo zabić.

– Och, myślę, że ten sztylet, który dali Annie, z powodzeniem sobie z tym poradzi – powiedział Tom. – Śmierdzi magią w kosmos. I ma nawet imię. Artefakty magicznych, te, które posiadają imię, mogą zabić prawie wszystko. Carnwellan, coś wam to mówi?

Angus powtórzył nazwę sztyletu Moirze, która jako jedyna w domu Artura nie słyszała ich rozmowy.

– Carnwennan?! – aż zapiszczała.

– Um, może. Mówię, co powiedział Tom.

– Carnwennan to sztylet króla Artura. Jego nazwa oznacza „mała biała głowica”. Artur zabił nim Najczarniejszą Wiedźmę.

– Rzeczywiście ma białą rękojeść – stwierdził Tom. – Ale wcale nie jest mała. Sztylet jest długi, na długość mniej więcej przedramienia, w sumie mógłby być nawet krótkim mieczem.

– Nie mógł być mały – powiedziała Moira, kiedy Angus powtórzył jej słowa Toma. – Według legendy przeciął nim wiedźmę wpół.

Tom znów spojrzał na ostrze w ręce Anny.

– Uhm, dałoby radę – ocenił.

– Bądźcie ostrożni – napomniął go Angus.

– I pamiętaj, nigdy nie ufaj pradawnym – powiedziała Moira z naciskiem.

Anna zmarszczyła brwi.

– To samo powiedział nam troll.

– Co wam powiedział? – dopytywał Tom, ale Anna nie odpowiedziała, całkowicie skoncentrowana na szukaniu Dany.

Chodnik oddalał się od jezdni. Kiedy Anna skręciła, biegnąc nim, Tom złapał ją za ramię i zatrzymał. – Anno, biegniemy na łódź Dany?

– Nie wiem. – Wzruszyła ramionami i wskazała palcem kierunek. – W tę stronę.

– Mogliśmy wziąć samochód – wytknął jej, chowając komórkę do kieszeni.

Mylił się.

– Nie, samochód nie.

Zmarszczył brwi.

– No przecież, że nie. Magia pradawnych, co? Żelazo. – Przyjrzał się jej obręczom po kajdanach. – To pewnie dodatkowa ochrona.

– Muszę iść – powiedziała z naciskiem. – Natychmiast.

– To szlak Burke’a-Gilmana – powiedział. – Jeśli biegniesz do barki Dany, to ta trasa przebiega przy jej przystani. To skrót, jezdnia biegnie naokoło. Jeśli pójdziemy tędy, istnieje mniejsze ryzyko, że ktoś zauważy ten wielki sztylet. O tej porze, w zimie, niewielu tu biegaczy.

Puścił Annę i czekał, co postanowi.

Skręciła w aleję, przyspieszając tak, że musiał wyciągać nogi, żeby ją dogonić. Nadchodził poranek, ale ciemność nadal im sprzyjała, mrok i nikła srebrna poświata księżyca, który prawie już zaszedł, ale dawał jeszcze tyle światła, żeby umożliwić polowanie.



Znajdowali się już blisko przystani, kiedy zaklęcie przestało działać. Z tego miejsca było widać barkę Dany i Anna zdołała zwolnić. A kiedy przeszła jeszcze kawałek, udało się jej nawet zatrzymać. Pomyślała, że kajdanki rzeczywiście pomagają

szybciej wypalić magię, bo w pierwszej kolejności odzyskała kontrolę nad rękami i nogami.

– Tom? – wydyszała.

– Chwała panu – odetchnął. – Nareszcie wróciłaś.

– To była magia – wyjaśniła.

– Domyśliłem się. Co się stało?

Opowiedziała, mówiąc coraz szybciej, w miarę jak język odzyskiwał sprawność.

– Mówiące trupy? Jak w horrorze – skwitował Tom i zadzwonił do Moiry, żeby przekazać czarownicy, i przy okazji wszystkim zgromadzonym, relację Anny.

– Ta, która zbiera poległych... – Moira brzmiała jak ktoś wykończony. – To pewnie albo Morrigan, może Babd, albo Nemain, ale prawdopodobnie nie Macha. Przepraszam, to nieistotne. Koncentracja mi siada. Chcą, żebyś zabiła Danę. Dlaczego?

– Złamała słowo – wyjaśnił Angus. – Chcą zrobić z niej przykład. Nie podoba mi się tylko, że wykorzystują do tego Annę.

– Dziki Gon – powiedziała Anna. – Tak to nazwali, Dziki Gon. Nie wszystko z tego, co mówili, dało się łatwo zinterpretować, ale brzmiało to tak, jakby odnosiło się do mnie.

– Wysłali wilczycę w ludzkim ciele, dając jej sztylet, nawet jeśli magiczny, żeby zabiła magiczną istotę zasiadającą w Szarej Radzie – podsumował Angus mrocznym głosem, może dla siebie, może dla innych. – Wątpię, żeby to się udało.

*To Nimue, Pani Jeziora* – przemówił do Anny brat wilk wyraźnie. Głos brzmiał, jakby należał do Charlesa, ale nie do końca. I przetoczył się po ich więzi niczym grzmot.

Potem zalał ją informacjami już bez słów. Bólu nie starał się przed nią ukryć, tylko ją przed nim chronić. Sztylet, obok Ekskalibura, należał do skarbu wykradzonego przez Artura, miecz znajdował się teraz w posiadaniu Dany. Bał się o Annę,

nakazywał jej wrócić do domu Artura i czekać na Marroka. Miała się trzymać z daleka od Dany. Uważał, że jest marionetką, która ma za zadanie przekazać jej sztylet. Że jest jedynie ostrzeżeniem, a kiedy je dostarczy, zostanie zgładzona.

A potem brat wilk zniknął, a więź wydała się... słabsza.

– Nigdy nie ufaj pradowym – powiedziała na głos. Ufała bratu wilkowi. Ale na szczęście tylko ona go słyszała, bo inaczej nie pozwoliliby jej zrobić tego, co musiała. – Moira? Jak Charles?

– Kiepsko.

Tego się spodziewała, czuła to, gdy brat wilk się z nią komunikował.

– Ile ma czasu?

– Dam mu jeszcze radę pomóc może kwadrans, może trochę dłużej, a potem to już kwestia czasu. Bardzo cierpi, a to pogarsza jego stan.

– Gdyby... – Musiała odetchnąć i spróbować jeszcze raz. – Gdyby umarł, zanim dotarłaś, czy byłabyś w stanie stwierdzić, co go zabiło? Że to klątwa śmierci i że rzuciła ją na niego pradowna?

– Nie. Nawet teraz nie potrafię wyczuć, kto ją rzucił. Gdybym zastała go nieżywego, prawdopodobnie nie udałoby mi się nawet dowiedzieć, że chodziło o magię. Gdyby Charles nadal z tym nie walczył...

– Więc Dana nie ma pojęcia, że ja i Angus wiemy o tym, że złamała słowo dane Branowi. Mogła przypuszczać, że Charles jako jedyny o tym wie. – Anna myślała na głos. – Kiedy przyleci Bran?

Nie wiedziała nawet, czy Bran umiałby w ogóle pomóc. Przekonała się, że nie jest wszechmocny, tylko przerażający.

– Za dziesięć minut ląduje na lotnisku Seattle-Tacoma.

– To za późno – stwierdziła Anna i przerwała połączenie.

– Jaki masz plan? – zapytał Tom.

– Plan to chyba zbyt górnolotne określenie. Zamierzam improwizować. Ale myślę, że to jedyna szansa na ratunek dla Charlesa. – Szansa, która mogła równocześnie oznaczać śmierć dla niej. Ale Charles umierał.

Zadzwoił telefon.

– Angus – powiedział Tom, zerkając na wyświetlacz. – Może chce nam dać zielone światło?

– A co, jeśli nie?

Tom wyłączył komórkę.

– Wchodzimy tam razem czy mam być twoim wsparciem?

– Lubi mężczyzn – odrzekła Anna po zastanowieniu. – Lepiej będzie, jak pójdziesz ze mną. Ale pożycz mi kurtkę.

Ludzie zazwyczaj jej nie doceniali. Może Szarzy Panowie również mylili się co do niej?



Woda pod pływającym pomostem była tak nieprzyjemnie czarna, że Anna straciła ochotę na wszelkie gierki i po prostu zapukała do drzwi. Naprawdę cieszyła się, że Tom przyszedł tu z nią.

– Kto tam? – Głos Dany zabrzmiał z tak bliska, jakby stała obok nich.

– Dobrze wiesz kto – Anna odparła cicho. Dana świetnie słyszała. – Mam coś dla ciebie. Prezent czy ostrzeżenie, to zależy od ciebie.

– Jestem na górze. – Drzwi się otworzyły.

Anna podążyła znajomą drogą na schody i do góry, do atelier.

Poza włączonymi światłami pomieszczenie wyglądało tak samo, jak podczas pierwszej wizyty, podobnie jak scena, którą zaaranżowała Dana. Malowała obraz, jak poprzednio, odwrócony tyłem do wchodzących. Malowidło, które

podarował jej Marrok, wisiało jako jedyne na ścianie po lewej. Miecz stał oparty niedbale o tę samą ścianę, ale dalej od wejścia. Przypominał ten, który pokazywał Artur jako Ekskalibur. Z tego, co mówił brat wilk, wynikało, że ten tutaj to prawdziwy miecz króla Artura, zaś jego kopia została strzaskana w pojedynku, który Charles stoczył z Arturem w obronie Anny.

– Przysłali mnie Szarzy Panowie – oświadczyła Anna. – Mam cię zabić. – Dana nie podniosła oczu znad malowanego obrazu, więc Anna kontynuowała: – Brat wilk uważa jednak, że jestem posłańcem i mam ci przekazać ostrzeżenie, że jeśli jeszcze raz złamiesz słowo, naślą na ciebie Dzikie Gon. Jego zdaniem przysłali mnie tu z darem dla ciebie. Żebyś miała czym zabijać. Myślę, że ma rację.

Dana spojrzała na Annę znad płótna. Była naprawdę piękna. Nie tą chłodną, doskonałą urodą, ale uderzającą. Urodą kobiety straszliwej w swym gniewie i zażartej w walce. Anna poczuła tę samą fascynację Daną co za pierwszym razem, kiedy ją ujrziała.

Wzięła głęboki oddech i zamknęła dłoń na metalowej obręczy kajdanek na nadgarstku drugiej ręki. Kiedy ponownie spojrzała na gospodynię, ta nadal była piękna, ale Anna nie czuła już tego oczarowania jej urodą.

Dana uśmiechnęła się, jakby zmagania Anny ją rozbawiły.

– Kim jest brat wilk? – zapytała.

– To przyjaciel. – Anna nie zamierzała zdradzać żadnych informacji, które pradawna mogłaby wykorzystać. – Prawdopodobnie miałam tu przyjść i z miejsca się na ciebie rzucić. Ale Szarzy Panowie nie wzięli pod uwagę prezentu, jaki zostawiły mi wampiry. – Podniosła ręce i zadzwoniła łańcuchem zwisającym z obręczy na kostce. – Dzięki temu mam kilka opcji. I ty również. Cóż, jeśli zaatakowałbym cię, a ty byś mnie zabiła... i tak byłabyś na ich łasce, prawda?

– Jestem Szarą Panią, nie odpowiadam przed nikim.

– Kiedy Charles umrze, kiedy mnie zabijesz, Marrok cię dopadnie. Będziesz zmuszona umrzeć lub opuścić ten kontynent, wrócić do Europy. Znajdziesz się w ich władzy.

Dana zacisnęła usta z gniewu, a Anna wyczuła lekką woń strachu pradażnej.

– Mówiłaś, że przyniosłaś mi prezent.

Anna uznała, że Dana usiłuje zmienić temat. Ale to Anna kierowała rozmową.

– Rzucając klątwę na Charlesa, nie zdawałaś sobie sprawy, że wszyscy wiemy, że złamałaś słowo, które dałaś Branowi, obietnicę chronienia wszystkich wilków biorących udział w zjeździe. To ja i Angus się tego domyśliliśmy i powiedzieliśmy Charlesowi i Branowi. Nasze obserwacje to za mało, żeby udowodnić ci winę, ale jeśli Charles umrze z niewyjaśnionej przyczyny, Bran nie będzie miał wątpliwości, że to twoja sprawa.

Pradażna odłożyła pędzel, korzystając z tego gestu, żeby się odwrócić. Ale Anna i tak więcej czytała z zapachu Dany niż miny. Ten zapach paniki znała najlepiej, przez lata był jej dobrym przyjacielem. Dana nie bała się oczywiście Anny, ale Marroka już tak. Świetnie. Oby to wystarczyło.

Anna okrążyła sztalugi, zatrzymując się tuż przy pradażnej.

– Nimue, Pani Jeziora – powiedziała, przywołując tę część swojej magii, która koła i wyciszała – zdejmij klątwę z mojego męża, a daję ci słowo, że twoje oszustwo nie wyjdzie na światło dzienne. – A ja dotrzymuję słowa, pomyślała, ale nie powiedziała tego na głos. – Marrok nie będzie cię ścigał i nie wygna ze swoich terenów.

Pradażna wpatrywała się w swój obraz na sztaludze. Anna całkiem bez związku pomyślała, że Picasso jest dla Dany znacznie lepszym wyborem niż Vermeer. Nawet znawcy nie potrafili określić dokładnie, co twórca kubizmu chciał wyrazić

w swoich obrazach. Nikt więc nie mógł wytknąć Danie, że źle je interpretowała.

– Nie. – Głos Dany wibrował furją. Uniosła rękę, wskazując na obrazek od Brana. – Od tysięcy lat nikt mnie tak nie zranił. Patrz, co mi uczynił. Za każdym razem, gdy nań patrzę, czuję... czuję się tak jak wtedy, kiedy musiałam opuścić to miejsce. Przysięgałam przed wami, że odwzięczę mu się tym samym. Że zapłaci mi za to, zapłaci tą samą monetą. Tak samo strasznym żalem. Straciłam mój dom, on straci syna. Wrócę do Europy, a on...

Anna dźgnęła pradawną sztyletem ukrytym pod kurtką Toma, wraziła go jej pod żebra, w górę, przebijając serce – dokładnie tak, jak opisywano to w jej ulubionych proceduralach śledczych.

W oczach Dany błysnęło zaskoczenie, na mgnienie, po chwili oczy te ziały pustką.

– „Nie” było niewłaściwą odpowiedzią – oznajmiła Anna.

– Nie ruszaj się – powiedział Tom, sięgając po oparty o ścianę miecz.

Anna wyciągnęła sztylet i wytarła go ściereczką, która leżała na stoliku przy farbach. Ze wszystkich sił starała się nie myśleć o tym, co właśnie się stało. Bezskutecznie.

– To szósta dekapitacja z kolei – powiedziała drżącym głosem.  
– A nie liczę tych dwóch pierwszych wampirów, które zabiliśmy, bo ich ciała rozpadły się w proch. Sześć trupów bez głowy to trochę dużo, nie sądzisz?

– Może sztylet załatwiłby sprawę – powiedział Tom. – Nie wiem zbyt dużo o zabijaniu magicznych. Żelazo daje radę, to wiem, a w tym ślicznym sztyleciku powinno go być całkiem sporo. Ale wiesz, nie chciałbym po tym wszystkim gdzieś się na nią natknąć, więc po co ryzykować?

– Czy mógłbyś... zadzwonić? – Zdążyła? Czy to w ogóle miało szanse zadziałać? Czy może Charles umierał, podczas gdy ona



stała tutaj, tak od niego daleko?

Tom wziął od Anny zakrwawioną szmatkę i kilkoma sprawnymi pociągnięciami oczyścił klingę. Potem wręczył jej miecz, a sam wyjął komórkę.

– Cześć, Moira, jak Charles?

– Lepiej. – Moira za to brzmiała jak ledwie żywa. – Nie najlepiej, nawet nie w miarę, ale klątwa zniknęła parę minut temu. Przeżyje.

– Tak się to kończy, kiedy Omega idzie negocjować – skwitował Angus. – Nawet pradawna się jej nie oprze.

Tom spojrział na ciało Dany.

– Ano nie. Choć nie sądzę, żeby ktokolwiek spodziewał się takiego wyniku.



Troll w swojej iluzji stylizowanej na bezdomnego czekał na nich przed drzwiami. Oparty o burtę palił papierosa, wpatrując się w swoje stopy.

Tom zasłonił sobą Annę.

– No to im pokazałaś – podsumował. – Nikt pewnie się tego po tobie nie spodziewał, nie, pani? A juści nie ona. – Wskazał głową barkę.

– Zabiłaby mi ukochanego.

– I ciebie, z tego, co dało się słyszeć – przytaknął troll. – Powinna była wiedzieć, że niektórzy biorą sobie do serca, jak im się ukochanych zabija. – Zgasił papierosa palcami i pstryknął niedopałek do wody. – Mam zabrać stąd...

Anna wyszła zza Toma i wyciągnęła ręce, w których trzymała sztylet i miecz.

– Nie należą do mnie ani ich nie pragnę.

Troll cofnął się, po czym musiał wykonać skomplikowany taniec, żeby nie wpaść do wody.

– Nie waż mi się zwałać tego na głowę. Nie życz mi tego. Mam zabrać stąd ciało. Dopilnujemy, żeby nie odkryto trupa panny Dany Shea. – Uspokoił się nieco, kiedy Anna opuściła rękę, odsuwając od niego broń. – Ta, lepiej, znacznie lepiej. Mam cię poprosić, żebyś ich na troszku przypilnowała. Ktosik je od ciebie odbierze. Ktosik, nie ja. Inszy ktoś.

– Niech będzie – przystała Anna.

Troll zdjął z grzbietu stary trencz i podał go jej.

– Lepiej zawiąć w to. Nikt nie zobaczy. Troszku magii, kupa szmaty.

Anna ugryzła się w język, żeby nie podziękować. Tom, który wziął od trolla płaszcz, nie miał z tym problemu.

– Dopilnuję, żeby ten, kto przyjdzie po broń, zabrał też płaszcz – obiecał zamiast „dziękuję”. – Może ci go zwróca.

Troll skinął krótko i wszedł na barkę.

– Troll – rzekł Tom w zadumie i stuknął dwukrotnie knykциями w burtę. – Czyli w sumie nie musiałem odcinać jej tej głowy. Smacznego, koleś.



Byli już w połowie drogi powrotnej – choć Anna raczej zataczała się, niż szła i zmęczenie mogło zaburzyć jej ocenę odległości – kiedy zauważyła kosztowny, anonimowy samochód na zakręcie ulicy pomiędzy alejką, którą szli, i skrzyżowaniem.

– Widzę go – rzucił Tom, wślizgując się pomiędzy Annę i samochód.

Aż nazbyt świadoma, co niesie, Anna nie protestowała. Nie chciała tego miecza, ale nie chciała też, żeby ktoś

nieodpowiedni położył na nim łapę. Na przykład ten wampir, któremu udało się zbiec.

Zwolniła kroku, pozwalając Tomowi iść przed sobą. Ech, gdyby zamiast miecza miała broń palną. Strzelać potrafiła.

Tylne drzwiczki auta otworzyły się i na chodnik wysiadł Bran.

Nie wydawało się, żeby Tomowi ulżyło, więc Anna przyspieszyła do czegoś, co miało być dziarskim krokiem, a skończyło się szybszym powłóceniem nogami.

– W porządku, w porządku. Tom, przedstawiam ci Brana Cornicka, Marroka. Bran, to Tom. Nie pamiętam nazwiska, ale ocalił mi życie.

– Tom Franklin – powiedział Bran. – Dziękuję, Tom. Anno... – Potrząsnął głową. – Po prostu brak mi słów.

– Masz. – Wepchnęła mu do rąk tobolek ze sztyletem i mieczem. – Ty je trzymaj. Ja mam dość, nie chcę ich. Ktoś ma je później odebrać.

– O? – Bran popatrzył na brudny płaszcz. – Nie spodziewałem się, że zobaczę je akurat w Seattle. – Zdawało się, że doskonale wie, co trzyma w rękach, choć przedmioty były porządnie zawinięte.

– Seattle to miasto pełne... niespodzianek. – Tom wyszczerzył się w uśmiechu. – Człowiek wpada tu z wizytą i nawet nie podejrzewa, na co się natknie. Dobre jedzenie, przyjaźni mieszkańcy, starożytna broń z legend. Za każdym razem coś nowego.

– Wsiadajcie – polecił im Bran. – Reszta już jest w drodze do domu Angusa.

– Co z Charlesem? – Anna nie potrafiła ukryć niepokoju.

– Chciał jechać ze mną – powiedział Bran. – Ale mu powiedziałem, że musi poczekać z wycieczkami, aż będzie mógł chodzić sam, nie wisząc na mnie. Jest w drodze do Angusa. –

Bran wsiadł, Anna wśliznęła się obok niego, zostawiając Tomowi miejsce przy oknie.

Marrok spojrział na nią z iskierkami rozbawienia w oczach.

– Nie był szczególnie zachwycony. Ani ze mnie, ani z ciebie. Nie zdziw się, jak na ciebie nawrzeszczy. Tym razem naprawdę go wystraszyłaś.

– To nie w porządku – wyburczała Anna, choć tak naprawdę nie przejęła się tym. – Ja ryzykuję dla niego życie, a on będzie na mnie krzyczał? – Mógł sobie krzyczeć, ile chciał, ważne, żeby żył.

– W razie czego uronisz parę łez – pocieszył ją Tom. – Przystanie. U Moiry działa.

– Artur nie żyje. Dana nie żyje. Pięć z sześciu wampirów nie żyje ostatecznie – wyliczała Anna. – Został tylko jeden łobuz.

– Nie musimy się martwić tym krwiopijcą, który uciekł – uspokoił ją Bran. – Miejscowa chmara znalazła go i się nim zajęła. Chyba wysłała Angusowi jakiś drobiazg na dowód.

– To dobrze – ucieszył się Tom.

„Dobrze” to nieodpowiednie słowo w kontekście bezgłowych trupów i zabitych ludzi, pomyślała Anna, ale sama nie potrafiła chwilowo znaleźć lepszego.

– Bran? – Musiała o to zapytać. – Czy mogłeś zrobić coś, żeby Charles nie umarł? Mogłam na ciebie poczekać, a ty byś to odkręcił? – Czy właśnie kogoś niepotrzebnie zabiła?

Chyba wychwycił w słowach Anny niewypowiedziany niepokój.

– W ludzkim sądzie najłżejszym z zarzutów postawionych Danie byłoby spiskowanie z zamiarem popełnienia morderstwa. Charles potwierdził, że Dana wiedziała, że Artur zaplanował śmierć Sunny. Do tego Chastel. Charles. Charlesa prawie zabiła, była w trakcie. To usiłowanie zabójstwa. – Pokręcił głową. – Nie żałuj jej.

– Była Panią Jeziora – powiedziała Anna cicho.

– I sława powinna chronić ją przed konsekwencjami czynów?  
Przyciągnął głowę Anny i pocałował w czoło.

– *Ego te absolvo*, doskonała sentencja łacińska dla ciebie, moja droga. Odpuszczam ci winę. Dobrze się spisałaś. Jedynym sposobem, w jaki mógłbym ocalić Charlesa, jest to, co zrobiłaś ty. Z tą różnicą, że zrobiłbym to za późno.

– *De duobus malis minus est semper eligendum* – powiedziała Anna. – Jej śmierć była mniejszym złem.



Charles siedział sam, zajmując całą przepastną obfitość wielkiej sofy stojącej w przestronnym salonie Angusa, podczas gdy reszta, dziesięcioro czy dwanaścioro osób, rozsiadła się w drugiej części pomieszczenia.

Anna objęła wzrokiem scenę.

– Oho, ktoś tu jest zgryźliwym zrzędą.

Podniósł na nią oczy. Dla tego spojrzenia mogłaby zrobić znacznie więcej, niż zabić. Poklepał siedzisko obok siebie, ale usadowiła mu się na kolanach.

– Mam za sobą fatalną noc – wyznała. – Myślisz, że mamy jakąś szansę na parę godzin snu?

Charles pocałował ją, a był to długi, głęboki pocałunek, który nie brał jeńców. Kiedy skończył, oblizła wargi.

– To znaczyło nie? – zapytała bez tchu.

– Zabiłbym dla ciebie smoka – powiedział. – Myślę, że przy tym znalezienie wolnej sypialni to pestka.

Odsunęła się odrobinę, tylko tyle, żeby widzieć jego twarz.

– Smoki, hm. Cóż, ja właśnie zabiłam dla ciebie Panią Jeziora, szlachetny panie.

Ujął jej twarz w dłonie.

– Przykro mi, Anno.

*Te absolvo.* Czując bliskość ciepłego, niezaprzeczalnie żywego ciała Charlesa, pomyślała, że mogłaby jeszcze raz zabić prawną.

– A mnie nie – powiedziała. – Kocham cię.

– Ech, zakochani – westchnął Angus teatralnie.

**Koniec  
tomu drugiego**



# PATRICIA BRIGGS

Zanim nauczyła się czytać, Patricia Briggs żyła przyziemnym życiem w Butte w stanie Montana. Krótco po szóstych urodzinach odkryła, że w kopalniach mieszkają krasnoludy, a w lasach elfy. Za pierwszym razem osłupiała na widok skrzata w garażu, ale od tamtej pory są dobrymi przyjaciółmi. Pragnienie podzielenia się z resztą świata swoimi odkryciami

przywiodło ją do pisania. Obecnie mieszka na Wybrzeżu Północno-Zachodnim.



# ILONA ANDREWS

Trylogia

## Ukryte dziedzictwo

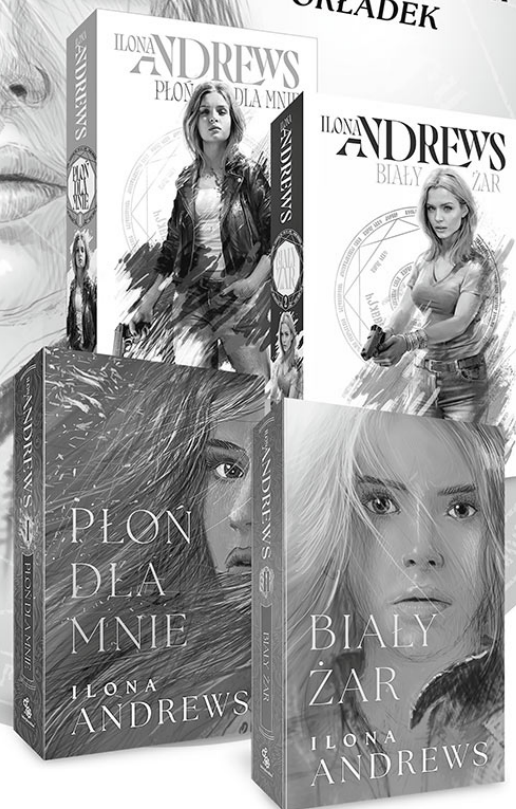
Świat Nevady Baylor i jej rodziny jest całkiem podobny do naszego. Może poza tym, że magia istnieje i decyduje o statusie jednostki, a zwyczajne śledztwo gładko może się zamienić w magiczną wojnę rodową. To zderzenie codzienności i humoru z rozmachem i napięciem jest uzależniające.

Uwielbiam wszystko, co pisze Ilona Andrews, i to, jak różnorodne są jej światy i bohaterowie.

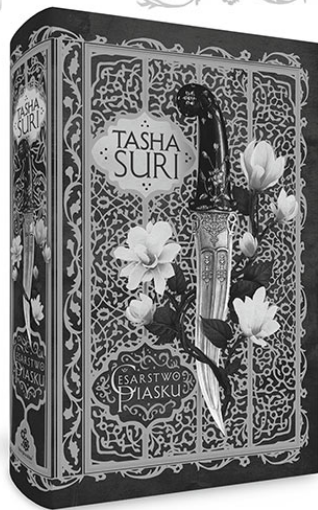
Jedno się nie zmienia – gwałtowna potrzeba, by natychmiast sięgnąć po kolejny tom!

**ANETA JADOWSKA**

KSIĄŻKI DOSTĘPNE  
W DWÓCH WERSJACH  
OKŁADEK



# KRONIKI AMBHY

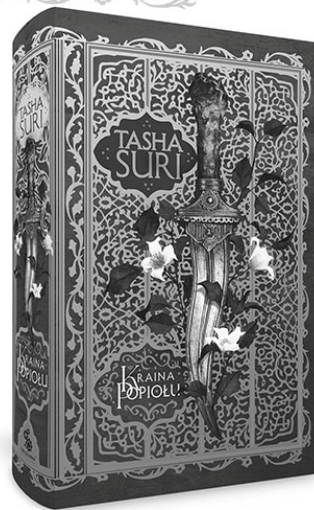


Niezwykle klimatyczna kreacja świata i systemu magicznego oczarowuje, a główny antagonistista przyprawia o dreszcz! Ta książka niejednym potrafi zaskoczyć.

**KAROLINA MICHTA**  
(Made by Caroline)

(...) książka przede wszystkim poruszająca ważne tematy, pokazująca, w czym tkwi prawdziwa siła kobiet”.

**DANIEL MUNIOWSKI**  
(Strefa Czytacza)



Jeśli ktoś ma słabość do lirycznej prozy, misternej sztuki kreowania światów, przepięknie wyobrażonych postaci, frapujących i wciągających wierzeń ludowych, a także fascynującego wejżenia w środowisko przypominające Państwo Wielkich Mogołów, nie musi już dłużej szukać.

**BOOKLIST**

COPYRIGHT © 2009 BY HUROG, INC.  
COPYRIGHT © BY Fabryka Słów sp. z o.o., LUBLIN 2023

WYDANIE I

ISBN 978-83-7964-854-2

TYTUŁ ORYGINAŁU: Hunting Ground

Wszelkie prawa zastrzeżone  
All rights reserved

Książka ani żadna jej część nie może być przedrukowywana ani w jakikolwiek inny sposób reprodukowana czy powielana mechanicznie, fotooptycznie, zapisywana elektronicznie lub magnetycznie, ani odczytywana w środkach publicznego przekazu bez pisemnej zgody wydawcy.

PROJEKT I ADIUSTACJA AUTORSKA WYDANIA

Eryk Górski, Robert Łakuta

ILUSTRACJA NA OKŁADCE

Dan dos Santos

PROJEKT OKŁADKI

Szymon Wójciak

ILUSTRACJA GŁOWA WILKA

Leszek Woźniak

TŁUMACZENIE

Dominika Schimscheiner

REDAKCJA

Karolina Kacprzak

KOREKTA

Agnieszka Pawlikowska

SKŁAD WERSJI ELEKTRONICZNEJ

pan@drewnianyrower.com

SPRZEDAŻ INTERNETOWA



Zamówienia hurtowe  
Dressler Dublin sp. z o.o.  
ul. Poznańska 91  
05-850 Ożarów Mazowiecki  
tel. (+ 48 22) 733 50 31/32  
[www.dressler.com.pl](http://www.dressler.com.pl)  
e-mail: [dystrybucja@dressler.com.pl](mailto:dystrybucja@dressler.com.pl)



fabryka słów  
WYDAWNICTWO

WYDAWNICTWO  
Fabryka Słów sp. z o.o.  
20-834 Lublin, ul. Irysowa 25a  
tel.: 81 524 08 88, faks: 81 524 08 91  
[www.fabrykaslow.com.pl](http://www.fabrykaslow.com.pl)  
e-mail: [biuro@fabrykaslow.com.pl](mailto:biuro@fabrykaslow.com.pl)  
[www.facebook.com/fabryka](http://www.facebook.com/fabryka)  
[instagram.com/fabrykaslow](https://www.instagram.com/fabrykaslow)

SERIA POLOWANIE

alfa  
omega  
2



**M**agiczny świat stworzony przez Patricię Briggs nigdy nie przestanie zaskakiwać. Kolejne intrygujące śledztwo i kolejne postacie, których losy śledzi się z zapartym tchem.

**ANNA BARTŁOMIEJCZYK**  
**@BESTSELERKI**

Nieuchronnie nadchodzi moment ujawnienia światu obecności wilkołaków. Marrok, choć przekonany o słuszności tej decyzji, woli pozyskać przychyłność watah spoza Stanów Zjednoczonych.

Spotkanie na szczycie, na które przybywają delegacje z kilku największych watah Europy, ma być okazją do negocjacji i ustalenia porozumienia. Staje się jednak areną bezprecedensowej i krwawej rozgrywki. A w centrum huraganu znajdują się Charles i Anna. Ich połączenie jest silne, a wzajemne uczucie jeszcze silniejsze, ale w starciu z pradawną magią, wampirami i najdzikszą wilkołaczą bestią w historii może nie wystarczyć. Na szczęście dla nich, przeciwnicy kompletnie nie doceniają Anny, która szybko przypomni światu, że Omega nie znaczy słabeusz. Omega zrobi wszystko, by zatriumfować i obronić tych, których kocha. Bez względu na to, czy wymaga to kulenia się w obecności dominujących osobników, czy rozerwania wroga na strzępy.

